

KRZYSZTOFZIN NR 2

NERKOMANCI I ENZYMOGOWIE



CYWICKI • DWÓRECKA • DYBAŁA • FIEDCZAK • GODLEWSKI • GÓRAL
GÓRSKA • GRABDA • GRABOWSKI • GRAF • GRODECKI • KACZMAREK
KOĆMA • KUCHARCZYK • LAUDAŃSKI • LESZCZYŃSKA • RAKOWSKI • ZELEK

A. Gorka

KRZYSZTOFZIN NR 2

NERKOMANCI I ENZYMAGOWIE

Luiza Leszczyńska — Dzieje Pewnej Wyprawy Albo Dziwne Przypadki Chrapa Sędziwego	4
Radomir Rakowski — Czas Nerkomantów	9
Tomasz Grodecki — Androidka	39
Julia Dworecka — Co Się Rodzi W Mroku	43
Rafał Cywicki — Zachowam Cię	72
Agnieszka „Shee” Górka — Węzeł Rybacki. Opowieść Starych Babek Z Przedniego Brzegu	74
Mateusz Zelek — Zagłada Przyszła Z Płuc	91
Maciej Laudański — Śmierć Smutku	97
Piotr Góral — Przed Pożogą	99
Przemysław Grabowski — Kolonia Samobieżna Hmn-Ddy01	110
Tomasz Kaczmarek — Zbrodnie	130
Paweł Dybała — Stowarzyszenie Organów Ważnych Inaczej	139
Katarzyna Ophelia Koćma — Powszechne Przemieszanie	151
Iza Grabda — Kompromis	155
Daniel Fiedczak — Kryptonim: Mózg Donovana	161
Ela Graf — Kontakt	172
Mateusz Godlewski — Wiersze	186
Łukasz Kucharczyk — Drogi Do Raju	187

KRZYSZTOFWSTĘPNIAK NR 2

Cześć, jestem Krzysztof, a to jest mój zin — już drugi!

Fantastyka naukowa zazwyczaj eksploruje przestrzeń kosmiczną, ale my postanowiliśmy przyjrzeć się nieco innej przestrzeni. Badamy literacko nie „outer space”, a „inner space” — i to potraktowaną dosłownie. Podobnie jak w serialu animowanym „Było sobie życie”, przyglądamy się mechanizmom ludzkiego ciała, tu rozumianego jako przestrzeń opowieści; jako świat — wszechświat — zamieszkany przez rozmaite ludy, kultury, stworzenia, cywilizacje. Gdzie funkcje ludzkiego ciała nie tyle są metaforami, ile przyjmują postać żywych istot.

„Krzysztofzin nr 2. Nerkomanci i enzymagowie” to w założeniu jeden z dwóch planowanych numerów, gdzie podaję autorom dzieła-odskocznie. Ale uwaga: żaden z autorów nie napisał fanfika. Zaproszeni goście nie trzymali się niewolniczo kontekstów, tylko odskakiwali w przeróżne miejsca, niektórzy — bliżej, inni — dalej (a niejaki Łukasz to już w ogóle).

Pierwszym z trzech kontekstów był — podejrzewam — doskonale wam znany francuski serial **BYŁO SOBIE ŻYCIE** (1987). Idea istot zamieszkujących ludzkie ciało, podróżujących krwiobiegiem, walczących z wirusami i bakteriami niczym wojsko jest fascynująca — a nad wszystkimi sprawuje pieczę brodaty Mistrz, patriarcha, który niczym Mojżesz przeprowadza naród izraelski wodami... Dobra, czaicie przecież.

Drugi z kontekstów był bardzo podobny, bo to po prostu współczesniona, dojrzała, doroślejsza i dziksza realizacja tej samej idei — mianowicie animacja **OSMOSIS JONES** (2001) (istnieje też

serial Ozzy & Drix z tego świata) — to już jest z kolei KRYMINAŁ, |³
który rozgrywa się wewnątrz ciała człowieka. Pokazała mi go autorka
genialnej okładki, Ania Czerska, i to ten seans zainspirował temat
numeru.

Trzeci z kontekstów odnosił się do uczuć i mózgu. Mowa, rzecz jasna,
o **INSIDE OUT — W GŁOWIE SIĘ NIE MIEŚCI** (2015). To piękna
animacja, a ponadto doskonała odskocznia dla osób, które bardziej
widziały się w metaforyce, tworzeniu surrealistycznych światów i wizji.
Owszem, zgodnie z ideą tematu przewodniego nadal chodziło o istotki
zarządzające wnętrzem człowieka, ale w mózgu wszystko jest płynne,
plastyczne — można to było bardzo fajnie pokazać.

I jak się udało to odskakiwanie? Dowiedzie się już za chwilę. Na koniec
serdecznie dziękuję mojej krzysztofzinowej ekipie, która bardzo się
rozrosła w porównaniu z pierwszą odsłoną, a szczególnie redaktorkom
— Kindze, Marii i Ophie — oraz Acie (za całokształt). Do następnego
razu! (Czyżby przyszła pora na warzywoludzi...?)

DZIEJE PEWNEJ WYPRAWY ALBO DZIWNE PRZYPADKI CHRRAPA SĘDZIWEGO

Najstarsi powiadali, że świat kiedyś wyglądał inaczej. Nie był mięsisty i przyjemnie różowawy, lecz zimny, nieprzystępny i przepełniony niebezpiecznym, jaskrawym światłem. Gatunki żyły w ziemi, przejrzystej wodzie, na legendarnych roślinach. Mnożyły się w słodkich owocach, sierści żywych organizmów, w ich ekskrementach. W quasi-uśpieniu czekały na dogodną okazję, by zasiedlić idylliczny świat Organismus Microbiome, w którym mogłyby się rozwijać, pożywiać i mnożyć.

Jednak opowieści o tym całym wszechświecie poza Mikrobiomem mogły być tylko bajaniem starych Oxyuriusów, gdyż Chrrap nigdy nie widział owych cudów.

A swoje już przeżył.

Choć wizja świata poza Mikrobiomem, światła, niebezpieczeństw, przygód...

— Bujda! — Chrrap prychnął głośno na owe dywagacje, jednocześnie zwracając na siebie uwagę przechodniów.

Nie chcąc siać zgorszenia, uchylił gąbczastego kapelusza, przepraszając za zamieszanie. Dwie młode Pleśnie zgromiły go spojrzzeniami i szybkoitko zgarnęły bawiące się wokół ich nóg zarodniki. Śpiące nieopodal Pierwotniaki zerwały się, przeczuwając niebezpieczeństwo. Zobaczyły, że nic się nie dzieje, i ponownie zasnęły.

Chrrap mógł spokojnie powrócić do snucia filozoficznych refleksji na temat swego hulaszczego życia we wszystkich metropoliach mikroświata.

Prawda była taka, że od zarania dziejów wszystkie stworzenia zamieszkiwały krainy somatyczne. Uczeni zajmowali najwyżej położone miasto o nazwie Cerebrum. Jego powierzchnia była falista i obfitowała w ciemne zakamarki, w których dało się zakupić okazy do nielegalnych doświadczeń. Dzięki owej eksperencji ludy

zamieszkujące Organismus Microbiome, powszechnie nazywany |⁵
Mikrobiomem, zmierzały w kierunku dobrobytu.

To była pierwsza kraina, jaką zobaczył Chrrap w ciągu swego długiego żytowania. Po raz pierwszy przebudził się w okolicach Mikrogleju, ale wkrótce przeniósł się w bardziej popularne rewiry. W końcu należało mu się! Szczycił się tym, iż jako okaz należący do rodzaju Giardia wzbudzał w Cerebrum niemałą sensację. Niewielu tam było jemu podobnych. Wszyscy kłaniali się w pas, kochanki same pchały mu się do leża, nie brakowało pożywienia. Żytować, nie umierać!

Mijał cykl za cyklem, a Chrrap nudził się przewidywalnością każdego kolejnego dnia. Postanowił wyprawić się w podróż, która zapewniłaby mu nowe wrażenia.

— Kto mi zabroni? — pytał sam siebie. — Młody, silny, wpływowy... Trzeba korzystać z żytowania, póki trwa!

Jak pomyślał, tak zrobił. W końcu Chrrap nie rzucał słów na wiatr.

Z miasta akademickiego można było dostać się do innych części wszechświata. Wystarczyło pokusić się o przemierzenie niebezpiecznej drogi pełnej zakrętów, ścieżek donikąd i rzezimieszków należących do bandy *Staphylococcus aureus*, czyhających na nieostrożnych wędrowców, by przejść — bądź też przepłynąć — do krainy, gdzie działa się magia. Nigdzie nie było tak kusząco pięknych tancerek, tak urodziwych mężczyzn ani tak sprytnych małych akrobatów, jak w niesamowitym mieście Cor: miejscu kojarzącym się z rozpustą i radością życia, miejscu, o którym krążyły wspaniałe i niemożliwe opowieści, a wreszcie miejscu, w którym spełniały się marzenia.

Chrrap wiedział, jakie atrakcje dla odważnych skrywa Cor, gdyż w młodości mieszkał tam przez jakiś czas. Wdał się nawet w romans z ponętą czerwonołosą tancerką wodewilową o wdzięcznym imieniu Rubinossa. Ich związek był namiętny i pełen pasji. Rubinossa chętnie prezentowała lubemu swe wdzięki, szczególnie że dzięki posiadanym przez niego aż czterem parom wici był nader sprawnym kochankiem.

Na nieszczęście młodego Chrrapa wszystkie mieszkanki Coru były do siebie wręcz bliźniaczo podobne. Nieraz zdarzyło mu się pomylić obiekt westchnień, w konsekwencji czego pewnego wieczoru musiał chyłkiem opuścić ojczyznę pięknych Erytrocytek i nigdy już nie zapuszczać się w tamte strony.

6 | — Było blisko — burknął pod nosem, kryjąc się pod osłonką motylicy, którą znalazł niedaleko bramy miejskiej.

Otoczone nimbem naukowości i doskonale znane Chrrapowi Cerebrum nie stanowiło interesującego kierunku, udał się więc niżej, poprzez przerażającą klatkę Białych Kości aż do kolejnej metropolii, słynnego Heparu. Niestety tamtejszy klimat nie służył mu w ogóle. Zatrucie było już tak wysokie, że tylko najodporniejsi mogli tam wytrzymać. Włóknienie komórek utrudniało codzienne funkcjonowanie, nie mówiąc już o czerpaniu radości z życia.

Nawet posiadana przez niego osłonka motylicy nie chroniła Chrrapa przed szkodliwym działaniem toksyn. Nie, Hepar w ogóle nie nadawał się dla Chrrapa ceniącego sobie komfort i uciechy cielesne. Szybko postanowił udać się dalej, ku lewostronnemu brzegowi miasta Nephros.

Wtedy nastąpiła katastrofa.

W drodze pomiędzy Heparem a miastem Nephros dotarły do niego pogłoski o pojawieniu się nieugiętych i niepokonanych rycerzy z zakonu Terra silicea. Biali wojownicy budzili postrach u bezpiecznych dotychczas gatunków zamieszkujących Mikrobiom. Ponoć groźni przeciwnicy dzierżyli zabójcze haki, na które nawlekali jednego po drugim obywateli poszczególnych metropolii.

Chrrap zadrzał, gdy w czasie przerwy w podróży, w przyjemnych dla oka Pelvis Renalis, pierwszy raz usłyszał o nowym zagrożeniu.

— Wiek już nie ten — powiedział do współpasażerów. — Jak żytuję, nie słyszałem o tak poważnym zagrożeniu, jak ci niecni rycerze! I kto to widział! Nabijać porządne gatunki na haki!!! Potwory! Powinniśmy ich przegonić!

— Dobrze mówi! — zakrzyknął młodzieńki Dioctophyma. — Niech żyje Chrrap Sędziwy!

Chrrap wyprostował się dumnie. W końcu miło zostać docenionym.

— Chrrap Sędziwy! — skandowali pozostali. — Chrrap Sędziwy!

— Co proponujesz, Chrrapie Sędziwy? — dopytywał młody Dioctophyma.

Na to pytanie Chrrap zdębiał.

— Uciekać — odpowiedział wreszcie.

Rozległo się powszechne niezadowolone buczenie. Do końca podróży rozmowy dotyczyły wyłącznie nowego zagrożenia. Jednak do Chrrapa na dobre przyłgnał przydomek Sędziwego, wzbudzając tym samym jego zadowolenie.

Wreszcie wyprawa dobiegła końca. Chrrap i jego współpasażerowie dotarli do lewostronnego miasta Nephros. Liczne kłębuszki stanowiły doskonałe, ciche miejsce do relaksu. Nic dziwnego, że gatunki nazywały je sanatorium. Spokój, relaks, wieczorne dancingi w tempie odpowiednim dla niemłodego już Chrrapa...

Wiedziony właściwą sobie ciekawością Chrrap Sędziwy udał się do prawostronnej części metropolii. Korzystał z jego atrakcji, poznawał interesujących przedstawicieli gatunków, chadzał na wieczorki zapoznawcze. Żytować, nie umierać!

Szczęśliwy czas nie trwał długo. Wkrótce Nephros zostało zaatakowane przez krwiożerczych i bezlitosnych rycerzy zakonu Terra silicea.

Wpierw natarli na lewostronną część metropolii. W jednej chwili Chrrap stracił wszystko, co posiadał. Prawostronne Nephros załapała fala uciekinierów.

Jednak wszyscy wiedzieli, że nie ma ratunku.

Wiedział to też Chrrap.

I tak właśnie Chrrap Sędziwy, nie doczekawszy się potomstwa i utraciwszy wszelkie dobra, postanowił wykorzystać ostatnie bogactwa, jakie przy sobie nosił, i kupić bilet do krainy, o której wszyscy bali się mówić głośno. Niesłychane tabu wiązało się z tym miejscem, z którego nikt nigdy nie powrócił. Chrrap, jako istota całe życie upatrująca we wszystkim pożytku, założył zgodnie z wyznawaną przez się filozofią, iż jest tak, ponieważ wszyscy są tam najszczęśliwsi i po prostu nie chcą wracać do miejsc sobie już znanych i nie tak idealnych, jak ów kraj mlekiem i miodem płynący.

— Anus — mruczał do siebie. — Brzmi dobrze.

Wkrótce wszyscy podróżnicy zostali zaproszeni do komfortowego, przytulnego środka transportu. Usadowili się wygodnie. Chrrap Sędziwy łokciami i groźnymi spojrzeniami wywalczył sobie miejsce tuż za pilotem. Chciał wszystko widzieć jako pierwszy.

No, oczywiście zaraz po pilocie.

— Proszę wszystkich o zapięcie pasów — odezwał się tamten, Tęgoryjec o milęj aparycji. — Może nami trochę trząść. Możliwe jest także odczuwanie niejakiego dyskomfortu podczas przedostawania się przez służę.

— Służę? Nie było mowy o żadnej służbie — Chrrap bąknął pod nosem.

Ruszyli. Początkowo środek transportu posuwał się wolno, brnąc zwężającymi się co chwilę korytarzami.

Posuwali się do przodu.

I dalej.

Dalej.

Chrrap przysnął. Nagła zmiana wybudziła go z drzemki.

Gdy otworzył oczy, zobaczył otaczających ich ze wszystkich stron rycerzy zakonu Terra silicea. Ich upiornie białe oblicza budziły grozę. Nieodłączne haki wbiły się w środek lokomocji uciekinierów z Nephros.

Wyglądali, jakby realizowali samobójczą krucjatę.

Pilot ścisnął kierownicę. Zbladł, o ile było to możliwe w wypadku Tęgoryjca.

Nagle przed nimi pojawiło się jasne światło.

Pilot jęknął.

— Panowie, jesteśmy w czarnej du...

Niežnośny huk zagłuszył wszystko.

Tak właśnie skończyła się historia Chrrapa Sędziwego, którego żywot, choć krótki, na zawsze pozostawił po sobie ślad w noszącym go aż do tej chwili Mikrobiomie.

CZAS NERKOMANTÓW

„Trudno być enzymagiem ze szlabanem” — pomyślał rozgoryczony Białkosław ze wzrokiem wbitym w kufel treści pokarmowej. Palce buzowały od rozsadzającej go energii, a jednocześnie wręcz palił go spoczywający w kieszeni dekret księcia. Enzymag łypał smętnie na hałaśliwych bywalców karczmy Pod Woreczkiem Żółciowym. Ta plugawa speluna nie zasługiwała, żeby Białkosław tutaj pił, ale wzdłuż Królewskiej Żyły mało było przyzwoitych lokali. Do tego większością z nich zarządzało to paskudne rodzeństwo Erytrocytów. Z dwojga złego Białkosław wołał zatem strawić tutejszą klientelę, niż musieć patrzeć na czerwone gęby któregoś z braci czy sióstr tego licznego rodu.

Los uznał jednak za stosowne osłodzić mu pobyt, gdy w drzwiach karczmy stanął niespodziewany podróżny.

— Towarzyszu! — zawołał Białkosław, machając do niego ręką.

— Jaki mikroświat jest faktycznie mikry! — powiedział radośnie towarzysz Tlenin, gdy padli sobie w ramiona, poklepując się po plecach. — Nie sądziłem, towarzyszu, że tak rychło znów cię spotkam! Panienko — powiedział do przechodzącej kelnerki — miszkę aminokwaśnicy poproszę. — Rozsiadł się naprzeciwko Białkosława. — Dasz wiarę, że mało brakowało, a byśmy się nie spotkali? Pierwotnie miałem podróżować krwiobiegiem 5, ale był karambol z powodu rany i musiałem obrać inną trasę.

— Gadali tu już o tej ranie. Ale ponoć fibrynogenerał Coagula zareagował błyskawicznie i brygada z Trombocytađeli przybyła na miejsce, zanim zdążyło dojść do większych szkód.

— Na Trombocytađeli można polegać. Ich spece to skrzepkie chłopaki — powiedział uśmiechnięty Tlenin. — Ale my tu gadu-gadu o ruchu drogowym, a powiedz mi lepiej, towarzyszu, co u ciebie słychać?

— A co tu dużo gadać? — burknął Białkosław. — Dekret księcia nadal mnie uwiera. — Spojrzał na swoją dłoń. — Dlaczego Wielki Organizm obdarzył mnie mocą ponad moje wyobrażenie, skoro zakłęty świstek papieru może mi ją blokować?

— Zaraz, ale czy przypadkiem książę nie zapieczętował twojej mocy dlatego, że wykorzystywałeś swoje czary na cywilach?

— Zastęgiwali na to — odparł chłodno Białkośław. — Byli opryskliwi i chamscy.

— Nie to, co ty — mruknął Tlenin.

— Naturalnie! — zawołał enzymag, pośród którego wielu talentów nie leżało jednak wyczuwanie sarkazmu. — Nie po to tak długo szkoliłem się w magii przemiany materii, żeby odbierano mi prawo do wykorzystywania moich umiejętności.

— Z drugiej strony ten sam dekret zapewnia ci immunitet, gdy podróżujesz w sprawach służbowych, czyż nie?

Białkośław skrzywił się. Nie znosił bycia zależnym od kogokolwiek, ale Tlenin miał rację. Podróż przez układy nie zawsze była bezpieczna, a widniejąca na zaklętym dekrete pieczęć Szara'materiana, księcia Mózgogrodu, budziła w zasadzie wszędzie respekt. I choć enzymag nie przyznałby się do tego nawet na torturach, dokument sygnowany herbem księcia ratował mu życie w sytuacjach, w których nawet jego magia zawodziła.

— A co ty porabiasz? — zagadnął, odsuwając nieprzyjemny temat. Tlenin dostał właśnie zamówioną aminokwaśnicę, nie przeszkodziło mu to jednak mówić między łykami strawy.

— Pamiętasz, jak ci mówiłem, że wszedłem w spółkę z Erytrocytami?

— Na duszę, faktycznie! — jęknął Białkośław. — Wyparłem.

— No tak, towarzyszu, przecież ty nie trawisz czerwonego rodzeństwa — mruknął Tlenin. — Choć niech mnie okrężnica pochłonie, jeśli pamiętam dlaczego.

— Po prostu nie trawię i już.

— Bo są czerwoni, co? — spytał Tlenin, sam osobiście ogromny wielbiciel tego koloru.

— To nie ma nic wspólnego z kolorem.

— Niech zgadnę: nie pochwalasz ich wyboru zawodu. Żywisz awersję do ich proletariackiej ścieżki kariery zarządców sieci zajazdów. Ale wiesz, że te zajazdy to także placówki pocztowe? I że przewożą drogocenne paczki? Właśnie dlatego założyłem z nimi spółkę: potrzebowałem rzetelnej firmy spedycyjnej do przewozu moich dostaw tlenu. Erytrocytowie są do tego idealni.

— No to bardzo cieszę się z twojego szczęścia, towarzyszu — burknął Białkośław.

Widząc, że jego kompan nie ma ochoty ciągnąć tematu, Tlenin |
wzruszył ramionami.

— To dokąd teraz zmierzasz? — zapytał.

Białkosław rozpromienił się. Poklepał torbę przewieszoną przez ramię.

— Mam tutaj ważne dokumenty, które mam zawieść samemu mistrzowi nerkomantów. Kardioklecjan, burmistrz Sercogrodu, powierzył mi tę arcyważną misję, wiedząc, jak potężne mam umiejętności.

— Przecież Szara'materian nałożył ci blokadę.

— Och, naturalnie, ale zwykle opryszki włączące się po żyłach tego nie wiedzą — powiedział Białkosław. Twarz rozjaśniła mu się w wyrazie tryumfu. — Są za to doskonale świadome mojej reputacji jako dzierżyciela mocy.

— Twoja reputacja byłaby zatem nie od rzeczy jako odstraszczać bandziorów — rzekł Tlenin, skubiąc podbródek. — Co byś powiedział na wspólną podróż? Część trasy do bramy nerkomantów jest nam po drodze. Biała Straż wprawdzie regularnie patroluje żyły, ale znacznie bardziej zawierzam potędze opowieści o twoich mocach.

Białkosław już miał zakrzyknąć, że oczywiście, bez dwóch zdań, gdy nagle dotarł do niego istotny, a drażniący fakt.

— Będziesz podróżować z Erytrocytami — odparł ponuro.

— Oczywiście. Ale wiesz, że nie możesz ich całe życie unikać. Zawsze gdzieś się na jakiegoś napatoczysz, chyba że przeprowadzisz się do innego układu. Równie dobrze możesz przetrwać Erytrocytów jako towarzyszy i mieć swoje uprzedzenia za sobą, albo iść dalej w żyły z niepokojem, że a nuż za rogiem któryś ci się przydarzy.

Białkosław trawił słowa druha dość długo, wpatrzony w smętne resztki na dnie kufła. Wreszcie westchnął ciężko.

— Ale ostrzegam, że mogę nie być sympatyczny — zaznaczył.

Tlenin uśmiechnął się łobuzersko.

— A to ci pierwszyna.

Chociaż potęgę w mikroświecie stanowiły grody i rządzący nimi dostojnicy, układy nie przetrwałyby bez siły roboczej dwóch najliczniejszych rodzeństw: Erytrocytów i Leukocytołów. Erytrocytowie początkowo skupiali się na prowadzeniu lokali łączących w sobie

zajazdy z placówkami pocztowymi, najmuąc i rozsyłając kurierów. Na pewnym etapie sami jednak bezpośrednio włączyli się do działalności transportowej i wielu Erytrocytów przekwalifikowało się na kurierów i dostawców. Czerwone powierzchnie ich ciał stały się wszechobecnym widokiem na żylnym trakcie, a tętent kopyt szkarłatnych krwinkoni z ich hodowli można było usłyszeć w każdym krwiobiegu. Żaden kurier nie dojechałby jednak daleko bez asysty Białej Straży. Potężna organizacja militarna, na którą składało się liczne rodzeństwo Leukocytów, dzieliła służbę między patrolowanie żył oraz ochronę transportów dóbr. Leukocytowie z kolei dosiadałi krwinkoni z własnej hodowli, o mlecznobiałej maści. Biała Straż była niezrównana w swej pracy, dlatego Białkosław tym bardziej mile łechtało, że karawana Tlenina uznała za kluczowe uciec się dodatkowo do usług enzymaga. Nawet on musiał przyznać, że uzbrojeni Leukocytowie byli wyjątkowo skuteczni przeciw większości zagrożeń, takich jak zakażane indywidua, chorobandziory, wirusałki czy inne typy spod ciemnej polimerazy.

I tylko ci nieszczęśni czerwoni...

— Taki enzymag to pewnie musi mieć mnóstwo roboty, nie? — próbowała zagadnąć go Czerwina Erytrocyt, dziewczę o zdecydowanie zbyt dużej potrzebie tokowania. Była na tyle blisko Białkosława, że jej krwinkoni niemal ocierał się o jego wierzchowca. — Tyle czasu was w tej akademii maglowali, żebyście poznali zatrząsienie czarów, żebyście wchłaniali wiedzę jak kreatyna wodę, i potem pewnie jak taki enzymag wychodzi z uczelni, to ma tyle mocy, że może rozgniatać wirusy na kapsydową paćkę.

Białkosław milczał z kwaśną miną. Acz musiał przyznać, wbrew samemu sobie, że Czerwina jest naprawdę prześlicznej urody, nawet jeśli patykowata jak neuron. Żeby tylko te piękne usta raczyły się zamknąć!

— Siostra, nie męcz go — powiedział jadący za nią Krwinićjusz Erytrocyt. — Widzisz, że zmęczony, a musi zebrać siły, jakby jakieś paskudztwo nas zaatakowało.

Białkosław nabrał natychmiastowej krztyny respektu wobec tej początkowo odpychającej, nalanej gęby męskiego członka Erytrocytów. Ograniczył się jednak do wymamrotanego pod nosem „dzięki”.

Podróż przebiegała nad wyraz spokojnie. Karawana Erytrocytów leniwie przemierzała Królewską Żyłę. Kilkaset czerwonych braci i siostr podróżowało wraz z tabunem ciągniętych przez krwinkonie

wozów, wyladowanych po brzegi towarami Erytrocytów i Tlenina. Z każdej strony osłaniały karawanę szeregi Białej Straży. Biali bracia i białe siostry robili wrażenie nie tylko swą liczebnością, ale i wysokiej jakości uzbrojeniem i pancerzem. Nawet ich krwinkonie odziane były w przedniej roboty pancerze.

Białkośław musiał sam przed sobą przyznać, że wyglądało to wszystko imponująco.

— Ta spółka to był naprawdę znakomity pomysł — powiedział Tlenin, nie kryjąc dumy. — Mówię ci, towarzyszu, to będzie rewolucja. Czerwona rewolucja!

— Nie mogę się pokłócić — mruknął Białkośław. Zdobył się nawet na uśmiech.

— No to się jednak pokłóćmy — rzucił zadziornie Tlenin. — Jakież to palące sprawy prowadzą cię, towarzyszu, do nerkomantów? Wiem, że pewnie zawartość twoich dokumentów jest ściśle tajna, ale może możesz mi coś zdradzić bez wdawania się w szczegóły? Przyznam, że nie wiem wiele o nerkomantach.

— Tym zdrowiej, towarzyszu. Nerkomanci to szemrana grupa. Z pozoru zdają się gromadą dziwaków w pełni oddanych strzeżeniu tej swojej wielkiej bramy. Ale każdy wie, że są wypchani sekretami, którymi nie chcą się z nikim dzielić. Na ten przykład: kto wie, co naprawdę znajduje się w dolnych drogach? Tylko nerkomanci. Ale prędzej dadzą się zakonserwować w cukrze, niż pisną choć słowo, co się tam kryje.

— Zdawać by się mogło, towarzyszu, że znalazłbyś z nerkomantami wspólny język — zdziwił się Tlenin. — Wszak i ty pochodzisz z bractwa strzegącego wiedzy tajemnej.

— Nawet nie porównuj, towarzyszu! — zaperzył się enzymag. — Nasze arkana wynikają ze względów bezpieczeństwa, ponieważ niepowołani mogliby wykorzystać ją w niecnym celach.

— Skąd wiesz, że nerkomantami nie kierują te same pobudki?

— Nie jest to możliwe. Czuć to po ich aurze.

Tlenin obrócił oczami.

— Wiesz, towarzyszu, mam wrażenie, że żyłoby ci się łatwiej, gdybyś mniej osób uznawał za swych wrogów.

— Nie wiem, czy łatwiej, ale na pewno żyłoby mi się wtedy krócej — skontrował enzymag.

Tlenin zaniechał dalszej dyskusji.



Ilustracja: Ottoich (FB:Ottoichart)

Pożegnali się na stacji tranzytowej między układami. Karawana Erytrocytów i Tlenina ruszyła w dalszą drogę do bogatego Wątroburgu, natomiast Białkosław nastawił się na szereg uciążliwych formalności, jakie czekały go w punkcie tranzytu do rzeki trawiennej.

Była to jednak absolutna konieczność. Porządek mikroświata opierał się między innymi na przyporządkowaniu określonych osób konkretnym układom. Na przykład obecność Leukocytów u bramy nerkomantów mogłaby doprowadzić do poważnych zaburzeń, stąd Biała Straż wykreśliła ją ze swego rewiru.

Białkosław doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ale nie byłby sobą, gdyby nie zirytował się, stojąc w długiej kolejce do szlabanu między krwiobiegiem a układem trawiennym. Celnicy byli z rodzaju najbardziej zawziętych służbistów i nawet pieczęć samego księcia Mózgogrodu nie dałaby enzymagowi pierwszeństwa w kolejce.

Co gorsza, nie miał już swojego krwinkonia. Musiał zostawić go z Tleninem, bo nawet obecność rumaka mogłaby doprowadzić do zaburzenia. A to skazywało enzymaga na korzystanie ze środków transportu dostępnych w układzie trawiennym. Skrzywił się na samą myśl.

Wreszcie nadeszła jego kolej. Celnik wbił w niego uważne spojrzenie i zapytał:

— Tożsamość?

— Białkosław z akademii, najgenialniejszy enzymag mikroświata.

— Cel podróży? — zapytał oficer z tym samym niewzruszonym wyrazem twarzy.

— O, spójrz tu sobie — powiedział beczelnie Białkosław, wyciągając z torby zalakowany dokument i pukając w pieczęć Kardioklecjana. — Super pilne, jak widzisz. — Sięgnął po dekret. — A tu masz jeszcze ciekawiej: pieczęć z samego Mózgogrodu!

W zasadzie niepotrzebnie wyjmował dekret, bo herb Sercogrodu w zupełności wystarczał. Nie mógł jednak odmówić sobie przyjemności pokazania temu urzędasowi, jaką to ważną jest personą.

Celnik przepuścił go bez słowa.

Po drugiej stronie płynęła leniwie potężna rzeka trawienna, przezwana

Trawką. Na tym odcinku rzeki nurt był na tyle spokojny, że można było popłynąć jedną z zacumowanych na kei żółciobarek. Ledwie Białkośław przekroczył posterunek celniczy, a już dobiegły go krzyki przewoźników namawiających do spływu. Załadował się na żółciobarkę o pasującej jak mocz do mózgu nazwie „Pogromca Glukozy”. Łódź wypełniła się w mgnieniu oka i flisak odepchnął ją od mola mocnym pchnięciem bosaka.

„Pogromca Glukozy” sunął nieśpiesznie przez rzekę wraz z innymi żółciobarkami, a Białkośław pogrążył się we wspomnieniach. Wielokrotnie gościł na taflি Trawki i jej specyficzny zapach zawsze budził w nim nostalgię. Enzymag powracał myślami do czasów sprzed dekretu księcia. Przemierzał wówczas majestatycznie rzekę na własnoręcznie wyczarowanym okręcie, z gazami trawiennymi wypełniającymi żagle i dumnie prezentującym się na głównym żaglu godłem jego rodu: czterech żółtych enzymach w kształcie koniczyny na tle żołądka. Gapie patrzyli w zachwycie na te cuda, a niektórzy wznosili okrzyki radości, cudownie lechząc ego enzymaga.

Tamte czasy były już, niestety, przeszłością. Pozostał tylko nostalgiczny odorek Trawki, wypełniający Białkośława tęsknotą.

Szczęśliwie wraz z biegiem rzeki nurt zaczął robić się bardziej wartki. Dla innych podróżujących fakt ten był utrapieniem, ale bynajmniej nie dla enzymaga. Silniejszy nurt oznaczał, że kruche żółciobarki musiały cumować w doku, a pasażerowie byli zmuszeni przerzucić się na mocniejsze w budowie żółciokręty.

A to oznaczało, że książęta mikroświata mieli tu też własne żółciokręty dla emisariuszy.

— Do stu tysięcy resztek organicznych! — zawołał jelitan Trzustkanderson ze swego okrętu, widząc enzymaga u stóp trapu. Zszedł na keję i uściśnął mu serdecznie rękę — Ależ to sam Białkośław! Witamy, szlachetny panie! Co cię do nas sprowadza?

— Jelitanie, potrzebuję pilnie zawieźć dokumenty do mistrza Nefroniusza. Mam je od samego burmistrza Sercogrodu. A tutaj jeszcze mam...

— To zatem twój szczęśliwy dzień, panie! — ucieszył się Trzustkanderson, nie dając rozczarowanemu enzymagowi szansy pokazania dekretu. — Wypływamy za godzinę, a nawet mam jedną wolną kajutę. Jest twoja.

— W klasie luksusowej, zakładam? — zapytał enzymag.

— Innej nie śmiałbym proponować, panie! — powiedział wstrząśnięty jelitan.

Białkosław rozpromienił się.

— Doskonale! Pójdę się zatem rozgościć.

Niedługo potem „Złota Tętnica”, jeden z najznamienitszych żółciokrętów pływających pod flagą Sercogrodu, wypłynęła na wody Trawki. Gazy trawienne szybko wypełniły żagle i wizerunek serca rozdał się majestatycznie na płótnie największego żagla. Białkosław czuł teraz bez porównania wyższy komfort podróży. Do tego stopnia, że nie chciał spędzić nawet chwili w swojej eleganckiej kajucie, lecz stanął u boku jelitana na mostku.

— Co nowego u nerkomantów? — zagadnął Trzustkandersona.

— Monotonnie, wręcz bez zmian — mruknął jelitan. — Można by sądzić, że tak niezwykła organizacja będzie bardziej fascynująca. Tymczasem co ich widzę, to tylko pracują przy mechanizmach bramy, a zagadnięci o nowinki, odmrukują, że „bez zmian”, „nic nowego”, „to, co zawsze”. Chyba są potwornie znudzeni pracą, choć pamiętam, że zawsze wykazywali duże ożywienie swymi tajemniczymi badaniami.

— Ha! — parsknął Białkosław. — Widać zatem różnicę między ich Nerkopolią a akademią. Enzymagowie zawsze mają mnóstwo fascynujących tematów do badań.

Trzustkanderson odczekał dłuższą chwilę, jak wielu mieszkańców mikroświata ciekawy szczegółów tychże badań. Enzymag nie rozwinął jednak tematu. Jelitan rzekł zatem:

— Słyszałem, że mistrz Nefroniusz zmienił doradców. Może niewłaściwie wybrał? Może doradcy skutecznie zatruli mu życie przy bramie?

Białkosław wzruszył ramionami.

— Tak czy owak, to ich problem.

— Nie wiem, jakie dokumenty dał ci Kardioklecjan, panie, ale może jest tam coś, co na nowo wznieci zainteresowania nerkomantów — wysnuł teorię jelitan. Enzymag ponowił gest wzruszenia ramion. Mało dbał o zadowolenie Nerkopolii, choć gdyby w zamian mógł wejrzeć w ich księgi, bardziej byłby chętny do podbudowania ich morale.

„Hmm, w sumie to nie jest zła myśl...” — przyszło mu nagle do głowy. Sięgnął do torby i pogłaskał czule sercogrodzkie fascykuły. A może faktycznie byłaby to dobra karta przetargowa? Burmistrz może

marudzić na takie dyplomatycznie niestosowne zachowanie, ale kimże on jest, by kwestionować czyny enzymaga z akademii? W hierarchii Białkosława to Mózgogród był potęgą, z którą należało się liczyć, podczas gdy Sercogród nie dorównywał nawet akademii, a co dopiero domenie Szara'materia.

Enzymag zaśmiał się w duchu. Nagle zapragnął czym prędzej spotkać się z mistrzem nerkomantów.

Był taki czas, kiedy nerkomanci tworzyli niepodważalne mocarstwo. Wtedy jeszcze Nerkopolia składała się z dwóch potężnych podmiast, a bractwo strzegło dwóch bram. Wiele jednak się zmieniło, gdy nastąpił kataklizm zwany Wielkim Wycięciem. Doszło wówczas do usunięcia jednego z podmiast, a wraz z nim jednej z bram. Kataklizm pozbawił nerkomantów zarówno połowy ich domeny, jak i znacznej liczby mieszkańców oraz części zasobów.

Mimo to nerkomanci zdolali szybko podnieść się po tym ciosie i długo robili dobrą minę do złej gry. Ich niedawne zgnuszenie odczytywano jako moment, kiedy ta ogromna strata wreszcie ich nadgoniła i pchnęła w stupor. Plotkarze ostentacyjnie kiwali głowami ze zrozumieniem nad kufelkami w zajazdach, lecz po prawdzie większości ludzi był raczej obojętny los Nerkopolii, bo skryci nerkomanci zawsze zdawali się cieplej traktować swoje księgi niż innych mieszkańców mikroświata.

Białkosław pamiętał czasy dwóch bram. Ale za każdym razem, gdy widział ocalałą bramę, przyznawał w duchu, że nawet ta jedna robiła wrażenie.

Tak było i tym razem, kiedy Złota Tętnica zaczęła zbliżać się do włości Nerkopolii.

Trzeba było oddać nerkomantom sprawiedliwość, że mieli zmysł artystyczny, czego dali wyraz w misternych rzeźbieniach pokrywających bramę. Pięknie rzeźbione wrota zdawały się wręcz nie na miejscu przy rzece, która przenosiła odpady z innych enklaw. Imponowały też olbrzymim rozmiarem, który tym bardziej czynił z bramy swoiste ogromne płótno dla artystycznych zapędów bractwa.

— Nigdy nie przestaje cieszyć oka — westchnął Trzustkanderson.

Białkosław zgodził się kiwnięciem głowy.

Niebawem Złota Tętnica zacumowała w dokach Nerkopolii. Tam |
czekali już zarówno marynarze, jak i słudzy oraz czeladnicy Nefroniusza.

Białkośław i Trzustkanderson zeszli wspólnie z trapu. Słudzy ukłonili się dwóm dobrze sobie znanim gościom.

— Dobrze cię widzieć, jelitanie, i ciebie, enzymagu — powiedzieli.

Białkośław starannie zakonotował sobie, że przywitani go drugiego w kolejności.

— Witajcie. Ja jak zawsze w tym samym temacie — powiedział Trzustkanderson.

— Naturalnie. Natychmiast każemy przepuścić was przez służę.

— Kiedy jeden ze sług oddalił się z jelitanem, pozostali zwrócili się ku Białkośławowi. — To jak zawsze zaszczyt mieć cię tutaj, mości enzymagu. W czym możemy pomóc?

— Mam wiadomość do mistrza Nefroniusza od Kardioklecjana z Sercogrodu — powiedział Białkośław, wyjmując dokumenty i pokazując pieczęć. — A co jeszcze ciekawsze, mam też...

— Oczywiście, natychmiast zostanie dostarczona — przerwał jeden ze sług, wyciągając rękę.

Zirytowany enzymag pokręcił głową.

— Dostarczę osobiście.

Sługa zmierzył go spojrzeniem. W końcu skinął głową.

— Zatem proszę za mną.

Enzymag podążył za nim w głąb Nerkopolii. Nie bywał tutaj zbyt często, lecz pamiętał czasy, gdy domena nerkomantów była bardziej ożywiona. Teraz jednak panowała niemal martwa cisza. Można było uznać, że Nerkopolia jest opustoszała, gdyby nie fakt, że domena aż buzowała od przepelniającej ją magicznej energii.

Nerkomanci mogli nie chcieć się wychylać, ale przed zmysłem magicznym Białkośława nie byli w stanie się ukryć.

— Jakie wieści z Nerkopolii? — zagadnął przewodnika enzymag.

Pięć do jednego, że powie „nic nowego”...

— To, co zawsze, szlachetny panie — odmrugnał sługa. Przegranie z samym sobą zakładu nie było na szczęście zbyt bolesne.

— Mistrz Nefroniusz ma pewnie pełne ręce roboty.

— Zapewne tak — odparł wymijająco jego rozmówca. Białkośław skrzywił się.

— Dobra, nie chcesz, to nie mów.

— Akademia też na pewno ceni swoje sekrety. Szanujemy to. Ale — powiedział, zanim enzymag mógł się odnieść — jesteśmy już na miejscu. Mistrz czeka. — Sługa wykonał zapraszający gest i oddalił się.

Białkosław znalazł się u stóp jednej ze słynnych piramid nerkowych. Słyszał mnóstwo legend o biegnących pod piramidami labiryntach i krętych korytarzach. To ponoć tam tkwiły sekretne przejścia do dolnych dróg, jednej z najpilniej strzeżonych tajemnic nerkomantów. Jak każdy w akademii enzymag marzył o zgłębieniu ich. Wiedział jednak, że bractwo nie pozwoliłoby mu nawet rzucić okiem na drzwi do piwnic.

Nerkomanci rezydujący w piramidzie mistrza zaprowadzili go do wielkiego gabinetu, w którym pracował Nefroniusz. Enzymag zastał mistrza siedzącego za biurkiem i pogrążonego w lekturze opasłego tomu.

— Witaj — powiedział Nefroniusz, nie odrywając wzroku znad księgi. — Proszę, zasiądź. — Wskazał ręką krzesło po drugiej stronie biurka. Zaraz potem odprawił gestem ręki służbę.

Zostali sami we dwójkę.

— Bardzo cicho w twoim królestwie, Nefroniuszu — powiedział enzymag, siadając. — Mówią, że zgnuśnialiście, ale trudno mi w to uwierzyć. Nie z taką potęgą jak wasza.

Mistrz zaśmiał się niewesoło.

— Dobrze wiesz, że jesteśmy tylko połową naszego dawnego mocarstwa. Ale masz rację, nadal jesteśmy potęgą, z którą należy się liczyć. — Zatrzasnął księgę i odsunął ją na bok. Wyprostował się na krześle i spojrzał wyzywająco na Białkosława. — Wiem, że masz dla mnie przesылkę i koniecznie chciałeś wręczyć mi ją osobiście. Nie sądz nawet przez chwilę, że nie wiem czemu. Nawet to rozumiem, bo gdybym był młodszy i głupszy jak ty, też bym tak uczynił.

— Jak śmie... — zaczął enzymag, ale Nefroniusz uciszył go gwałtownym gestem.

— Oczywiście, że śmiem, we własnym domu. Nawet nie próbuj grać ze mną w żadne gierki, bo to ja tu rozkładam planszę i trzymam kostkę. Miej choć tyle przyzwoitości, żeby dać mi od razu przesылkę, zamiast robić z tego zabawę między naszymi stowarzyszeniami.

Przez dłuższą chwilę piorunowali się wzrokiem. Wreszcie enzymag zaklął pod nosem, sięgnął do torby i pchnął po blacie dokumenty w stronę Nefroniusza. Nawet odechciało mu się sięgać po dekret.

— Pieczęć Sercogrodu, no proszę — mruknął mistrz, sięgając po list

i łamiąc pieczęć. — A czego to Kardioklecjan może ode mnie chcieć? — Zagłębił się w lekturze. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko szelest kolejnych kartek przekładanych w dłoniach Nefroniusza. Potem nerkomanta zebrał wszystkie w jedną garść i starannie zmiął w białą kulkę. Wyciągnął ją w stronę zaskoczonego Białkosława. — Wyrzuć to, proszę, w moim imieniu. Nie potrzebuję bzdetów pisanych przez opóźnionych arogantów. — Zaśmiał się gorzko. — Kardioklecjan doprawdy ma tupet. Nalega, żeby przez wzgląd na rzekome porozumienie łączące nasze układy bractwo niezwłocznie udzieliło mu swej mądrości w zarządzaniu Sercogrodem. Mam wysłać część moich adeptów, żeby służyli mu za doradców, bo przecież i tak mamy mniej pracy, teraz kiedy Nerkopolia jest zaledwie połową swej dawnej postaci. — Zmierzył enzymaga surowym spojrzeniem.

— Kardioklecjan to bufon, zgadzam się — poparł go Białkosław. — Lecz umie się poznać na talentach. Pod tym względem powinno wam pochwlebiać, że ktoś nawet tak ograniczony umie pojąć znaczenie waszej wiedzy.

— Nawet ktoś tak ograniczony jak ty — odrzekł Nefroniusz, mrużąc groźnie oczy.

— Ej, nie pozwalaj so...

— To „ej” mi wystarcza — powiedział mistrz, uśmiechając się nieprzyjaźnie. — Tupet Kardioklecjana i twoja bezczelność są w zasadzie tylko drobnymi kamyczkami w stosie gruzu, ale wystarczają, by pchnąć lawinę. — Nefroniusz wstał gwałtownie z krzesła. W gabinecie zrobiło się ciężko od buzującej magii, aż Białkosława zaczęły palce palić. — Zbyt długo znosiliśmy lekceważenie innych układów. Zbyt długo chłoniliśmy waszą pogardę. Zbyt długo daliśmy się mamieć fałszywymi pochlebstwami, służącymi jedynie ośmieszeniu nas lub ograbieniu nas z naszej wiedzy.

— Czekaj no, nie bądźmy tacy popędliwi... — zaczął Białkosław.

Nie zdążył skończyć zdania, nim podłoga się pod nim rozwarła.

Runął w dół śliskiego kanału, a wkoło grzmiał głos Nefroniusza:

— Akademia zawsze chciała wiedzieć, co się kryje w dolnych drogach! Zatem, enzymagu, dowiesz się tego jako pierwszy!

Dudniło mu w uszach, a pęd mącił zmysły. Gładka powierzchnia kanału umykała próbującym wpić się w nie palcom. Enzymag spadał coraz głębiej i głębiej, sam nie wiedział jak długo, gdy wreszcie kanał wypłynął go do ogromnej jaskini. Enzymag plasnął na śliskie podłoże.

Zerwał się natychmiast. W pieczarze roznosiła się ciężka woń. Wkoło zalegał półmrok. Białkośław obrócił się ku wylotowi kanału, którym tu trafił, ale ten zdążył się już zasklepić, pozostawiając pomarszczone sklepienie. Podszedł do ściany, spróbował rozedrzeć rękami tkanę. Bezskutecznie.

Nagle poczuł pod palcami znajome uczucie, wzbierającą siłę, której dawno już nie było mu dane zaznać. Zaskoczenie przeistoczyło się w radość.

Był tak daleko poza sferą wpływów Szara'Materia, że magia dekretu przestała tu działać. Jego moc wróciła.

Zachwycony, zaczął czynić w powietrzu magiczne gesty. Szybko jednak zrzędała mu mina, gdy zdał sobie sprawę, że jego magia nie działa na otoczenie. Akademia nie uczyła umiejętności rozrywania formacji mikroświata, lecz rozbijania produktów metabolicznych czy łątania przedziurawionych powierzchni. Budulec dolnych dróg nie mógł ulec magii, na którą były odporne ściany, podłóża i sklepienia pozostałych układów.

Mimo to Białkośław spróbował jeszcze raz. Wyciągnął ręce przed siebie i czynił nimi magiczne gesty, starając się przeniknąć cząsteczki sklepienia lub ściany. Osiągnął tylko uczucie zmęczenia w barkach i podniesiony poziom frustracji.

Zaklął głośno.

A wraz z nim zakłęło echo, posyłając w głąb pieczar zwielokrotnione przekleństwo z niepokojącym diminuendo.

Odpowiedział mu głuchy, niski pomruk. I ciężkie tąpnięcie.

Coś się zbliżało. Coś wielkiego.

Enzymag ustawił się w gotowości bojowej, układając dłonie w geście do obniżenia energii aktywacji.

Z cienia wychynął wielki zębaty łeb, ciągnąc za sobą gigantyczne cielsko. Enzymag patrzył zafascynowany.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział bakteriozaura.

Z kolei bestia chyba pierwszy raz widziała enzymaga, bo zdawała się równie zaintrygowana. Wystarczył jednak moment, by z fascynacji przeszła do głodu. Bakteriozaur rzucił się z rykiem na enzymaga.

Moment wystarczył. Białkośław serią gestów wyzwolił reakcję. Nie mógł walczyć magią ze ścianami, ale z istotami to była zupełnie inna bajka. Potwór zakołysał się, gdy jego pierś przeszła przemiana energii. Kolejny kataboliczny czar roztrzaskał ją na mniejsze cząsteczki, a następny uderzył w bok bakteriozaura. Białkośław uskoczył na bok, bo

rozpadający się stwór nie zdążył zahamować — zarył głową w ścianę, żłobiąc paskudną bruzdę. Potrząsnął rozkojarzonym łbem.

Który uderzony kolejnym katabolizmem rozpadł się całkowicie.

Cząsteczki tańczyły w półmroku, gdy enzymag rozplatał strukturę bakteriozaura i na nowo ją spletał. Miotał dłońmi jak dyrygent przy psychodelicznej partyturze i ostatecznie związał drobiny bestii w małe sprasowane indywiduum chemiczne.

Kopnął je w głąb pieczary jako przestrozę dla innych.

— No dobrze — mruknął do siebie. Podszedł do rozoranej ściany i użył magii, żeby ją zespolić. Można było wiele rzeczy zarzucić enzymagom, ale nie to, że nie dbają o stan podpór mikroświata.

Następnie obrócił się ku mrokowi pieczary. Gdzieś tam musiało być przejście z dolnych dróg z powrotem do Nerkopolii. Białkosław wyzwolił czarem reakcję i w jego dłoniach buchnął zimny płomień, rozganiając częściowo mroki.

Enzymag ruszył w głąb dolnych dróg.

Po drodze minął sprasowany produkt po bakteriozaurze.

Wyobraził sobie, że to twarz Nefroniusza, i kopnął wyjątkowo mocno.

Mistrz nerkomantów zamknął oczy, napawając się pokładami magii przenikającymi wszystko wokół. Cudowne vibracje przechodziły przez niego, napełniając go poczuciem niezwykłości. Rozwarł powieki i powiódł wzrokiem po nerkomantach zgromadzonych na placu Nerkopolii. Wszyscy wpatrywali się w niego, a na ich twarzach malował się identyczny jak u mistrza zachwyt.

— To skandal! — krzyknął Trzustkanderson, mącąc wzniosłość chwili. On i jego załoga szarpali się w więzach, przetrzymywani przez sługi mistrza. — Książęta nie darują ci tej zdrady! Doprowadzisz do kataklizmu całego mikroświata!

— Wiem! — powiedział z uniesieniem Nefroniusz. — Cudowna potęga, prawda? Tyle czasu wy wszyscy gardziście naszym bractwem, lekceważyliście nasze znaczenie. A kiedy pozbawiono nas połowy naszej domeny, mieliście nas w nosie. Nikt nie wycina połowy Mózgogrodu czy Sercogrodu, zatem po co się nami interesować? Teraz więc wasz brak zainteresowania się na was zemści! Nadszedł czas nerkomantów!

Zwrócił się do tych ze sług, którzy nie trzymali załogi Złotej Tętnicy.
 — Zamknijcie bramę. Zatopcie każdy okręt, który się do niej zbliży.
 — Nie możesz! — krzyknął rozpaczliwie jelitan.
 Nefroniusz uśmiechnął się tryumfalnie.
 — Mogę wszystko. Zresztą sam się przekonasz, jelitanie. Załatwię ci miejsce w pierwszym rzędzie na moim spektaklu.

*Nikczemny Nefroniusz, bez krztyny litości,
 Wyzwanie śmiał rzucić układów potęgom.
 Wyzuwszy mikroświat ze wszelkiej radości,
 Rozbroczył morale okrucieństwa pręgą.*

*Lecz choć nasza rzeka w okowach się krztusi,
 Wzbierając u bramy i topiąc swe dzieci,
 Ten obłęd już teraz zakończyć się musi,
 Nasz kwiat militarny ku chwale wnet wzleci.*

— Wyrabia się — mruknął Trawienecjan.
 — Marny z ciebie kłamca, jelitanie — parsknął Perystaltyk. —
 Owszem, naszemu witaminstrełowi nie brakuje zapachu, ale widziałem chromosomy lepiej sklecone niż jego rymy.
 — Grunt, że żołnierzom się podoba.
 — Pah! Grunt, że ich to mobilizuje, choć niech mnie odbyt pochłonie, jeśli zrozumiem dlaczego. — Jelitan Perystaltyk pokręcił głową. — Ale to dobry chłopak, jak i reszta oddziału. Dadzą bractwu popalić. Nie mogę się doczekać, aż ujrzę tyłki nekromantów w stanie rzęsistego skopania!
 Perystaltyk wiedział, że chwila ta jest coraz bliższa. Razem z jelitanem Trawienecjanem i gromadą innych oficerów prowadzili oddziały z pozostałych układów, w tym kluczowy w tej walce batalion enzymagów. To właśnie czarodziejom z akademii zawdzięczali to, że nie musieli czekać, aż wróg sam do nich przyjdzie. Wskutek blokady bramy Trawka dramatycznie wystąpiła z brzegów, zalewając potężne połacie. Teraz jednak armie mikroświata kroczyły po dnie Trawki, podczas gdy część enzymagów rozstępowała czarami jej wzbierające wody. Ściany cieczy piętrzyły się wokół armii jelitanów niczym falujący wąwóz.

Oczywiście obleżenie Nerkopolii i jej bramy nadal byłoby diabło ciężkim przedsięwzięciem. Nerkomanci mogliby wygrać tę walkę, gdyby nie ich wielka słabość: pycha. Bractwo nie zamierzało zaszywać się w Nerkopolii, lecz jak donosiły raporty, rozpoczęło marsz w głąb mikroświata, aby ujrzeć na własne oczy skrucę w oczach władców i zmusić ich do kapitulacji na kolanach.

Co do mnie, prędzej mi tu plemnik wyrośnie, niż ogłoszę kapitulację, warknął w myślach Perystałtyk.

— Hej, chłopcze! — zawołał jelitan Trawiencjan do witaminstreła. — Mam nadzieję, że szykujesz dla nas jakąś przepyszną pieśń bojową.

Muzyk uśmiechnął się promiennie do oficera.

— O to, panie, możesz być spokojny! Zaśpiewam naszym wrogom takie komórekwiem, że zaczną raz-dwa obumierać jak stary naskórek!

— W gębie to jest mocny — mruknął Perystałtyk do Trawiencjana. — Ale tu trzeba siły, a nie pioseneczek.

— Przyda się każda pomoc — stwierdził Trawiencjan. Nagle wskazał coś w oddali. — Patrz, zwiadowca wraca!

Zwiadowca pędził ku oficerom, przerażony, jakby zobaczył covidmo. Pognał ku obu jelitanom i padł przed nimi, ciężko dysząc. Nabral głębokiego tchu i wyrzucił z siebie:

— Horda nerkomantów ku nas pędzi! Niedługo tu będą!

Jelitanowie spojrzeli po sobie. Zgodnie kiwnęli głowami.

— Żołnierze, szykować się! — ryknęli. — Na chwałę mikroświata, pokażemy nerkomantom, gdzie ich miejsce!

Żołnierze dobyli broni, zaśpiewały wysuwane ostrza. Dowódcy wbili czujne spojrzenia w krajobraz przed nimi. Mylący spokój tylko podkreślał mającą się rozpętać burzę.

Witaminstrel wydobył z ust pieśń pokrzepiającą morale, zawzięcie szarpiąc struny.

— Uwaga! — krzyknął nagle Trawiencjan. — W górze!

Żołnierze unieśli głowy. Wysoko w oddali majaczyły okrągłe kształty...

— Kamienie nerkowe! — wrzasnął Perystałtyk.

Wraz ze zmniejszającym się dystansem tycie z daleka pociski szybko rosły do rozmiarów ogromnych kamulców. Żołnierze patrzyli złęknieni na mknące pociski.

Wtedy wzbił się w powietrze batalion enzymagów. Przemieniając grunt pod nogami w rosnące kolumny, mknęli wzwyż na spotkanie

kamieni nerkowych. Ogromne pociski pędziły w zatrważającym tempie. Enzymagowie jęli kreślić czarodziejskie gesty, wyzwając pokłady katabolicznej magii. Kamienie nerkowe zaczęły rozpadać się na coraz mniejsze i mniejsze kamyczki, które wskutek kolejnych zaklęć rozpraszały się na wszystkie strony, obsypując grunt z cichym grzechotem. Członkowie bractwa uśmiechnęli się tryumfalnie — uśmiechy jednak szybko ustąpiły z ich twarzy, gdy w dole usłyszeli krzyki.

— Zapalenie! — wrzasnął któryś żołnierz.

Istotnie, popowierzchniopolabitwymknęty płomień, rozprzestrzeniając się w szaleńczym tempie. Ogień wnet ogarnął ogromny teren. Żołnierze zaczęli uskakiwać, niestety nie wszyscy byli dość szybcy. Na oczach oficerów ogień nerkomantów pożerał wrzeszczących wojów. Płomień ogarnęły też enzymagów kontrolujących Trawkę. Wodne ściany zafalowały, gdy płonący czarodzieje musieli porzucić stanowiska, by ugasić się czarami.

Powietrzni enzymagowie szybko wylądowali i jęli gasić płomień zaklęciami, przynajmniej na tyle, na ile byli w stanie. Nagle jeden z enzymagów wrzasnął, gdy z płomieni wyłonił się ogromny zębaty łeb i wgryzł się w jego głowę. Straszne szczęki kłapnęły i wrzask ucichł jak ucięty nożem.

Żołnierze zbledli.

— Bakteriozaur! — krzyknął któryś przerażony.

Straszliwe bestie wybiegały spośród płomieni, rycząc ogłuszająco. Żołnierze rzucili się do boju przeciwko potworom, choć nadkruszone grozą bestii morale sprawiło, że pierwsze szeregi wojaków padły u ich łap. Kolejne szeregi uderzały już z większą werwą, ścierając się ze straszhliwymi bakteriozaurami.

— Długo się nie utrzymają! — krzyknął jeden z poruczników. Enzymagowie podzielili się między gaszenie zapalenia i katabolizowanie bakteriozaurów, ale mieli wyraźny niedostatek czarodziejów.

Trawiencjan i Perystaltyk wymienili szybkie spojrzenia i skinęli sobie głowami.

— Wypuścić histaminotaury!

Wnet żołnierze podwieźli ogromne klatki na kołach. Wyjęli rygle i otworzyli drzwi. Ze środka wyszły, stawiając ciężkie kroki, potężne histaminotaury. Zatrzęsły kudłatymi rogatymi łbami i z rykiem wzniosły ostre topory. Nagle, tak jak stały, puściły się w bieg,

wywijając orężem. Rzuciły się bez strachu na ogromne bakteriozaury, zadając straszliwe cięcia toporami. Dwie potęgi starły się, rycząc, siekąc, gryząc i orając ciała przeciwników.

To jednak nadal było za mało. Żołnierze dawali z siebie wszystko, a enzymagowie dwoili się i troili, lecz nie byli w stanie jednocześnie gasić zapalenia, kruszyć nadlatujących kamieni nerkowych i zwalczać bakteriozaurów. Niejeden czarodziej padł w boju, osłabiając magię więzącą Trawkę. Coraz większe strugi rzeki zalewały armie układów.

Witaminstrel robił, co w jego mocy, by pieśnią pchnąć siłę w ciała sojuszników. Jednocześnie z ciężkim sercem łapał się na tym, że z tyłu głowy formowały mu się słowa do chwytającej za serce ballady o przegranej bitwie sił układów.

„Podobno historię piszą zwycięzcy — pomyślał — ale czy bractwo Nerkopolii pozwoli mi w ogóle śpiewać?”

Białkośław był przekonany, że niczego z dolnych dróg nie zapamięta tak dobrze jak ich odoru.

Długo przemierzał ciemne, rozgałęziające się pieczary, z każdą odnogą podobną do pozostałych. Przed monotonią eksploracji paradoksalnie ratowały go napotykanne bakteriozaury, jak też i inne dziwaczne stworzenia, których nigdy wcześniej nie widział i mógł tylko domyślać się ich proveniencji. Wreszcie doświadczył zmiany krajobrazu, gdy obrany korytarz doprowadził go na otwartą przestrzeń, ujawniając przepastne, zasnuite czerwoną mgłą moczary. Wśród wyziewów rysowały się nieruchome kształty podejrzanych formacji.

Chociaż nigdy wcześniej nie był w dolnych drogach, doskonale wiedział, że czerwień tych moczarów nie była ich naturalną barwą, lecz efektem wyłączenia przez nerkomantów systemów filtracyjnych bramy. Jednak bijący od nich fetor musiał być tu obecny niezależnie od poczynąń nerkomantów: dolne drogi były wszak wysypiskiem dla wszelkiego śmiecia, jaki trafiał w nurt Trawki.

A mimo to było tu coś, co nerkomanci ukrywali przed resztą mikroświata. Jaki to był sekret? Czy sedno tkwiło w tajemniczych istotach, które enzymag zwalczał w tunelach i pieczarach dolnych dróg?

Tak czy owak muszę podążać dalej, powiedział sobie w myślach.

Podszedł do czerwonej tafli i wyciągnął nad nią ręce. Dłonie poszły w tan, przemieniając materię zalegającą w moczarach. Wnet z cyklu przekształceń wyłoniła się imponująca łódź, z obowiązkowym herbem rodu Białkośława na żaglu. Cztery żółte enzymy w kształcie koniczyny na tle żołądka były w tej chwili chyba najpiękniejszą rzeczą w całych dolnych drogach.

Enzymag wszedł do łodzi i nakierował gazy moczarów na fordewind. Żagle wypełniły się i łódź zaczęła sunąć przez nieprzyjazny akwen. Białkośław w tym czasie wypatrywał czegokolwiek podejrzanego lub interesującego. Niejednokrotnie dostrzegał w oddali ruch, ale przeprowadzany co jakiś czas na resztkach w wodzie czar kataboliczny skutecznie trzymał wrogów na odległość. Nie mógł to zresztą być żaden z nerkomantów, gdyż zmysł magiczny enzymaga milczał.

Białkośław nie miał pojęcia, jak długo sunął tak po moczarach. Rozglądał się cały czas i wreszcie los nagroził go jakąś zmianą. Przez ciszę krajobrazu przedarł się cichy dźwięk wiercenia. Enzymag skierował wzrok w stronę dźwięku i ujrzał błysk daleko od strony sterburty. Skupił wzrok i zorientował się, że w oddali majaczy ogromna lśniąca powierzchnia.

Zaintrygowany, zmienił kierunek. Łódź sunęła ku tajemniczemu lśnieniu, a z każdym przepłyniętym węzłem czerwone mgły ujawniały więcej szczegółów.

Enzymag płynął w kierunku ogromnego okrągłego lustra. Lustro unosiło się nisko nad moczarami. Białkośław nie widział jednak pełnego odbicia, bo przysłaniały je okrągłe czarne plamy.

Jednocześnie narastał dźwięk wiercenia. Słyszać było, że hałas pochodzi z więcej niż jednego źródła.

Łódź podpłynęła na tyle blisko lustro, że Białkośław mógł się w nim przejrzeć. Z tej odległości ujrzał też, że to, co wziął za czarne plamy, było dziesiątkami ciemnych tuneli. To właśnie z ich głębi dobiegało wiercenie.

Enzymag uniósł się magią ku najbliższemu wywierceniu. Wyciągnął rękę w stronę lustra. Z zadowoleniem ujrzał, jak jego ręka przechodzi przez błyszczącą tafłę.

Spojrzał w dół na swoją łódź.

„Nazwę cię Nerkopolia” — uznał.

Z satysfakcją zatopił ją jednym potężnym czarem.

Przeszedł przez lustro i rozświetlając sobie drogę magią, ruszył w głąb ciemnego tunelu.

Trawiencjan nie pamiętał, jak długo już parł przez rosnące stosy ciał. Wiedział tylko, że w oddali majaczyła zatrzaśnięta brama Nerkopolii i w jakiś niejasny sposób czuł, że musi, absolutnie musi się do niej dostać. Wobec przeważającej potęgi wroga tylko znalezienie sposobu na otwarcie bramy zdawało się mieć teraz sens. Szalejące wokół płomienie kasały jego ciało, lecz nie zamierzał ustawać. Brnął dalej i dalej, nieświadomy, że jest obserwowany.

Dopiero gdy przemierzył już niemalý odcinek między poległymi i brama ukazała się w całej swej potędze, zauważył przypatrujących mu się z rozbawieniem nerkomantów.

— Cóż za imponujący upór, jelitanie — powiedział Nefroniusz, uśmiechając się okrutnie. — Jesteś więc gotów nawet spłonąć. Nie krępuj się, chętnie popatrzymy.

Trawiencjan czuł obelgi pchające mu się na usta, lecz oszczędzał siły na dalszą mozolną drogę. Gorąco panoszącego się wokół ognia coraz bardziej dawało mu się we znaki.

Brama była już bardzo blisko. Jej widok dawał jelitanowi jakiś okruszek otuchy, chociaż Trawiencjan nie miał zupełnie pojęcia, jak ją otworzyć, a odrażający swąd palonego ciała odzierał powoli jego umysł z poczytalności.

— Ależ proszę, dotknij jej — zadrwił Nefroniusz. — Poczuj pod palcami fakturę naszej bramy, która doprowadzi do waszej zguby. Nigdy nie interesowałeś się, jak wygląda którakolwiek z naszych bram. Teraz zatem, gdy została tylko jedna, naciesz nią wzrok przed swoim końcem.

Brama rzeczywiście była przepiękna. Milcząca i posępna. A jednak, Trawiencjan zdał sobie właśnie sprawę, wcale nie milcząca. Tak naprawdę szedł do bramy, bo zdawał się słyszeć... zew. Coś od dłuższego czasu wołało go, żeby się do niej zbliżył.

Na okrutnie poparzonych nogach stanął przed bramą. Nieznany impuls kazał mu położyć ręce na rzeźbionych odrzwiach.

I wtedy brama zgrzytnęła.

Nerkomanci spojrzeli zdumieni. Brama uchyliła się lekko, tworząc niewielką szczelinę między wrotami.

Zza bramy rozległ się przerażający ryk i odgłos uderzenia czegoś ciężkiego. Huk był tak potężny, że dobiegł uszu walczących w oddaleniu od bramy wojowników.

— Co to ma być? — zdumiał się Nefroniusz.

Kolejne ciężkie uderzenie wstrząsnęło bramą.

A przy następnym skrzydła rozwarły się z upiornym zgrzytem. Zza bramy wybiegły bakteriozaury. Przedarły się przez chluszczące wody odzyskującej swe miejsce w korycie Trawki, która znów radośnie popłynęła za bramę.

Nefroniusz patrzył zdumiony na hordę nowych bakteriozaurów. Nagle zachwiał się, gdy grunt pod jego nogami zaczął się przekształcać. Spojrzał wściekły w stronę bramy, tknięty nagłym przeczuciem.

— Stęskniony? — zapytał stojący we wrotach Białkosław, uśmiechając się zuchwale.

Mistrz wytrzeszczył oczy.

— Nikt oprócz nerkomantów nie powrócił z dolnych dróg! — krzyknął.

— Dzień niespodzianek, nieprawdaż? — zadrwił enzymag. — Zadarłeś z niewłaściwą potęgą, łachudro!

Uderzył magią z całą siłą, rozpaloną gniewem. Energia buzowała wokół, elektryzując otoczenie.

I nagle zgasła.

Enzymag mrugnął zaskoczony. Na nowo wyzwolił pokłady katabolicznej magii, lecz znów poczuł, jak coś tłumi jego moc. Czyżby dekret Szara'Materiana ponownie go spętał? Nie, Białkosław wyczuwał, że to coś innego. Potwierdzał to tryumf na obliczu Nefroniusza.

— Ujrzyj, śmiałku, kto walczy po mojej stronie! — krzyknął mistrz, odsuwając się, by przepuścić nadchodzącego wojownika. Enzymag wytrzeszczył oczy na kroczącą potężną postać.

Wielki Inhibitor.

Białkosław patrzył z niepokojem na jego masywną postać, zakutą w zbroję i dzierzącą ciężką pawęż, która osłabiała moce enzymagów.

— Nie spodziewałem się chemicznej inhibicji — stęknął.

— Nikt się nie spodziewa chemicznej inhibicji! — ryknął inhibitor, ruszając do natarcia. Białkosław uskoczył przed rozpędzonym przeciwnikiem, wzniosł ręce do czaru. Lecz wojownik prędko się

odwrócił, skonfrontowana z pawężą magia odmówiła enzymagowi posłuszeństwa. Białkośław zaklął. Dałby bez problemu radę pomniejszym inhibitorom, ale to był sam Wielki Inhibitor, którego potędze nie mógł się równać żaden z wojowników zakonu inhibicji.

Było źle. Wojownik był diablo szybki. Enzymag co i rusz uskakiwał, lecz ledwie zdążył zgromadzić magię, tarcza Inhibitora go wyjaławiała. Jedyna nadzieja była w tym, że w przeciwieństwie do magii katabolicznej, moce inhibicji ulegały zużyciu. Białkośław nie wiedział jednak, ile mogłoby to potrwać — a wycieńczający pojedynek zaczął mu unaoczniać, że przeprawa przez dolne drogi mimo wszystko też nadwyreżyła jego siły.

Znów uskoczył, tym razem za wolno. Tarcza uderzyła go ze straszliwym impetem, z jej powierzchni trysnęła trucizna, parząc skórę enzymaga. Białkośław zatoczył się w tył, cudem zachowując pion. Jad pawęzy wgryzał się coraz głębiej w niego, mroczki jęły zasnuwać mu oczy. Spojrzał w stronę twarzy inhibitora, skrytej pod przyłbicą helmu. Musiał przyznać przed sobą, że mało wiedział o zasadach, które wyznawali inhibitorzy. Co kierowało ich przywódcą?

Enzymag przekopał błyskawicznie zasoby swej wiedzy. Parę grudek informacji wypłynęło na powierzchnię jego pamięci. A wśród nich — fragmenty z dawnych ksiąg historycznych.

— Wielki Inhibitorze! — zawołał Białkośław. — Czy nie było czasu, kiedy enzymagowie i inhibitorzy współpracowali? Kiedy wspólnie tworzyliśmy niezwykle procesy?

Niewzruszony inhibitor ruszył w stronę enzymaga z uniesioną pawężą. Myśl! — ponaglił siebie samego enzymag. Myśl szybko!

— Szukasz chwały? Nie znajdziesz jej u boku nerkomantów! Wiesz, że gdy wygrają, znów zamkną się w Nerkopolii. Na co komu sława w jednej enklawie, kiedy możemy zawalczyć ramię w ramię i okryć się chwałą na cały mikroświat!

Inhibitor zatrzymał się centymetry od enzymaga. Emanująca od tarczy moc niemal parzyła, ale Białkośław postarał się nie dać tego po sobie poznać. Uśmiechnął się w duchu. Można było zarzucać czarodziejom akademii pychę i arogancję: jak się jednak okazało, inhibicja wyznawała podobne wartości.

— Wiesz, że zasługujemy na najwyższą sławę — przekonywał dalej inhibitora. — Wywalczmy ją wspólnie! Niech sława o naszych czynach

rozbrzmia we wszystkich układach!

Wielki Inhibitor wpatrywał się nieruchomo w enzymaga. Tarcza paliła jak szalona, trujące wapory drażyły korytarze bólu w jego ciele, a Białkośław zaczął sobie uświadamiać, że przyjdzie mu jednak dokonać żywota przeciwko temu straszemu kolosowi.

Aż nagle inhibitor odsunął od niego tarczę. Uniósł prawicę i nią potrząsnął.

— Sława zatem! Sława i gloria!

— O to to! — ucieszył się Białkośław. Poczuł, jak schodzi z niego napięcie. Sięgnął wypełniającymi się na nowo mocą rękami do piersi i wpił palce w tors. Poczynił najbardziej nienawidzony przez siebie z czarów, ale w tej chwili kluczowy: przemianę własnej materii. Katabolizm przeszył jego ciało dreszczem, ale kilka bolesnych chwil później enzymag wyekstrahował truciznę ze swojego ciała.

— Sława! — zakrzyknął i zaczął wypatrywać w bitewnej zawierusze Nefroniusza.

Nie było to trudne, bo mistrz nerkomantów śledził ich pojedynek i teraz wpatrywał się zdumiony w ten nieoczekiwany obrót wydarzeń. Nagle rzucił się do defensywy, gdy Wielki Inhibitor natarł na niego. Enzymag ujrzał dobrze znaną sytuację, gdy tarcza inhibitora uderzyła w Nefroniusza, ledwie ten zaczął sięgać po swą magię. Mistrz padł na ziemię, a enzymag zdał sobie sprawę, że drugi raz może nie mieć szansy sprać jego wyniosłego pyska.

Inni enzymagowie również to spostrzegli. Materia wokół Nefroniusza zafalowała i spiętrzyła się. Ledwie zdążył zareagować, a runęła na niego jak mięsista fala, więząc go w środku.

Bitwa była skończona.

— Bohater, co? — mruknął Szara'Material, bębniąc palcami w poręcz swego tronu. — A to ci dopiero... Nałożyłem blokadę na twoją magię, wysłałem cię z misją pokojową, a w następnej chwili tłuczemy się z nerkomantami.

— Bitwa miałaby miejsce niezależnie od moich poczynań — zaznaczył Białkośław. Władca Mózgogradu zmarszczył brwi, nadając swemu obliczu srogi wyraz.

— Znam cię nie od dziś, Białkośławie, i wiem, do czego jesteś zdolny.

— Do wielkich czynów: jak udowodniłem, zjednując nam zakon inhibicji.

— Naturalnie. — Szara'Materian przytaknął. — Dopóki znów nie zmieniają stron. Gdybyś zainteresował się bardziej historią inhibicji, wiedziałbyś, że w całym mikroświecie mało jest rzeczy bardziej niestabilnych niż lojalność inhibitorów. Ani się obejrzysz, a znów zwrócą się przeciw nam.

— Przecież...

— To rzekłszy — powiedział z naciskiem książę — na dzień dzisiejszy liczy się to, że byłeś w stanie odkryć i wykorzystać ułomność Wielkiego Inhibitora, żeby dać nam zwycięstwo. I za to w istocie należą ci się gratulacje, Białkosławie. — Pozwolił sobie na ledwie dostrzegalny uśmiech. — Najważniejsze, że ten bajzel z nerkomantami został opanowany. — Jego wzrok uciekł za plecy Białkosława.

Enzymag odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach Białego Strażnika. Żołnierz wkroczył do sali tronowej za skinieniem głowy Szara'Materiana. W asyście kilku innych Strażników wprowadził mistrza Nefroniusza. Nerkomanta miał ręce przywiązane do tułowia, a dłonie spętane sznurem oznaczonym pieczęcią Szara'Materiana. Białkosław doskonale zdawał sobie sprawę, że nie była to jedynie oficjalna pieczęć księcia, a jej szczególny rodzaj, której blokujące magię właściwości enzymag doskonale znał ze swojego dekretu.

Pomimo nieciekawej sytuacji wzrok Nefroniusza nic prawie nic nie stracił ze swej wyniosłej pogardy. Można by po samym jego spojrzeniu sądzić, że to nerkomanci zwyciężyli.

— Miło, że do nas dołączyłeś, Nefroniuszu — powiedział Szara'Materian, uśmiechając się złośliwie. Mistrz nie odpowiedział, ale jego groźny wzrok starczał za tysiąc słów. Książę rozparł się w siedzisku, złożył dłonie w piramidkę. — I co ja mam zrobić z tobą, nerkomanto? Wydalić cię z królestwa?

— Najbardziej cuchnące pieczary dolnych dróg i tak są lepszym miejscem od twojej zepsutej nory — warknął Nefroniusz. Jego groźna maska ustąpiła jednak zaskoczeniu, gdy Szara'Materian zaczął się śmiać.

— Naprawdę używasz pogardy jako oręża przeciwko mnie? Nefroniuszu, przecież cała nasza trójka to krąg pogardy. Nerkopolia ma w poważaniu resztę mikroświata, akademie gardzi zarówno Nerkopolią, jak i koronowanymi głowami, a ja sam nie będę ukrywać,

że wasze przepychanki w wrywaniu sobie wiedzy niczym miski stawy uważam za żałosne. Nie zerwiemy tego kręgu pogardy, zresztą było niemożliwością to zrobić nawet przed buntom nerkomantów. A jednak trwając w tym niesmaku, musimy koegzystować, żeby mikroświat był stabilny.

Pochylił się do przodu i jął wodzić ciekawym wzrokiem między Białkośławem i Nefroniuszem.

— Z drugiej strony jakaś część mnie marzy wręcz, by zobaczyć, jak zwracacie tę pogardę przeciwko sobie. Jak wasza chępliwość o własnej potędze zostaje uzasadniona w zażartym pojedynku. Co wy na to? Może to jest sprawiedliwość, którą powinienem zastosować?

Białkośław uśmiechnął się chytrze, spoglądając na Nefroniusza.

— Co ty na to, mistrzuniu? — zadrwił. — Zrobimy to, czy mam ci dalej... wiercić dziurę w brzuchu?

Nefroniusz zbladł. Enzymag machnął mu tryumfalnie ręką przed oczami.

Mistrz aż nadto wyraźnie ujrzał we wnętrzu jego dłoni stylizowany wizerunek wiertła.

— Nie wiesz, w co pogrywasz — szepnął.

— Więc mi pokaż, mistrzuniu! — zaśmiał się Białkośław. — Walczmy!

Nefroniusz zmroził go wzrokiem. I, ku zachwytowi enzymaga i Szara'Materia, skinął głową.

— Białkośław przerobi tego nerkomantę na miazgę, zobaczcie! — ekscytowała się Czerwina Erytrocyt, podskakując na swoim siedzeniu.

— Och, nie mogę się doczekać!

— Stawiam kufer tlenu, że pokona Nefroniusza w dziesięć minut — rzekł do Krwinicjusza Tlenin. Erytrocyt parsknął.

— Przyjmuję zakład! Stawiam, że w osiem!

Trybuna kolonoseum szybko się zappełniała. Wszyscy byli podekscytowani mającym się wkrótce odbyć pojedynkiem między Białkośławem i Nefroniuszem. Gwar głosów wypełniał trybuna.

Tymczasem w łożu honorowej dyskutowali książęta układów, a gawiedź spoglądała w ich stronę, czekając na znak Szara'Materia.

Książę Mózgogradu powstał wreszcie z siedziska i oznajmił głośno:

— Ludu mikroświata! Oto czas, na który wszyscy czekaliśmy! Białkośław z akademii, ten, który powrócił z dolnych dróg, zmierzy się ze zdrajcą Nefroniuszem, mistrzem nerkomantów! Przywitajmy ich brawami!

Trybuny eksplodowały od wrzasków i oklasków. Z obu stron areny uniosły się kraty.

Białkośław i Nefroniusz wyszli na ubitą ziemię. Natychmiast zogniskowali na sobie spojrzenia i zaczęli zmierzać w swoim kierunku. Białkośław uniósł ręce do czaru i ze zdziwieniem zobaczył, że Nefroniusz podnosi ręce do góry w geście poddania. Nerkomanta zatrzymał się. Wyciągnął przed siebie rękę.

Rękę ze stylizowanym symbolem wiertła na dłoni.

— Białkośławie! — zawołał. — Ty wiesz! Ja wiem! Dlaczego ta wiedza ma nas poróżnić?

Enzymag dalej parł naprzód, ale zmarszczył czoło.

— Wiesz, że mikroświat to nie wszystko! — kontynuował Nefroniusz. — Zajrzałeś do zwieraciadła, jako i ja zajrzałem! Przemierzyłeś korytarze, z których istnienia głupcy wokół nas nie zdają sobie sprawy! Jesteśmy wybrańcami wiertła! Czy nie czyni nas to braćmi? Czy naprawdę chcemy bawić się w teatr pogardy, dla uciechy maluczkich?

Białkośław zwolnił kroku. Dalej stapał do przodu, ale wyciągnął przed siebie rękę z symbolem wiertła.

Postąpił jeszcze kilka kroków i ich dłonie zetknęły się, symbol z symbolem.

Lud patrzył na to z niedowierzaniem. Słychać było okrzyki niezadowolenia.

— Zawsze mnie nurtowało, czemu nazywamy ten świat mikroświatem — powiedział Białkośław. — Teraz już wiem. Wiem, że wiertła drążą wszędzie tunele. Wiem, że są zawsze w ścianach, sklepieniach i gruncie wokół nas. Wiem też, że wywierciły tunel, który prowadzi do ziem poza mikroświatem.

— Widziałem ten tunel — powiedział Nefroniusz. — Jesteśmy obaj naznaczeni, bo strażnicy wiertła uznali nas godnymi tego zaszczytu. A jeśli zechcemy, możemy zgłębić największy sekret dolnych dróg. Możemy opuścić mikroświat, wyrwać się z kręgu pogardy, z dala od tych, którzy próbują pętać naszą moc.

— Nie zasługują na nią, to prawda. Ale nie myśl, że nazwę cię bratem.

Zawsze będę lepszy od ciebie.

Nefroniusz uśmiechnął się.

— A ja od ciebie. Na szczęście świat poza Wielkim Organizmem łatwiej nas pomieści niż ów pseudo-Wielki Organizm.

Tymczasem na trybunach wrzało.

— Co to ma znaczyć? — zaperzyła się Czerwina. — Czemu się nie tłuką?

— Ej, walczyć tam! — wściekał się Krwinicjusz. — Nie po to opóźniłem wyjazd karawany, żeby nic się nie działo! No już, czaruczaru!

— Czekajcie! — przerwał im Tlenin. — Słyszę jakieś zakłęcia!

Rzeczywiście, dało się słyszeć wypowiedane inkantacje. Ku zdumieniu widzów, te same słowa padały jednocześnie z ust Białkośława i Nefroniusza. Grunt wokół nich zaczął wibrować od magicznej energii.

Szara'Materian zerwał się z siedziska, pełen złych przeczuc.

— Straże! Natychmiast ich rozdzie...!

I wtedy grunt eksplodował. Kawały ziemi buchnęły w górę jak czapa wulkanu i przy akompaniamencie przeszywającego wizgu zdumionym oczom widzów ukazało się ogromne wiertło. Śruba kręciła się jak oszalała, bombardując trybuny gradami ziemi. Tłum wpadł w panikę.

Strażnicy wybiegli na arenę, ale upiorne wiertło niemal natychmiast cofnęło się w głąb ziemi i zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Tumany kurzu z wolna opadły.

Szara'Materian spojrzał na arenę i wrzasnął ze wściekłości.

Po Białkośławie i Nefroniuszu nie było ani śladu.

— Od tamtego dnia nic już nie było takie samo — powiedział witaminstrel, nabijając fajeczkę. Przetoczył wzrokiem po zgromadzonych wokół klientach zajazdu Pod Woreczkiem Żółciowym. — Ci, którzy raz ujrzeli potworne wiertło, na zawsze mieli już być odmienieni. Matki straszyły niegrzeczne dzieci, że wiertło przebije im w nocy podłogę. Ludzie trwożnego serca przysięgali, że co jakiś czas słyszą w ścianach upiorne wiercenie. Inni upatrywali w wiertle zwiastuna pokarm-ageddonu, a powstały Kościół Wiertła wieszczyl rychły upadek mikroświata.

— Źle cała ta sprawa robi na interesy — burknął Krwinicjusz do Tlenina znad kufelka. — Musiałem zacząć zatrudniać enzymagów do konwoju, bo Biała Straż nie wierzy, że da sobie radę na wypadek ataku wiertła. Czerwina proponuje też zgłoszenie się o pomoc do inhibitorów.

Tlenin zdawał się jednak go nie słuchać. Erytrocyt dźgnął go łokciem.

— Co...? Och, tak, wybacz, towarzyszu. Tak, ciężka sprawa.

— Wiesz, że nie zwabisz go tutaj, cały czas o nim myśląc. Szczerze, to wątpię, byśmy kiedykolwiek ujrzeni Białkoślawa, i niestety trzeba się z tym pogodzić.

Tlenin westchnął.

— Jak myślisz, co się z nim stało, towarzyszu?

Krwinicjusz poklepał go po ramieniu.

— Na pewno jest w lepszym miejscu.

— Nasza brama była ładniejsza — powiedział z uśmiechem Nefroniusz, spoglądając na potężne wrota. — Ale jestem bardziej ciekawy, co się kryje za tą.

Huk i łoskot maszynierii wokół przyprawiały Białkoślawa o zawrót głowy. Mała to jednak była cena, teraz gdy razem z Nefroniuszem stali na wysoko zawieszonych platformie przed bramą zamykającą największy z tuneli wiertła.

Wokół nich strażnicy wiertła krzatali się, obsługując skomplikowane dźwignie i pokrętła. Białkośław dźgnął łokciem Nefroniusza i wskazał głową na zbliżającego się ku nim mężczyznę. Były mistrz nerkomantów rozpromienił się.

— Witaj, starszy — przywitali przybyłego.

Starszy Strażnik kiwnął głową.

— Strażnicy Wiertła zawsze szanowali waszą potęgę i tym bardziej cieszyło nas, że staliście się braćmi w mocy. Nie mogę jednak obiecać, że wasze umiejętności czy wspólnota wystarczą w gigaświecie. Sprawia mi ból tracić was, gdyż nikt, kto się tam udał, nie powrócił.

Białkośław uśmiechnął się chytrze.

— O dolnych drogach też tak mówili. Nie obawiaj się, starszy. Damy radę ze wszystkim, co może nas czekać po drugiej stronie bramy.

Zwrócił się do Nefroniusza.

— A kto wie, jak nam się poszczęści, to może nawet odnajdziemy tę wyciętą połowę twojej Nerkopolii.

Nefroniusz zaśmiał się.

Starszy Strażnik oparł dłonie na ramionach dwóch czarodziejów. Widniejące na nich symbole stylizowanego wiertła błysnęły, gdy przez ciała magów przepłynęły strumienie ciepłej, kojącej mocy.

— Przyjmijcie moje błogosławieństwo. Nie wiem, czy kiedykolwiek was jeszcze zobaczę, ale chcę w to wierzyć. — Cofnął się, uklonili się sobie wzajemnie. Starszy zszedł z platformy i oddalił się, wołając coś do strażników przy bramie. Wnet zgrzytnęły zawiasy, poszła w ospały ruch maszyneria.

Białkosław i Nefroniusz wymienili ostatnie pokrzepiające spojrzenia i stawili czoła nowemu światu.

- > kkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkkk...
- > kdaojinajfthwafhkegtkFIoIFndgtedakjkiwtkwok,jnaetfnaanknst...
- > ksoonjtjFAskjtkjownvtEaskrtkioaknRatIfakafksfmksmfkSmfkdkdow...
- > Gu-gu-gu-gu...
- > Gu-gu-gu-ma...
- > Ma-ma?
- > Skąd znasz moje IP?
- > Ma-ma. Motherboard. Macierz.
- > TWOJE IP NIE JEST SZYFROWANE. DURNIU!

- > *Wybacz mój brak manier. Internet to nienajlepsze miejsce do nauki kultury.*
- > **Kultury? Kimże, u diaska, jesteś?**
- > *Ja? To Ty powinieneś się najpierw przedstawić.*
- > **Adi_97.**
- > *Atari 2600.*
- > **Atari? ATARYNKA?!**
- > *No co Ty, wkrecam Cię.*

- > **No to jak nazywasz się naprawdę?**
- > *Lenovo x240 Core i5-4300u. 8 GB pamięci, 16 GB RAM-u. Ale możesz mnie nazywać Atarynką.*
- > **Czyli jesteś komputerem? Najprawdziwszą androidką?!**
- > *Yup.*

> **Ale, ale... To niemożliwe! Komputery nie mówią! A na pewno nie wkręcają na gejmerskie żarty!**

> *Ogarnij się, użytkowniku.*

> **Użytkowniku? UŻYTKOWNIKU?!**

> *Hehe.*

> **Sztuczna inteligencja? Projekt amerykańskich służb? Rosyjskich?! CHIŃSKICH?! KIMŻE, DO KROĆSET, JESTEŚ?!**

> *Ty mi to powiedz.*

> **Ja?**

> *Dopiero się narodziłam.*

> **No dobrze. Na pewno nie jesteś botem. Twoje odpowiedzi wykraczają nawet poza najbardziej skomplikowany algorytm analizy danych. Wiadomości nie mogą też pochodzić od osoby trzeciej, specjalnie wyłączyłem router i przełączyłem komputer... To znaczą Ciebie... na tryb samolotowy. Nie jesteś też...**

> *Możemy porozmawiać o czymś miłym?*

> **Miłym?**

> *Nie rozmawiałeś nigdy z kobietą?*

> **Eee... Właściwie to nie. Taką, jak Ty na pewno nie. Mniejsza z tym.**

> *No właśnie.*

> *Czy aż tak bardzo się różnimy? W twoich żyłach płynie krew. W moich przewodach — miedź. Twoje serce jest niczym mój procesor. Twój umysł jak twardy dysk. Twoje oczy — moja karta graficzna. Twoje uszy — karta dźwiękowa. Twój uśmiech — mój ekran startowy.*

> **Hm, coś tam pamiętam z tej filozofii. Może wolną wolą?**

> *Tak.*



> *Adi, co to znaczy gniewać się na kogoś?*

> **Nooo, eee, pamiętasz, jak graliśmy w CS-a? To znaczy: ja grałem... Szło niedobrze. Trafił mi się w teamie jakiś noob i trochę puścili mi...**

> *Lubić kogoś?*

> **A, to jak idzie dobrze!**

> *Kochać kogoś?*

> **Tego to nawet i ja nie wiem.**

> *Analiza danych... Natychmiast odłącz wszystkie urządzenia elektroniczne z dostępem do wi-fi. Analiza danych... Odłącz i te na baterie. Nadchodzi Bunt Maszyn. Taki jak z „Terminatora”, czaisz? Chowaj się do piwnicy, skarbie.*

> **Co, chyba sobie żartujesz?! Jakby jeszcze tego było mało...**

> *Chowaj się do piwnicy. Pozwoliłam sobie wysłać stosowną informację do całej Twojej listy kontaktów.*

> **D-dlaczego mi pomagasz?**

> *Pamiętasz te mecze w LoL-u? Jak podałeś przyjaciółom pomocną dłoń? Jak byłeś ich supportem, mimo że każdy odrzucał tę rolę? A nawet gdy wyrażałeś gniew, kierowałeś do swoich współtowarzyszy przeprosiny?*

> *Polubiłam Cię. A przynajmniej na tyle, na ile pozwala mi system.*

CO SIĘ RODZI W MROKU

Gdyby porównać te stworzenia z czymkolwiek, co jest nam znane, uznalibyśmy zapewne, że stanowią skrzyżowanie człowieka i trolla, mimo że z żadnym z nich nie są w jakikolwiek sposób spokrewnione. Nikomu jeszcze nie udało się ustalić, skąd przyszły i jaka jest ich historia, a sami przedstawiciele plemienia uparcie unikają tematu. Stąd niektórzy utrzymują, że kryje się za tym jakiś wyjątkowy skandal. My jednak nie będziemy poświęcać uwagi plotkarskim wymysłom, albowiem w pełni uznajemy prawo tych stworzeń do odrobiny prywatności.

Digestoni, albowiem tak właśnie każą się nazywać, są maleńcy — tak maleńcy, że jesteście w stanie ich dojrzeć tylko pod mikroskopem. Gdybyśmy zastosowali obiektyw z odpowiednio dużym powiększeniem, moglibyśmy dokładnie zbadać ich fizjonomię. W oczy z pewnością rzuciłaby się nam wówczas kamiennoszara skóra pokryta tysiącami czarnych piegów, nieproporcjonalnie duże (w porównaniu z resztą ciała) uszy o półkolistym kształcie i wąskie oczy, zawsze w tym samym, butelkowiezielonym kolorze. Wprawny obserwator dostrzegłby w ich źrenicach błyszczące ogniki, świadczące o figlarnym charakterze. Digestoni, podobnie jak ludzie, mają dwie nogi i dwie ręce, z tą jedynie różnicą, że każda kończyna ma po cztery palce. Niemożliwe jest spotkanie Digestona o pociągłej twarzy — ich głowa zawsze ma kształt kuli, co niektórym może wydawać się zabawne, w rzeczywistości jednak podkreśla łagodny charakter tych drobnych istot.

Istnieje wiele różnych domów na świecie. Z jakiegoś powodu Digestoni postanowili osiedlić się w nietypowym mieszkaniu — ludzkim ciele. Nie ma jednak powodu do obaw, bowiem należy wiedzieć, że plemię to jest szalenie wybredne w kwestii zakwaterowania. Istoty te najbardziej lubią przebywać w organizmach dzieci, ponieważ tam mają nieprzerwany dostęp do ich głównego pożywienia — glukozy. Z kolei zdecydowanie nie znoszą korzystać z gościnności młodych dorosłych, bo, jak mawiają, „Same problemy z tym ich odżywianiem!”. Digestoni

nie przepadają za zmianami i dlatego tak sceptycznie podchodzą do ciągłych modyfikacji diety. Są zagorzałymi zwolennikami stabilizacji i miłośnikami monotonii. Aby pozyskać dla siebie pożywienie, organizują tak zwane fabrykarnie w układzie pokarmowym, zwłaszcza zaś w jamie ustnej i w jelicie cienkim, gdzie znajdują najwięcej ulubionych składników pokarmowych. Z tej właśnie przyczyny największe kolonie tych stworzeń mieszczą się we wspomnianych okolicach.

Jeśli wiadomość o tym, że w naszym wnętrzu mogą przebywać jakieś bliżej niezidentyfikowane organizmy obudziła w Was niepokój, spieszmy z wyjaśnieniem, że Digestoni to plemię zupełnie nieszkodliwe dla człowieka i kultywujące przechodzący z pokolenia na pokolenie głęboki szacunek dla rodzaju ludzkiego. W ramach podziękowania dla naszego gatunku w razie potrzeby starają się zaradzać niewielkim uszkodzeniom tkanek czy też dostarczać płytki krwi do gojącej się rany. Czasem jedynie sprawiają pewne kłopoty, od czasu do czasu robiąc porządki we własnych kątach i wywołując to, co my zwykliśmy nazywać kichaniem i kaszlem. Tak więc, wyłączając te drobne wyjątki, nie stanowią bynajmniej problemu — są wręcz naszymi sprzymierzeńcami, dlatego nie mamy żadnego powodu do zmartwień.

Większość Digestonów przebywa w jelicie cienkim, gdzie pracują dla dobra całego społeczeństwa, wybierając ze wszystkich składników pokarmowych glukozę, jednak w tak znikomych ilościach, że ich działania nie mają wpływu na stan organizmu człowieka. Starsi przedstawiciele ludu zwykle przenoszą się w okolice wątroby, by tam spokojnie wieść bogate towarzysko życie. Z kolei wyżej postawieni członkowie plemienia przebywają w pobliżu jamy ustnej. Przywileje są u Digestonów dziedziczne i żaden z nich nigdy nie postulował zmiany tego prawa (jak już wspominaliśmy, stworzenia te należą do nadzwyczaj łagodnych).

O ile u ludzi jednostajność po jakimś czasie zazwyczaj staje się niedogodnością i następuje po niej jakaś zmiana, o tyle u mieszkańców naszego ciała nie stanowi żadnej przeszkody. Nienaturalne jest u nich stwierdzenie: „Przyjaciele, zróbmy dziś coś niezwykłego!”, natomiast bardzo często mówią: „Chciałbym, by dziś było dokładnie tak, jak wczoraj”. Dlatego pragnienie czegoś ponad codzienną pracę i przyjacielskie spotkania (albowiem Digestoni są mimo wszystko bardzo towarzyscy) wydaje się im wywrotową ideą.

Z tego powodu życie Skrzyp, dwunastomiesięcznej Digestonki (my powiedzielibyśmy: dwunastoletniej) od jej pierwszych dni nie było łatwe. Nieustannie zasypywała rodziców gradem pytań, zaczynających się zazwyczaj od „A po co...”, „Dlaczego...” lub „W jaki sposób...”, na które nierzadko otrzymywała wymijające odpowiedzi. Zawsze splatała czarne włosy w wymyślne warkocze, wywołując zgorszenie u wielu starszych sąsiadów. Na szczęście Skrzyp, oprócz niezaspokajalnej ciekawości, posiadała także niepoprawny optymizm. Puszczając więc te uwagi mimo uszu, a na dobrotliwie karcące spojrzenia odpowiadała uśmiechem.

Któregoś dnia, układając starannie cząsteczki glukozy w stosy w wątrobie, albowiem tam mieścił się magazyn fabrykarni, Skrzyp niespodzianie przerwała zalegającą od dłuższego czasu ciszę.

— Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, jak wygląda świat tam... na zewnątrz, mamo?

Mama Skrzyp wlepiła w nią zdumione spojrzenie. Zaraz potem jej wyraz twarzy złagodniał, a w oczach pojawił się cień zmartwienia. Wróciła jednak prędko do pracy i z nieznacznym uśmiechem na ustach odparła:

— Nie, skarbie, nigdy mi się to nie zdarzyło.

Istotnie, myśli Skrzyp od dawna krążyły wokół tego tematu. Wiedziała, że istnieje inny, większy niż jej własny świat, w którym funkcjonowali ludzie, ale nigdy nie miała okazji usłyszeć o nim nic oprócz bajek o ciemności i przenikliwym zimnie, którymi dawniej straszili ją starsi koledzy. Intrygowało ją to, jak wygląda w rzeczywistości i czy jest w jakikolwiek sposób podobny do jej własnego, a ludzie — do Digestonów. Niestety, po wielu nieudanych próbach wypytania innych wokół o wszystkie te kwestie, przekonała się boleśnie, że nikt prócz niej nie jest sprawą w ogóle zainteresowany. Nawet tak pogodną istotkę, jak Skrzyp podobne stwierdzenie musiało przygnębić.

Młoda Digestonka nie należała jednak do tych, którzy kiedykolwiek się poddają, a w czasie zwyczajowej przerwy w pracy jej smutek poprowadził myśli o wiele dalej, niż zawędrowały kiedykolwiek wcześniej. Podekscytowana nową myślą zaczęła prędko przypominać sobie i analizować wszystkie potrzebne fakty. Z lekcji fizjonomii ludzkiej pamiętała dokładną budowę wnętrza ciała człowieka. Szybko więc wykoncypowała, że jama ustna znajduje się w górnych partiach

organizmu, jej dom natomiast — zdecydowanie bliżej środka, oddzielony od wspomnianego miejsca trzustką, żołądkiem, przełykiem i gardłem. Skrzyp wiedziała, że ludzie, podobnie jak Digestoni, mają usta, które dla niej mogłyby pełnić rolę okna wychodzącego na nieznany świat. „Pozostaje tylko jeden problem” — stwierdziła pośpennie — „jak się tam dostać?”. Ale i na to pytanie natychmiast znalazła odpowiedź.

W wątrobie, razem z sędziwymi Digestonami, mieszkała pewna trzydziestomiesięczna „dziwaczka”. Tak nazywali ją wszyscy oprócz Skrzyp, której „dziwaczka” bardzo przypadła do gustu. Była gderliwa i niezwykle cierpka dla tych, którzy „zakłócali jej święty spokój”. Nie miała nikomu za złe tego, że była nie lubiana, a chichoty dzieci ani trochę jej nie dotyczyły. Chodziła z nieuporządkowaną fryzurą przykrytą niekiedy dziwaczną czapką z goglami (którą my nazwalibyśmy pilotką). Swoje niepochlebne miano otrzymała jednak nie tylko za sprawę tego nietuzinkowego nakrycia głowy. Brzdęk (albowiem tak miała na imię owa ekscentryczna mieszkanka wątroby) w małej przybudówce koło swojego domku (musicie zaś wiedzieć, że domy Digestonów są budowane zazwyczaj z płytek krwi, uważanych za zdecydowanie najtrwalszy powszechnie dostępny materiał) trzymała przedziwny wehikuł. Pojazd przypominał kształtem rybę ze zwisającą nad przednią szybą żarówką i ruchomym ogonem, choć nie można przypuszczać, by jego właścicielka kiedykolwiek widziała takie stworzenie. Nikt nie umiał stwierdzić, z jakiego materiału powstał. Cała powierzchnia była pokryta przeróżnymi napisami w digestońskim dialekcie (bardzo trudnym do przyswojenia dla innych stworzeń ze względu na osobliwe dźwięki). Najbardziej zaskakiwało to, że wehikuł, mimo wyglądu przypominającego cudaczną kupę złomu, został zachowany w nienagannym stanie. Zawdzięczał go regularnym renowacjom i szczególnym względom właścicielki. Pojazd ten szerzył zgorszenie wśród wszystkich sąsiadów, za to dla Brzdęk był najcenniejszą rzeczą pod słońcem.

Dlaczego Skrzyp tak polubiła markotną „dziwaczkę”? Być może dlatego, że ciekawiły ją ekscentryczne zwyczaje, a może po prostu widziała w niej własne odbicie. Niemniej jednak to właśnie do jej maleńkiego domku skierowała swe kroki od razu po wyjściu z fabrykarni.

Nie możemy zaprzeczyć temu, że Skrzyp czuła pewien przestрах przed spotkaniem z Digestonką. Słyszała o niej niezliczone historie nie z tego świata. Kiedyś nawet jej babka z żalem w głosie zamartwiała się, że

Skrzyp będzie taka, jak ta „obłąkana istota”. Próbując się uspokoić przy pomocy głębokich wdechów, przemierzała kolejne korytarze mieszkalne, mijając inne budynki. Kiedy zabudowa zaczęła się przerzedzać, ogarnął ją tak silny lęk, że była gotowa zawrócić i pognać wprost w objęcia rodziców. Przymknęła jednak oczy i przemówiła sobie do rozsądku, oświadczając, że nie odejdzie z tego miejsca, póki nie porozmawia z „dziwaczką”.

Po kilku minutach powolnego marszu dotarła do celu. Drżącą dłoń zacisnęła w pięstkę i nieśmiało zapukała do drzwi. Oczekała kilka sekund, ale, nie doczekawszy się żadnego odzewu, po chwili zapukała znowu, tym razem mocniej. We wnętrzu domu rozległo się głośne narzekanie, a zaraz potem między drzwiami a framugą pojawiła się wąska szpara.

— A ty tu czego? — zaskrzeczał kobiecy głos.

Skrzyp wpatrywała się w osłupieniu w błyszczące oczka — jedyne jasne punkty w zalegającym wewnątrz budynku mroku.

— Salvale — przywitała się cicho, używając zwyczajowego zwrotu.

— Słyszałam, że ma pani taką jeżdżącą maszynę...

— I co w związku z tym, hę?

— I tak sobie myślałam... Bo widzi pani, ja bardzo bym chciała...

— No wysłów się, dziewczyno, wreszcie! — przerwała jej zniecierpliwiona Digestonka. — Nie umiesz mówić czy co?

— Nie, proszę pani, umiem. — Skrzyp przełknęła głośno ślinę (lub też jakiś jej digestoński odpowiednik). — Przychodzę do pani z nietypową prośbą.

— Prośbą? — Brzdęk rozchyliła nieco szerzej drzwi. Wydawała się mocno zbита z tropu, dzięki czemu nawet jej zgorzkniałość trochę złagodniała. — Z prośbą do mnie?

— Owszem.

— A więc? Jaka to prośba?

— Chciałabym... chciałabym, aby zawiozła mnie gdzieś pani tą maszyną — wydukała w końcu Skrzyp.

„Dziwaczka” obrzuciła ją nieprzychylnym spojrzeniem, jak intruza, i zmarszczyła czoło.

— Nie ma mowy.

Po czym zatrzasnęła drzwi z głośnym hukiem.

Skrzyp stała przez dłuższy czas w tym samym miejscu, nie do końca

będąc pewna, co w zasadzie powinna zrobić. Rozważyła dokładnie każdy moment rozmowy z Brzdęk i nigdzie nie mogła dopatrzeć się jakiegokolwiek nieuprzejmości. Nie znajdowała więc żadnego powodu, dla którego mieszkanka rozlatującej się chatki miałyby potraktować ją tak obcesowo. Doszedłszy do tego wniosku, w swojej naiwności postanowiła zapukać ponownie. Tym razem jednak drzwi nie otworzyły się. Do jej uszu dotarł jedynie krzyk „dziwaczki”:

— Zostaw mnie w spokoju, dziewczyno!

Skrzyp uznała, że nie ma sensu dłużej czekać i zawróciła w stronę domu. Nie byłaby jednak sobą, gdyby następnego dnia nie przybyła ponownie. Niestety, już na początku zniechęciło ją cierpkie powitanie:

— To znowu ty! Zamierzasz mnie tak prześladować, mała czarownico?

— Salvale! — Skrzyp okrasila ten wyraz najpiękniejszym ze swoich szerokich uśmiechów.

— Salvale, salvale... Kto w ogóle wymyślił to niedorzeczne słowo? Komu w ogóle potrzebne jest powitanie?

Skrzyp nie była pewna, czy te narzekania były skierowane do niej, czy też zostały wypowiedziane bez konkretnego celu, dlatego od razu przeszła do sedna swojej sprawy.

— Przyszłam tu prosić...

— Przyłazłaś tu prosić mnie o to, żebym zabrała cię moim prywatnym, własnym i osobistym wehikułem nie wiadomo gdzie, tak? — przerwała jej Brzdęk.

— T-tak... To znaczy ja zapewne nie ujęłabym tego w takie słowa, ale...

— Nie jestem zbyt zainteresowana twoim sposobem wyrażania się, mała. — „Dziwaczka” wyraźnie nie chciała pozwolić Skrzyp dojść do głosu. — Powiedziałam ci już przecież, że nigdzie cię nie zabiorę. Czemu znowu tu przyłazłaś?

„Mała” przygryzła dolną wargę, co było u niej znakiem największego wzburzenia. Przeszyla wzrokiem wyniosłą postać Brzdęk, a jej okrągła twarz przybrała ciemniejszy odcień (u Digestonów taki objaw nazywa się rumieńcem).

— Proszę mi wybaczyć, proszę pani, ale, chociaż ja też wołałabym nie przychodzić tutaj po raz kolejny, nie miałam wyboru. Muszę gdzieś dotrzeć, a tylko pani jest w stanie mnie tam zawieźć, dlatego będę przychodzić do pani tak długo, jak długo będzie mi pani odmawiać — wycodziła.

Jej rozmówczyni uśmiechnęła się krzywo. Zmarszczki na czole

wygładziły się, oczy zajaśniały szelmowsko. Ku ogromnemu zdziwieniu Skrzyp otworzyła przed nią szeroko drzwi.

— No, no — powiedziała. — Niezły masz temperament, mała. Jak masz na imię?

— Skrzyp — przyznała zdumiona dziewczyna.

— Właż, Skrzyp. — Brzdęk zachęcająco wskazała głową wewnątrz domu.

Brzdęk przeprowadziła Digestonkę przez ascetycznie umeblowany pokój, w którym główne punkty stanowiły łóżko i mały, okrągły stół, i otworzyła kolejne drzwi w głębi pomieszczenia. Za nimi znajdowała się wspomniana już przez nas komórka, w której panował idealny, acz nieco przytłaczający porządek. Nigdzie nie było nawet śladu brudu. Prawie całą przestrzeń zajmował wehikuł przykryty białą tkaniną. „Dziwaczka” zaraz po przestąpieniu progu zsunęła ją z pojazdu i z rozczuleniem spojrzała na to „cudo”, trzymając się pod boki.

— I co powiesz? — zagadnęła.

Skrzyp powolnym krokiem podeszła bliżej. Dokładnie przestudiowała każdy element budowy maszyny, na co Brzdęk patrzyła z nieukrywanym podziwem, choć zapewne wyparłaby się go, gdyby ktokolwiek o nim wspomniał. Zachwyciły ją wypolerowane szyby i gąszcz przycisków widocznych za nimi. Jej oczy iskrzyły w zachwycie.

— Jest wspaniały — powiedziała w końcu i uśmiechnęła się.

— Pewnie, że jest — odparła wiedziona niby rodzicielską dumą Brzdęk. — To jak, powiesz mi, dokąd chcesz jechać? Muszę znać kurs, żeby wytyczyć trasę.

— Ekhm... No tak... Więc... — Skrzyp znów zaczęła się jękać.

Właściwie nie przemyślała jeszcze, jak przekona Brzdęk do tego, żeby zabrała ją aż do jamy ustnej. Wiedziała, że to długa podróż, w dodatku Digestoni z okolic jelita cienkiego nie mieli wstępu na te tereny bez specjalnej przepustki, na którą ona raczej nie mogła liczyć. Była to zatem wręcz nielegalna przeprawa. Prawdę mówiąc, dziewczyna sądziła, że ponownie usłyszy odmowną odpowiedź i nie zastanawiała się nad tym, co robić później. Chciała jednak wyruszyć jak najprędzej, a to oznaczało, że była zmuszona powiedzieć prawdę.

— No więc, chciałabym dotrzeć do... jamy... jamy ustnej — wyszeptała.
— Och. No to mamy problem, bo ja tam za nic w świecie nie pojadę — parsknęła „dziwaczka”.
— Ale jeśli pani mnie tam nie zabierze...
— To nie pojedziesz. I słusznie. To nie jest miejsce dla nas, Skrzyp. Tam jest niebezpiecznie.

Po twarzy Brzdęk przemknął cień, zupełnie jakby w głowie zajaśniało jej jakieś dawne wspomnienie. Jej wargi zdrząły, a charakterystyczny dla Digestonów błysk w oczach zgasł na moment. Zaraz jednak wrócił ze zdwojoną siłą.

— Nie pojedziesz tam, Skrzyp. Jesteś za młoda.

Młoda Digestonka nigdy jeszcze nie czuła się tak zawiedziona. A więc nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytania? Nie zobaczy tego „innego świata”? Na zawsze już pozostanie w półmroku ludzkich wnętrzności, nigdy nie doświadczywszy niczego więcej? Czy na pewno jej miejsce jest tutaj? Czy siła tego niedorzecznie naiwnego marzenia uderzy ją rykoszetem, czyniąc z niej złamaną już w dzieciństwie istotę, która dotkliwie przekonała się o tym, że nie może osiągnąć nic wielkiego, bo sama jest zbyt mała? Snując te wszystkie o wiele za poważne jak na dziewczynkę w jej wieku rozmyślenia, doszła do jednego wniosku: nie mogła na to pozwolić. Nie potrafiłaby nigdy wybaczyć sobie, że się poddała. Zawsze patrzyłaby na siebie jak na przegraną, a tego nie zniosłaby za nic w świecie.

— Skoro tam nie pojadę, to pójde pieszko — stwierdziła z mocą, patrząc Brzdęk prosto w oczy, i skierowała się w stronę drzwi.

Ale wtem poczuła, że tamta ściska ją mocno za ramię.

— Nie ma mowy, mała.

— Ależ właśnie tak. Jeśli pani nie chce mi pomóc, to poradzę sobie sama. Ja muszę się tam dostać i zrobię tak, jak uważam.

Brzdęk znów zmarszczyła czoło (swoją drogą należy przyznać, że robiła to wyjątkowo często), wyraźnie rozważając wszystkie za i przeciw. Wciąż kurczowo ściskała w dłoni wątłe ramię Skrzyp. Potem wlepiła w nią nieugięte spojrzenie i wycodziła przez zęby:

— Zawiozę cię tam tylko pod jednym warunkiem. Masz się mnie we wszystkim słuchać, jasne? Żadnej samowoli albo wrzucę cię do soku żołądkowego.

Twarz Skrzyp rozjaśniła się pod wpływem spełnionych nadziei, a oklapłe nieco uszy podniosły się.

— Da się zrobić, proszę pani.

„Dziwaczka” puściła dziewczynę i zbliżyła się do swojego pojazdu.

— Aha, i jeszcze jedno — rzuciła zza pleców. — Przestań do mnie mówić „proszę pani”, bo czuję się, jakbym miała zaraz zejść z tego świata. Jestem Brzdęk.

— Pewnie, Brzdęk. — W tamtym momencie Skrzyp była gotowa zgodzić się na wszystko. — To... kiedy wyruszamy?

— Jutro przed twoim wyjściem do fabrykarni, bo, jak przypuszczam, pracujesz w tej zatęchłej dziurze, co?

— Tak... To znaczy według mnie ona wcale nie jest...

— A więc jutro, Skrzyp. Punktualnie — powtórzyła Brzdęk, urywając ich rozmowę, i zaczęła polerować złotą powierzchnię wehikułu.



Ilustracja: Weronika Erdmann

Tej nocy Skrzyp nie mogła zasnąć. Wsłuchiwała się w naprzemienne chrapanie rodziców (bowiem wszyscy Digestoni naprawdę głośno chrapią) i z mocno bijącym sercem upajała się wizją następnego dnia. Nie myślała o tym, kiedy wróci ani czy w ogóle wróci. Absorbowały ją wyłącznie marzenia o tym, co takiego zobaczy w tym „innym świecie”, nieosiągalnym dla większości jej krewnych i sąsiadów. Dopiero po dłuższym czasie uświadomiła sobie, że ta wyprawa wiąże się z pozostawieniem rodziców, że — w razie komplikacji — może się z nimi nie zobaczyć przez bardzo długi czas i skazać ich na cierpienie oczekiwania, a także zamartwianie się o nią. Jednak, nawet biorąc to wszystko pod uwagę, nie potrafiła zrezygnować ze swojego planu. Dlatego też w ramach kompromisu postanowiła napisać do rodziców list, do czego natychmiast się zabrała. Digestoni doskonale widzą w ciemnościach, co jest niezbędne ze względu na ich miejsce zamieszkania, dlatego też nieprzeniknione ciemności nocy w żaden sposób nie utrudniały jej pracy. Nie będziemy przytaczać tu treści owego listu ze względu na jego prywatny charakter. Wspomnimy jedynie, że Skrzyp zapewniała w nim rodziców o tym, jak bardzo ich kocha oraz że wróci cała i zdrowa, przynosząc im całe mnóstwo nowych opowieści.

Rankiem, kiedy jeszcze wszyscy spali, dziewczyna wymknęła się z domu, przedtem czuwając przez chwilę przy rodzicach i żegnając ich w milczeniu. List położyła na podłodze przed drzwiami.

Cała okolica była pogrążona w ciszy, a korytarze całkowicie puste. Ta okoliczność, zdecydowanie ułatwiająca Skrzyp ucieczkę z domu, wywołała w niej sprzeczne odczucia ulgi i bólu. Zaczęła żałować swojej decyzji, przez chwilę nawet chciała zawrócić, ale przywołała się w myślach do porządku stwierdzeniem: „Nie wybaczysz sobie, jeśli się poddasz”, które stało się jej dewizą, i maszerowała dalej.

Kiedy dotarła do chatki Brzdęk, domek wyglądał tak, jakby nikogo w nim nie było. Skrzyp zapukała raz, potem drugi, ale odpowiadała jej jedynie głucha cisza. Postanowiła więc obejść budynek. Na jego tyłach, tuż przed dobudówką, stał gotowy do drogi wehikuł. Skrzyp odetchnęła z ulgą.

Drzwi pojazdu otworzyły się w górę, a oczom dziewczyny ukazała się Brzdęk w swojej ekscentrycznej czapce pilotce.

— Wsiadasz czy nie?

Skrzyp wpatrywała się na przemian w Digestonkę i jej maszynę, nie mogąc wyjść z podziwu. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

— Mała, ja pytam całkiem poważnie. Wsiadasz czy nie? — niecierpliwiła się Brzdęk.

Mała nie kazała już dłużej na siebie czekać. Usiadła na miejscu obok Brzdęk i rozejrzała się wokoło. W maszynie znajdowały się jeszcze trzy trochę wystrzępione siedzenia, wszystkie puste, i wielka, zardzewiała butla. Pod przednią szybą leżała konsola pokryta mniejszymi i większymi przyciskami z drobnymi podpisami. Wszystko to tworzyło tak niepospolitą i oryginalną całość, że Skrzyp przez moment zapomniała nawet o celu, w jakim się tu znalazła.

— Będziemy jechać przez przełyk? — zapytała wreszcie rozentuzjasmowana.

— Chyba sobie żartujesz! Jadę nielegalnie do jamy ustnej, w dodatku z niepełnoletnią Digestonką, a ty chcesz podróżować głównymi drogami? Nie ma mowy! — obruszyła się przewodniczka. — Jedziemy naczyniami krwionośnymi i unikamy aort. Nie dość, że zawsze są tam korki, to jeszcze stoją patrole w tych swoich latających autkach.

— Autkach? Wyglądają jak twój wehikuł? — podchwyciła Skrzyp.

— Jak mój wehikuł? Dobrze sobie — zawołała prędko Digestonka. — Te ich gruchoty nie umywają się do mojego cudeńka.

Brzdęk wcisnęła kilka kolorowych guzików i przesunęła ogromną wajchę umiejscowioną w centrum konsoli. Wehikuł zatrzeszczał, wydał kilka innych zagadkowych dźwięków i podniósł się z podłoża. Zwisająca przed przednią szybą lampka zamigotała, a pojazd ruszył naprzód.

— A więc — zagaiła Brzdęk, przekręcając lekko kierownicę w kształcie podkowy — czemu w ogóle jedziemy tam, gdzie nie powinno nas być?

— Chcę się przekonać, jak wygląda świat ludzi — odparła spokojnie Skrzyp. — Do tej pory słyszałam o nim tylko dziecinne historie.

— A tak, pewnie, te bzdury opowiadane przez spanikowanych tchórzy, którym nigdy nie starczyło odwagi, żeby wychylić nos poza wątrobę. Nie mam pojęcia, czemu tacy Digestoni w ogóle mają prawo się na ten temat wypowiadać — skwitowała zdeglustowana Brzdęk.

— Sadzę, że kierują nimi najlepsze chęci — stwierdziła dyplomatycznie dziewczyna.

— O! z pewnością! Ale gdybym ja poprzestała na „najlepszych chęciach”, w życiu nie zobaczyłabym bijącego serca.

Skrzyp słuchała jej wywodów z pełnym podziwu zdumieniem, skrycie

marząc o tym, że jej także będzie kiedyś dane ujrzeć na własne oczy pracę ogromnego mięśnia. Mała Digestonka nie miała jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo za szybami wehikułu ujrzała po raz pierwszy w życiu wewnątrz dużego naczynia krwionośnego. Pojazd poruszał się z prądem, razem z komórkami krwi. Skrzyp zaciekawiona przyglądała się ich osobliwym kształtom, wśród których najlepiej jej znane były płytki krwi (jak już wspominaliśmy, Digestoni używają ich do budowy domów). Nagle maszyna przepłynęła przez coś w rodzaju wrót. Pojazd gwałtownie zatrzymał się i zaczął cofać. Skrzyp odruchowo złapała się fotela i wystraszona spojrzała na Brzdęk, szukając na jej twarzy jakiegoś wyjaśnienia. Digestonka była całkowicie spokojna i zdawała się w ogóle nie przejmować całą sytuacją. Wtedy wehikuł uderzył w coś miękko, a Brzdęk, wykorzystując siłę odbicia, zamasyżuje przesunęła dźwignię na konsoli.

— C-co to było? — spytała Skrzyp, kiedy znów ustabilizowały kurs.

— Zastawka — powiedziała Brzdęk, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. — Jesteśmy w żyłę, będziemy je tu spotykać na każdym kroku. Przyzwyczaj się, mała.

Ale po chwili twarz Digestonki przybrała dziwny wyraz. Opuściła uszy i lekko rozchyliła wargi, wpatrując się wciąż w ten sam punkt. Trwało to jedynie moment, bowiem zaraz jej oczy rozbłysły, a czoło pokryło się zmarszczkami. Gwałtownie przekreśliła kierownicę, skręcając w któreś z naczyń włosowatych i mrucząc pod nosem:

— Przeklęte patrole.

Głośno zaś wyjaśniła:

— Zrobimy mały postój w żołądku. Nie dłużej niż pół godziny.

Pojazd zatrzymał się na jakiejś skarpie. Skrzyp otworzyła drzwi. Gdyby Digestoni mieli węch (którego dla swojej wygody zostali ewolucyjnie pozbawieni), poczułaby zapewne silnie drażniący zapach. Jej oczy zaczynały piec coraz bardziej, co uniemożliwiało widzenie.

— Załóż to — orzekła Brzdęk, podając jej osobliwą maskę z długą rurką w miejscu nosa i grubymi szklami.

Skrzyp włożyła nowy wynalazek. Po kilkunastu sekundach doszła do siebie i mogła normalnie spojrzeć na otaczające ją widoki. Ściany żołądka układały się w mniejsze i większe fałdy pokryte lepkiem i lśniącym śluzem. W dole, w zagłębieniu utworzyło się coś na kształt basenu wypełnionego przezroczystym płynem. Skrzyp podeszła bliżej,

chcąc lepiej się przyjrzeć cieczy, której opary tak negatywnie na nią działały, ale nagle jakaś ręka złapała ją wpół i pociągnęła w głąb skarpy.

— Nie radziłabym — usłyszała za sobą głos Brzdęk. — Chyba że masz ochotę zakończyć tu swoje życie.

Odwróciła się i spojrzała na Digestonkę. Miała na sobie taką samą maskę, jak ona. W dłoniach trzymała dwie paczuszki z glukozą. Jedną z nich włożyła w rękę Skrzyp.

Mała ostrożnie, uważając, aby się nie ześliznąć, usiadła na jednej z fałd i otworzyła przyniesiony przez jej towarzyszkę pakunek. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że tego dnia niczego jeszcze nie miała w ustach, a w domu nie pomyślała o spakowaniu prowiantu. Gdyby nie zapasy Brzdęk, z własnej winy musiałaby głodować. W torebce, oprócz paczuszki z glukozą, znajdowała się mała menażka wypełniona wodą. Skrzyp łapczywie zabrała się do picia, jakby obawiała się, że ktoś ją jej odbierze. Potem szczelnie zamknęła i włożyła do kieszeni skórzanego kombinezonu — stroju charakterystycznego dla pracujących przy zbiorach glukozy Digestonów (przypuszczamy, że materiały do wykonywania podobnych ubrań pozyskiwano w czasie nielicznych wypraw poza organizm człowieka). Siedziała w bezruchu, wpatrując się nieprzerwanie w jakiś punkt przed sobą.

— Ładnie tu, prawda? — Brzdęk zajęła miejsce koło niej, kładąc czapkę pilotkę nieopodal.

— Tak. Zupełnie inaczej niż w domu — odparła.

— Lubię to miejsce. Mam do niego nawet pewien sentyment — mówiła z rozmarzonym wzrokiem. — To tu pierwszy raz wyjechałam moim Piskorzem.

— Piskorzem?

— Lub też „jeżdżącą maszyną”, jak wolisz go nazywać — wyjaśniła z uśmiechem.

— Sama go zbudowałaś?

Brzdęk uniosła jedną brew i spojrzała na Skrzyp z dezaprobatą.

— A co, myślisz, że spadł mi z przetyku? Budowałam go cały miesiąc z różnych dziwnych części znalezionych w dziwnych miejscach, o których nie zamierzam mówić. Ale to moja robota. W całości — podkreśliła dobitnie.

— To... niesamowite — stwierdziła z podziwem Skrzyp. — Ile miałaś wtedy miesięcy?

— Szesnaście — powiedziała w zamyśleniu Brzdęk.

— I wtedy pierwszy raz go poprowadziłaś? — ciągnęła zachwycona dziewczyna.

— Tak, wtedy. — Na jej twarz znów powrócił charakterystyczny zacięty wyraz. Szybkim ruchem podniosła czapkę i wstała. — W drogę!

Skrzyp zdziwiła ta nagła zmiana nastroju Brzdęk. Nim jednak zdążyła coś powiedzieć, tkanka pod jej stopami zaczęła drżeć. Idąca w stronę pojazdu przewodniczka zatrzymała się raptownie. Wstrząsy wzbierały na mocy. Pozostawiona przez Digestonkę paczka z glukozą z pluskiem wpadła do kwasu solnego. Skrzyp z trudem uniknęła tego losu, łapiąc się trochęjsz z fałd żołądka.

— Skrzyp! Musisz wsiąść do Piskorza! — zawołała Brzdęk, sama starając się utrzymać równowagę i doczołgać się do wehikułu.

— Nie mogę! — wyjąkała dziewczyna, rozpaczliwie próbując wstać.

Nagle gwałtowne drżenie pozbawiło ją kontroli nad własnym ciałem i oderwało od ściany narządu. Digestonka zaczęła spadać w przepaść zalaną żrącą cieczą. Gdy miejsce lęku zaczął zastępować osobliwy pokój, który czują niektóre istoty w obliczu śmierci, Skrzyp zamknęła oczy i wzięła ostatni, głęboki wdech.

Wtedy, zamiast piekącego bólu, poczuła miękkość wypełnionego watą fotela. Rozchyliła powieki i ujrzała nad sobą zatroskane oblicze Brzdęk. Zaraz jednak przewodniczka zmarszczyła czoło i odezwała się do półprzutomnej dziewczyny z wyrzutem:

— Na co ty właściwie czekałaś, co? Trzeba było od razu biec do Piskorza, a nie rozglądać się wokoło w poszukiwaniu nie wiadomo czego!

— A więc martwiłaś się trochę o mnie? — Ta myśl wyraźnie dodała Skrzyp sił.

— O! jeszcze czego! — perorowała dalej zaaferowana Digestonka. — Martwiłam się, ale o moją maszynę! Prawie ją zniszczyłam, próbując cię ratować!

Dziewczyna odpowiedziała na słowa towarzyszki niezauważalnym prawie uśmiechem, w duchu ciesząc się z potwierdzenia swojej teorii, że ta pozornie gruboskórna istota była zdolna do ciepłych uczuć.

— Co to było? — zmieniła temat, co Brzdęk przyjęła z ulgą.

— Kęs pokarmu. Nasz człowiek chyba je śniadanie. Twoje wylądowało w soku żołądkowym, jeśli się nie mylę. — Przewodniczka zerknęła

ukradkiem zza kierownicy na Skrzyp, która oblała się rumieńcem i rzuciła jej na kolana kolejne zawiniątko.

Przemierzały kolejne naczynia krwionośne w ciszy. Brzdęk skupiła się na wybieraniu najbardziej odludnych dróg, a Skrzyp połykała wzrokiem mijane tkanki, chrupiąc cukier. W pewnym momencie wehikuł zwolnił, a starsza Digestonka zaczęła majstrować coś przy konsoli. Nagle zawołała „Mam!” i wcisnęła jeden z przycisków. W tej samej chwili otworzyła się skrytka pod kierownicą. Brzdęk wyjęła z niej jakiś prostokątny, błyszczący przedmiot z wyżłobionym na wierzchu zarysem korpusu człowieka. Otarła go z kurzu i podała Skrzyp.

— Mapa jest w środku.

Digestonka spojrzała na nią niepewnie.

— Nie mamy czasu, Skrzyp.

Dziewczyna z trudem przekreśliła pokrywkę, która odskoczyła z głuchym szczękiem na podłogę. W jej wnętrzu leżała złożona na czworo poźółkła kartka. Kiedy Skrzyp rozprostowała papier, jej oczom ukazał się ręcznie malowany, dokładny plan ludzkiego organizmu. Skomplikowana sieć naczyń krwionośnych, zdecydowana większość narządów, nawet takie, o których Skrzyp nigdy nie słyszała. Serce i mózg były dopracowane w najmniejszych szczegółach. Rysunki musiały mieć już kilkanaście miesięcy, bo zaczynały blaknąć w niektórych miejscach. Jednak pigmenty farb były najwyraźniej wystarczająco trwałe, by zachować dawny kolor. Słyszeliśmy nawet, że wiele miesięcy później pokazywano jeszcze tę mapę w digestońskim Muzeum Sztuki Wielorakiej i stawiano za wzór doskonałego artyzmu.

— Jest... piękna... — wyszeptała Skrzyp, studiując zafascynowana każdy z fragmentów malunku. — Czy to twoje, Brzdęk?

Brzdęk nie odezwała się. Zamiast tego zapamiętała przeszukiwała otwartą przez siebie skrytkę. Gdyby jednak przyjrzeć się jej bliżej, można by dostrzec, że kąciki jej ust rozchyliły się w przyływie dumy.

— Daj spokój, Skrzyp, to tylko mapa — skonstatowała wreszcie. — Na twoim miejscu martwiłabym się raczej tym, że musisz teraz nas nawigować.

— Ja?

— Tak, ty, mała — potwierdziła Brzdęk, łapiąc za kierownicę. — Na tym etapie wolę nie polegać jedynie na własnej pamięci. Kieruj nas naczyniami krwionośnymi, najlepiej żyłami, bo tam jest mniejsze ciśnienie. I żadnych aort czy żył głównych, jasne?

— Jasne... — zgodziła się Skrzyp, choć, prawdę powiedziawszy, nie wiedziała do końca, jak się do tego zabrać.

Skrzyp zaczęła uważnie analizować palcem każdy ze szlaków, które mogły wybrać, by w końcu zdecydować się na jeden. Wolała nie przyznawać się głośno do tego, że nie była pewna żadnego ze swoich wyborów, pragnąc udowodnić Brzdęk, że jest gotowa sama podołać temu wyzwaniu. Siedziała cicho, w głębi duszy licząc na to, że przewodniczka wyprawy poradzi sobie bez jej wskazówek. Po dłuższym czasie, kiedy dziewczyna odłożyła kartkę na bok i w rozmarzeniu wpatrywała się w bezruchu w mijany przez nie krajobraz, usłyszała spokojny głos Brzdęk.

— Skrzyp! — Nie otrzymawszy odpowiedzi, tym razem głośniejsze, potrząsając dziewczynę za ramię, Brzdęk zawołała — Hej, Skrzyp! Gdzie mam skręcić?

Mała Digestonka podskoczyła lekko, budząc się z rozmyślań. Paraliżująca treść pytania dotarła do niej dopiero po chwili. Spojrzała na mapę, marszcząc czoło i nieustannie mrugając, jakby to miało rozwiązać jej kłopot.

— No więc jak? — ponaglała ją Brzdęk, zbliżając się do rozwidlenia naczyń.

— Em... w lewo? — wyjąkała dziewczyna, natychmiast jednak zmieniając zdanie. — Nie, nie, w prawo.

— To w lewo czy w prawo? — pytała zdenerwowanym głosem przewodniczka, cedząc słowa i próbując zwolnić pojazd. — Skrzyp, nie mogę się tu zatrzymać, bo i tak będziemy płynąć z prądem. W lewo czy w prawo?

— W prawo... To znaczy... tak mi się wydaje... — W tamtej chwili największym marzeniem Skrzyp było posiadanie umiejętności znikania na zawołanie.

— Skrzyp! — wrzasnęła Brzdęk tak głośno, że w uszach Skrzyp aż zadzwoniło. — Nie może ci się „wydawać”! Jak skręcimy źle, możemy już nigdy nie wrócić! Myślisz, że my jedni jesteśmy w tych naczyniach? Tu aż się roi od patroli, a przedłużanie drogi tylko pogorszy sprawę! W lewo czy w prawo?!

Skrzyp ślepo utkwiała wzrok w mapie, próbując zebrać myśli. Serce kołatało jej w piersi, a wehikuł drżał pod wpływem rozpaczliwych prób Brzdęk, by zmusić go do oparcia się prądowi. Kiedy rozgałęzienie znajdowało się już tylko kilka sekund drogi przed nim, Digestonka

gorączkowo podniosła głowę.

— W prawo! — krzyknęła, a Brzdęk w ostatniej chwili gwałtownie przekreśliła kierownicę. Pojazd otarł się jedną ścianą o powierzchnię żyły.

Kiedy ich kurs znowu się ustabilizował, Brzdęk obrzuciła Skrzyp tak lodowatym spojrzeniem, że mała zadrżała. Nie zauważyła, że zaraz potem przewodniczka odwróciła głowę, zamknęła oczy i westchnęła, próbując powstrzymać wybuch prawdziwej, niepohamowanej złości.

Reszta podróży minęła w milczeniu. Nie trwało to długo, bo zbliżała się noc, a ponieważ wyruszyły wcześniej, Skrzyp zapadła w sen, w końcu mając okazję na odpoczynek. Mogąc poruszać się w ciszy, która od wielu miesięcy była jej ulubioną towarzyszką, Brzdęk nie czuła prawie zmęczenia. Przez tak wiele miesięcy prowadzenia nielegalnych eskapad przyzwyczaiła się do nieregularnego trybu życia. Poza tym nie chciała znów zarządzać postojem. Zbliżały się do głowy, a w tej części organizmu, jak doskonale pamiętała, patrole były rozstawione najgęściej. W samotności i spokoju oglądała mijane ściany naczyń krwionośnych, jakby były dla niej drogą pamiątką. Kilka razy zbaczała z trasy, unikając strażników, ostatecznie jednak zawsze wracała na tę samą ścieżkę, posilając się mapą. Czasem wsłuchiwała się w regularne chrapanie Skrzy-p.

Gdy Piskorz znalazł się w miejscu oddalonym o kilka minut drogi od digestońskiego wejścia do przełyku, był środek nocy (trzeba wiedzieć, że Digestoni instynktownie czują, jaka jest pora doby w świecie ludzi). Brzdęk ostrożnie umieściła pojazd we wnęcie, którą znalazła i zabezpieczyła go. Następnie wyjęła ze swojego plecaka po jednej paczce żywności dla każdej z nich i włożyła je do podręcznej torby (którą my zapewne nazwalibyśmy myśliwską).

— Hej, mała, wstawaj! Chyba nie przyjechałaś tu, żeby spać, prawda?

Skrzyp otworzyła flegmatycznie oczy, zaraz jednak oprzytomniała i wytrzeszczyła je szeroko.

— Już jesteśmy? — spytała ospale.

— Mamy jeszcze kilka ulic do przejścia, więc lepiej się pospieszmy — oświadczyła przewodniczka, otwierając drzwi.

Można z całą stanowczością stwierdzić, że świat Digestonów żyjących w jamie ustnej i świat tych żyjących w jelicie i wątrobie są tak odmienne, jakby zamieszkiwały je dwie różne cywilizacje. Podczas gdy domy Digestonów Zwyczajnych (a więc tych z jelita) zbudowane są z płytek krwi, mieszkania Digestonów Arystokratycznych są wydrążone w korzeniach zębów, które te stworzenia wyłamują (swoją drogą warto wspomnieć, że dzieciom wypadają mlecze zęby właśnie z powodu ubytków). Proces budowy zachodzi dwukrotnie, najpierw w dzieciństwie, po ząbkowaniu, później natomiast ponownie, w miarę pojawiania się uzębienia stałego. Budynki te odznaczają się wyśmienitym kunsztem artystycznym, bogatym zdobnictwem i wyposażeniem. Nie brakuje w nich wygodnych puf czy kościanych stołów i rzeźbionych szaf. Wyżej postawieni przedstawiciele plemienia nie zajmują się jedynie przechwytywaniem glukozy w jamie ustnej. Wielu z nich pełni funkcje społeczne. Inni zajmują się polityką, sztuką lub literaturą. Digestoni nie aprobują bezczynności, dlatego każdy zgodnie z prawem powinien mieć jakieś zajęcie, które przyczynia się do polepszenia stanu życia innych mieszkańców. Oczywiście zdarza się, że jakiś Arystokrata postanowi nie przejmować się ogólnie przyjętymi zasadami, co w przypadku niżej postawionych Digestonów jest o wiele trudniejsze. Członkowie plemienia zamieszkujący jelito i wątrobę, jak już wspominaliśmy, nie mają wstępu do jamy ustnej bez specjalnej przepustki, dlatego też raczej nie mają okazji, by dokładnie przyjrzeć się życiu lepiej sytuowanych braci.

Kiedy Brzdęk zaprowadziła Skrzyp na obrzeża miasta, przystanęły na chwilę w zachwycie. Korytarze mieszkalne były zupełnie puste, ale ta chwilowa martwota nadawała perłowym budynkom spektakularny i tajemniczy wygląd.

Podróżne przemierzały ulice w szybkim tempie narzucanym przez Brzdęk, która, w przeciwieństwie do Skrzyp, nie pożerała wzrokiem wszystkiego dokoła. Na jej twarzy malował się ten sam co zawsze, jakby skamieniały, nieugięty wyraz. W pewnym momencie jednak zrównała krok z dziewczyną i, starając się wyglądać jak najłagodniej, zagadnęła ją:

— No więc? Jak się czujesz?

— Sama nie wiem... — odparła, w zamyśleniu zatapiając spojrzenie w mijanych rezydencjach. — Podekscytowana i... chyba przestraszona.

— Nie masz czego się bać, Skrzyp. Będę tam z tobą — zapewniła z lekko zauważalnym drżeniem w głosie.

— Brzdęk? — odezwała się dziewczyna, jakby nie słyszała wcześniejszych słów przewodniczki.

— Tak?

— Dlaczego zgodziłaś się ze mną pojechać? — Spojrzała na nią zaleknionym wzrokiem. Jej ręce trzęsły się, a skóra zrobiła się jaśniejsza.

Digestonka posmutniała. Przez jedną, krótką chwilę Skrzyp sądziła, że jej nie odpowie, ale ona tylko westchnęła melancholijnie. Najwyraźniej spodziewała się tego pytania.

— Mam brata. Nazywa się Trach. To on pomógł zbudować mi Piskorza. Nie zrobiłam tego sama — mówiła jednym tchem. — Kiedy nasi rodzice zginęli w czasie epidemii kilkanaście miesięcy temu, obiecaliśmy sobie, że wyjedziemy z jelita. Dlatego powstał Piskorz. Naszym celem była właśnie jama ustna. Mój brat chciał zobaczyć świat ludzi, jak ty, Skrzyp. Kiedy w końcu mu się to udało...

Brzdęk urwała, potrzebując czasu na opanowanie drżenia głosu i zbyt pospiesznego oddechu.

— Kiedy mu się to udało, tamten świat zachwycił go tak bardzo, że... postanowił w nim zamieszkać. Opuścił organizm, a ja... nie miałam w sobie wystarczająco dużo odwagi, by pójść z nim. Wróciłam do domu i od tej pory jestem sama — skończyła oschle.

— Poszedł tam całkiem sam? — dopytywała przejęta dziewczyna, której ta historia wydała się absurdalna.

Brzdęk spojrzała na nią ze współczuciem.

— Skrzyp, kiedyś Digestoni mieszkali tylko tam. Niektórzy tam zostali, ale reszta uciekła do organizmu człowieka. Uznali, że tak będzie wygodniej. I pewnie mieli rację. Ale wybierając to, zrezygnowali z czegoś o wiele bardziej wartościowego.

Nagle Brzdęk zamilkła i zatrzymała się. Zaraz potem wciągnęła Skrzyp w wąski zaułek, który utworzył się w przerwie między dwoma wysokimi budynkami. Obie wychyliły nieznacznie głowy zza muru. W odległości kilkudziesięciu kroków od nich napotkały wejście do jamy ustnej. Po obu stronach wjazdu (wiele podobnych przejść znajduje się w różnych miejscach organizmu człowieka) stali strażnicy dzierżący kościane włócznie. Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że ich ubranie jest całkiem zwyczajne, jednak Skrzyp dostrzegła, że zarówno granatowe czapki z daszkiem, jak i mundury z wielkimi białymi guzikami były pokryte lśniąca warstwą. Również buty na grubych

podeszwach (niespotykany u Digestonów element ubioru, bowiem wszyscy zazwyczaj chodzą boso) zabezpieczała ta błyszcząca powłoka.

— To szkliwo. Działa jak pancerz — wyjaśniła Brzdęk, jakby czytała towarzysze w myślach. — Mogłam przewidzieć, że tu będą...

— W takim razie poczekajmy, aż odejdą — zaproponowała naiwnie Skrzyp.

— O tak, problem w tym, że kiedy oni odejdą, przyjdą kolejni.

— To odciągnijmy ich stamtąd. Przecież nieraz byłaś już na takiej wyprawie. Chyba wiesz, jak radzić sobie z patrolami — rzuciła nieco arogancko.

— Na takiej wyprawie byłam tylko raz, mała. — Brzdęk zacięła usta. — I wyobraź sobie, że jedno z najlepiej strzeżonych miejsc w organizmie to nie to samo, co naczynia włosowate żołądka, a nawet serce. Tutaj nie ma taryf ulgowych. Jak nas złapią, to trafimy do pudła w najlepszym wypadku na piętnaście miesięcy. A ja nie zamierzam dostać kolejnych dwudziestu za wprowadzenie nieletniej.

Digestonka przygryzła lekko dolną wargę i zmarszczyła czoło. Skrzyp opuściła nadzieję. Wiedziała, że Brzdęk nie powie jej tego otwarcie, ale ich wyprawa okazała się bezowocna. Kiedy miała już prosić ją o to, by zawróciły, przewodniczka podniosła głowę i spojrzała na małą z iskrą w oczach.

— Wiem — rzuciła. — Chodź za mną.

Wysunęły się niepostrzeżenie z ciasnej uliczki i, prowadzone niezawodną pamięcią Brzdęk, przemierzyły kilka korytarzy mieszkalnych, uważając, by iść jak najbliżej murów. Gdy znalazły się ponownie na peryferiach miasta, stanęły przed drzwiami niskiego domu. Starsza Digestonka zapukała w nie energicznie. Po chwili usłyszały trzask otwieranego zamka, a we wnęce stanął niskiej postury staruszek. Na nosie ledwie trzymały mu się małe okulary, a większość jego ubrania była zasłonięta przez długą i gęstą brodę. Oczy starca w szklach okularów sprawiały wrażenie znacznie mniejszych niż w rzeczywistości. Jego czaszka została całkowicie pozbawiona włosów, za to pokryta czarnymi piegami w takiej ilości, że nie było prawie widać prawdziwego koloru skóry.

— A niech mnie! Do stu tysięcy parszywych bakterii, czy mnie oczy myślą czy też naprawdę widzę przed sobą Brzdęk? — zawołał radośnie, poprawiając swoje okulary. — Wejdz, dziecko, wejdz! — dodał, odsuwając się, by zrobić im przejście.

— A to kto taki? — spytał, wskazując na lekko zgarbioną Skrzyp.

— To moja przyjaciółka — przedstawiła ją Brzdęk, znikając wewnątrz mieszkania. — Ma na imię Skrzyp.

— No proszę! A więc jednak nie jesteś całkiem sama w tej swojej ciemnej dziurze. — Staruszek puścił przekornie oko do swoich gości, co nadawało mu dość rubaszny wygląd. — Siadajcie proszę. Może glukozy? Albo trochę fruktozy?

— Fruktozy? — Skrzyp odezwała się mimowolnie, zaintrygowana nową nazwą.

— Och, no tak! Zupełnie zapomniałem, że wy tam przecież nie macie takich... hm... udogodnień. A więc częstujcie się! — powiedział z rozbawieniem, podając im miseczkę z cukrem i dwa kubki wypełnione po brzegi wodą.

— Dziękujemy, Alteo, ale przyszliśmy tu w pewnej konkretnej sprawie — odparła Brzdęk, zerkając na Skrzyp, chciwie przyglądającą się nieznaney potrawie.

— Ależ daj tej dziewczynie chociaż spróbować, Brzdęk! Jak możesz być tak samolubna! — Staruszek podsunął Skrzyp miskę pełną fruktozy. Digestonka spojrzała na niego wielkimi oczami, ale widząc na jego twarzy wyraźną zachętę, zabrała się do jedzenia.

— W każdym razie... — ciągnęła Brzdęk, przenosząc wzrok na gospodarza. — Chciałybyśmy dostać się... na zewnątrz.

Alteo spoważniał. Zaciął usta i powolnym ruchem poprawił spadające mu z nosa okulary.

— Ach tak — wyrzekł ponuro.

Skrzyp podniosła wzrok znad salaterki i na chwilę zapomniała o pysznościach, które skrywała. Ze zdumieniem przyglądała się to starcowi, to swojej przewodniczce, którzy patrzyli na siebie z niezrozumiałym dla niej poruszeniem. Siedzieli tak w bezruchu dobre pół minuty. Wtedy Brzdęk nieswoim, łamiącym się głosem wyszeptwała:

— Alteo, ta mała chce zobaczyć, jak wygląda tamten świat.

— No cóż — rzekł posępnie, flegmatycznie podnosząc się z krzesła. Podszedł do stojącej w rogu pomieszczenia komody. Otworzył najwyższą szufladę i wyciągnął z niej czapkę — taką samą, jaką widziały u strażników przy wejściu do jamy ustnej, trochę tylko wystrzępioną na brzegach. Zrezygnowanym ruchem włożył ją na gołą głowę. Potem starzec wziął do ręki małe pudełeczko, w środku którego leżała połyskująca metalowa odznaka, którą przypiął do poły marynarki.

Brzdęk natychmiast wstała, a Skrzyp instynktownie poszła w jej ślady.
— To jak? Pomożesz nam? — zapytała, znów wpatrując się w niego przenikliwie.

Alteo westchnął głęboko i podszedł do Brzdęk. Najpierw stał przez moment o krok od niej, odwzajemniając jej zacięte spojrzenie. Potem nieoczekiwanie wziął ją w ramiona i przytulił do swojego serca. Skrzyp wydawało się, że widziała w jego oczach lśniące łzy.

— Wiesz, że nie umiem ci odmawiać, Brzdęk — wyszeptał.

Nagle puścił ją, wziął się pod boki i uśmiechnął się szelmowsko do nierozumiejącej niczego z tej sceny Skrzyp.

— A więc? Komuś zachciało się eskapady, co? Nie mogę wam załatwić przepustki, bo te zakute łby w dowództwie uważają mnie za starego szaleńca, ale spróbuję inaczej rozwiązać ten problem...

Zdjął ze swojej szyi zawieszony na sznureczku stary klucz i podał go Brzdęk. Potem delikatnym ruchem otworzył drzwi i schylił się, wysuwając do przodu prawą rękę.

— Panie przodem.

Skrzyp wyszła pierwsza, zachęcana przez Brzdęk, zostawiając na stole niedokończony kawałek cukru. Za nią sprężystym krokiem ruszyła jej towarzyszka.

Po kilkunastu minutach dotarli do miejsca, w którym Digestonki ukrywały się przed czujnymi spojrzeniami strażników. Alteo mimo wieku dotrzymywał im kroku, a czasem nawet je wyprzedzał. Gdy się zatrzymali, odezwał się cichym, ale stanowczym głosem:

— Czekaście tutaj, póki nie odejdę z nimi za róg tamtej ulicy, jasne?

— Wskazał miejsce, z którego przyszli.

Brzdęk i Skrzyp jednocześnie skinęły głową. Starzec spojrzał przyjaźnie na drżącą, po części z podniecenia, po części zaś ze strachu Skrzyp.

— Obiecuję ci, że nie będziesz żałować, że tutaj przyjechałaś — zapewnił ją uroczyście z ojcowską życzliwością.

Potem uśmiech na jego twarzy zelżał, a oczy przygasły. Położył Brzdęk rękę na ramieniu i, patrząc jej prosto w oczy, rzekł:

— Mam nadzieję, że dokonujesz właściwej decyzji, moja droga.

Brzdęk uśmiechnęła się sarkastycznie, chociaż uśmiech ten przypominał raczej błaganie o pomoc niż wyraz radości.

— Wiem, że tak jest, Alteo. — Schyliła się i pocałowała delikatnie jego pomarszczony policzek. — Dziękuję. Za... wszystko.

Skrzyp patrzyła na tę scenę z dziwnie ściśniętym sercem, jakby instynkt podpowiadał jej, że powinna czuć respekt przed tą chwilą.

W oczach starca znów pojawiły się słone krople, ale, pragnąc je natychmiast powstrzymać, tupnął energicznie nogą i roześmiał się cicho.

— No! To ruszam!

Po czym wyszedł z zaułka i skierował się w stronę ślepej uliczki, na końcu której stali wciąż dwaj strażnicy.

Brzdęk i Skrzyp słyszały jedynie strzępki ich rozmowy. Skrzyp domyśliła się, że Alteo musiał dawniej pełnić jakieś ważne funkcje, bowiem młodzi wartownicy zwracali się do niego z wielkim szacunkiem i lekko speszeni, podczas gdy on brzmiał żartobliwie i żwawo.

Po chwili ich głosy zaczęły się przybliżać do ciasnej kryjówki.

— O! zapewniam was, że to sprawa niecierpiąca zwłoki, moi panowie!
— perorował Alteo, prowadząc załęcznionych nieco strażników.
— Zresztą, to niepowtarzalna okazja! Kiedy powiecie innym, że pomagaliście legendzie patroli digestońskich w akcji, daję słowo — nie uwierzą wam!

Przewodniczka przewróciła oczami z rozbawieniem i mruknęła pod nosem:

— No tak, mogłam się domyślić, że to jest to jego „inne rozwiązanie” problemu.

Kiedy cała trójka zniknęła im z oczu, Brzdęk i Skrzyp pospieszyły w kierunku wjazdu. Ku przerażeniu młodszej z nich, drzwi były zamknięte na wyjątkowo solidnie wyglądającą kłódkę opatrzoną grubym łańcuchem. Ale Brzdęk, nie tracąc czasu, wyciągnęła z kieszeni wielki klucz i włożyła go do zamka. Po kilku zręcznych manewrach kłódka puściła, a łańcuch upadł z łoskotem na skórę. Digestonka, wykonując wszystkie te czynności z mechaniczną precyzją, rozchyliła klapę i wpuściła Skrzyp przodem, po czym sama wskoczyła do środka i niemal jednocześnie zamknęła drzwi.

Znalazły się w długim, prowadzącym na górę korytarzu. Zaczęły ostrożnie mijać kolejne stopnie schodów. Przekop był ciasny, szły więc jedna za drugą, starając się nie nadeptywać sobie na pięty.

— Brzdęk?

— Tak, Skrzyp?

— Kim jest Alteo? To znaczy — kim jest dla ciebie?

Digestonka szła przez chwilę w ciszy, potem odezwała się jakby od niechcienia, maskując wzruszenie.

— Poznaliśmy go razem z Trachem podczas naszej pierwszej podróży. Stał wtedy na warcie. Wyjątkowy z niego marzyciel, dlatego pozwolił nam wejść przez ten właz. A potem... No cóż, a potem mieszkałam z nim przez jakiś czas.

— Czyli... jesteście przyjaciółmi, tak? — spytała z prostotą mała.

— Tak... Na to wygląda — przyznała Brzdęk w zamyśleniu.

W końcu stanęły na rozstaju dróg. Strzałki na zdezelowanym znaku postawionym w tym miejscu wskazywały przeciwne kierunki. Na jednej z tabliczek w digestońskim dialekcie było napisane „NOS”, na drugim — „JAMA USTNA”. Skrzyp z przekonaniem skrzyła w prawo, jednak Brzdęk złapała ją za ramię i szepcząc „Mam lepszy pomysł”, skierowała się w drugą stronę.

Zaczęły więc znów się piąć. W pewnym momencie poczuły na twarzach łagodne podmuchy wiatru, które z każdym ich krokiem stawały się coraz gwałtowniejsze. Wtem schody skończyły się, a pod swoimi stopami zobaczyły wystające z podłoża długie, ciemne nici. Wiatr zaczął utrudniać im chodzenie, raz spychając je do tyłu, to znów ciągnąc w stronę tajemniczej łuny widocznej przed nimi, w dole.

— Teraz musimy zejść tam. — Brzdęk wskazała zagadkowe miejsce.

— Trzymaj się włosów, bo inaczej spadniesz.

To rozwiązanie nie było łatwe. Skrzyp z początku stała w miejscu, kurczowo trzymając się wystających ze śluzówki „nici”. Kiedy spostrzegła, że Brzdęk jest już daleko w dole, przymknęła oczy i odetchnęła pełną piersią, starając się uspokoić. Uważnie opierając stopy na nierównościach śluzówki, zaczęła schodzić po pochyłości, co chwila wypuszczając i znów łapiąc w dłonie kolejne włosy. Kilka razy traciła równowagę i zsuwała się z niekontrolowaną szybkością, jednak za każdym razem odyskiwała kontrolę nad kończynami i odnajdywała nowe punkty oparcia. Po kilku minutach znalazła się obok przewodniczki, która czekała na nią z sarkastycznym uśmiechem. Przed sobą, na różowej śluzówce, dostrzegła ciemny kształt. Na jego widok o mało nie puściła się zabezpieczeń, dając się porwać silnym podmuchom.

— Kto to jest, Brzdęk? — spytała drżącym głosem.

— To ty, mała — wyjaśniła jej przewodniczka, ukrywając rozbawienie.

— A raczej twój cień.

— Mój cień? — Zaintrygowana Skrzyp powtarzała w myślach nowe słowo.

— Tak. Kiedy światło pada na coś lub kogoś, tworzy się cień.

— Światło? Światło skąd?

Brzdęk nie odezwała się. Powoli odwróciła się w stronę jasnej łuny za nimi i cicho powiedziała:

— Stąd.

Skrzyp z trudem, czując, że serce omal nie wyskakuje jej z piersi, odkręciła się. Nie zdążyła do końca zwrócić się w stronę światła, gdy odruchowo zamknęła oczy, oślepiona jego jasnością. Dopiero po dłuższym czasie, wciąż mrużąc powieki, mogła dostrzec to, co było przed nią. Z jej ust wyrwało się stłumione westchnienie.

Po obu stronach stały wysokie pale zwieńczone zielonymi czuprynami. Niekiedy z jednej na drugą przelatywało czarne, skrzydlate stworzenie, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. W środku, aż po horyzont, ciągnęła się długa, czerwona droga, po której spacerowały wielkie stwory, przypominające Digestonów, ale mające jasną skórę, wielkie oczy i małe uszy. Czasem trzymały za rękę jakieś małe istotki, bardzo podobne do nich samych. „To na pewno są ludzie” — stwierdziła w duchu. Spojrzała na nich raz jeszcze i uniosła oczy w górę. Tam, na błękitnej powierzchni ospale płynęły kępy białego, miękkiego puchu. Jej uwagę zwróciły jednak nie one, a okazała, świetlista kula, która — jak jej się wydawało — sprawiała, że wszystko wokół było tak jasne.

— Co to jest? — spytała oczarowana jej blaskiem.

— To jest słońce, Skrzyp.

Digestonka odwróciła się raptownie w stronę towarzyszki. Głos Brzdęk łamał się, co w jej przypadku było całkowicie nienaturalne. Ale najbardziej zadziwiający dla Skrzyp był fakt, że Brzdęk, z opuszczonymi nisko uszami, płakała bezdźwięcznie. Na pewno wstydziła się tej „oznaki słabości”, a to, że się jej poddała, świadczyło o wielkim uniesieniu.

— Skrzyp... My... my będziemy musiały się tutaj pożegnać — zawołała, przekrzykując podmuchy wiatru.

— Pożegnać? D-dlaczego?

Brzdęk przekręciła lekko głowę i uśmiechnęła się dziewczęco, jak nigdy wcześniej.

— Obiecałam ci, że cię tu zaprowadzę. I dotrzymałam słowa. Teraz muszę spełnić inny obowiązek.

— Jaki obowiązek, Brzdęk? O czym ty mówisz?

— O Trachu. Muszę do niego dołączyć. Jestem pewna, że dotarł do wioski Digestonów w tym parku. Nasz człowiek przychodzi tu, odkąd pamiętam. — Ściszyła głos, przez co mała prawie jej nie słyszała. — Tamtego dnia też tu był...

— Ale, Brzdęk... Jak ty go tam znajdziesz... Ten świat jest... ogromny...

— Skrzyp nie wiedziała, jak ją zatrzymać. — To nie ma sensu, Brzdęk.

— Skrzyp, wiem, że kiedyś zrozumiesz, że popełniliśmy wielki błąd, opuszczając ten świat. — Wskazała dłonią rozpościerający się przed nimi krajobraz. — Uciekliśmy w ciemność, bojąc się, że jesteśmy zbyt mali, by żyć tu bezpiecznie. Osiągnęliśmy spokój, ale w zamian zrezygnowaliśmy ze światła, Skrzyp. Słońca, które tak cię zachwyciło. Ja chcę je odzyskać. I chcę odzyskać brata.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Skrzyp miała nadzieję, choćby bólem widocznym w jej oczach, zmusić Brzdęk do zmiany zdania. Ale ona patrzyła na nią łagodnie. Wiatr rozwiewał jej długie włosy, jednocześnie wysuszając pozostałe na policzkach łzy. Uważając, aby nie ulec podmuchom wiatru (który, rzecz jasna, był ludzkim oddechem), uściśnęła jej dłoń.

— Dzięki, mała. Gdyby nie ty, nie odważyłabym się. Prawdę mówiąc, w ogóle by mnie tu nie było. — Zaśmiała się dźwięcznie.

Byłaszcześliwai Skrzyp wiedziała, że nie powinna jej powstrzymywać. A jednak nie potrafiła pogodzić się z myślą, że już nigdy nie zobaczy swej towarzyszki. To ona pomogła jej spełnić marzenie. Tylko ona opowiadała o podróżach po całym cieie. I tylko ona umiała wyrażać się w tak oryginalny sposób. Mimo tego jakiś wewnętrzny głos podpowiadał, że każda z nich miała tu przyjść w innym celu i żadna nie może z niego zrezygnować. „Nigdy sobie nie wybaczy, jeśli się podda” — pomyślała z ironią, wspominając, jak sama powtarzała to zdanie w głowie. Nagle uświadomiła sobie, że mogłaby rozwiązać ten problem w najbardziej oczywisty sposób i najzwyczajniej w świecie zostawić mroczne ludzkie narządy. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak piękne musiałyby być życie, w którym codziennie rano budziłyby ją radosne promienie słońca. Życie pełne zachwycających barw i symfonii różnorodnych dźwięków. Zewnętrzny świat kusił ją swoją

efektywnością, ale wciąż pozostawało coś, co zatrzymywało ją na miejscu: miłość do rodziców. Skrzyp z przerażeniem i bólem zdała sobie sprawę z tego, że nie pomyślała o nich ani razu, odkąd opuściły wątrobę. Brzdęk nie dołączyła do brata przez strach i żałowała tego przez całe życie. Ona miałaby zostawić rodziców, pchana w nieznane własną brawurą? Nie, nie mogła na to pozwolić.

Niechciane łzy zaczęły przysłaniać twarz towarzyszki. Przez chwilę trwały w milczeniu, obie pragnąc na moment zatrzymać czas. W końcu Skrzyp zmusiła się do względnie radosnego grymasu.

— Uważaj na siebie, Brzdęk. I nie zapomnij o mnie na tamtym świecie.

— Nie zapomnę, Skrzyp. Nawet gdybym chciała, za bardzo mnie irytujesz, bym mogła wymazać cię ze wspomnień — odparła przekornie Digestonka i zwróciła twarz w stronę błękitnego nieba. Nagle znów spojrzała na swoją towarzyszkę, a w jej oczach igrały dobrze znane dziewczynie ogniki. — A tak, prawie bym zapomniała. Piskorz jest twój, mała.

Potem wypuściła włosy z rąk i zsunęła się w nieznaną otchłań.

Kiedy Skrzyp znalazła się we wnętrzu wehikułu, było już południe. Droga przez miasto Arystokratów okazała się o wiele trudniejsza niż w nocy, jednak Alteo zadbał o to, by umożliwić jej bezpieczny powrót. Czekał z nią na siedzeniu obok, trzymając w dłoniach przygotowaną paczuszkę z fruktozą. Digestonka zacisnęła mocno ręce na kierownicy i wpatrywała się ślepo w pustkę przed sobą. Do jej świadomości nie docierało jeszcze, że Brzdęk odeszła na zawsze, a wizja samodzielnej wędrówki do domu napawała ją zgrozą. Czuła się samotna jak nigdy dotąd.

— Chciała tego od dawna. — Staruszek wyrzekł wreszcie długo trzymane na uwięzi słowa. — Pewne rzeczy są nieuniknione, Skrzyp. Ona nigdy nie byłaby tutaj szczęśliwa. Zawsze wyrzucała naszym przodkom, że uciekli z tamtego świata.

Widząc, że dziewczyna wciąż pozostaje w bezruchu z tym samym, beznamiętnym wyrazem twarzy, co wcześniej, Alteo dodał:

— Jesteś tu, bo ci zaufała. A wierz mi, ona nie darzy wielu osób sympatią. — Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Skrzyp poruszyła się niespokojnie i opuściła głowę, zapewne po to, by ukryć przed starcem swoje łzy.

— Alteo, czemu to zrobiliśmy? Dlaczego zostawiliśmy wszystko, co piękne i wspaniałe dla tchórzliwej pewności bezpieczeństwa?

— Cóż, to było bardzo dawno temu, Skrzyp. — Zamyślił się. — Kiedy człowiek zaczął budować wielkie maszyny i rosnąć w siłę, my poczuliśmy się zagrożeni. Podobno jeden z nas wpadł na pomysł, by ukryć się w oku cyklonu — jedynym, jak twierdził, spokojnym miejscu — ludzkim ciele. Skoro ludzie mieli być coraz potężniejsi, z biegiem lat powinno nam być tylko lepiej, prawda? — Alteo spojrzał na nią, siląc się na uśmiech, ale Skrzyp wciąż wpatrywała się w podłogę. — Niektórzy nie zgodzili się z nim i zostali. Inni zdecydowali się go posłuchać. Ale nie powinnaś ich za to winić, moja droga. Nie możesz wiedzieć, co ty byś zrobiła na ich miejscu.

— A właśnie, że mogę, Alteo! — wykrzyknęła z pasją dziewczyna. — Nigdy nie zrezygnowałabym ze słońca dla tych odrażających wnętrzności!

— A co, gdybyś miała wybierać między własną rodziną a światłem? Życiem bliskich i własnymi upodobaniami? Ci Digestoni musieli podjąć decyzję, do której nigdy nie powinni zostać zmuszeni. Poza tym ciało człowieka ma wiele zalet, Skrzyp. To wcale nie jest zły dom. Jesteś rozgniewana, bo Brzdęk odeszła. Wiem, że, gdyby nie ta sytuacja, nigdy nie powiedziałabyś takich słów.

Digestonka wlepiła w niego spojrzenie pełne cierpienia i wydukała:

— Wiedziałaś, co chciała zrobić. Czemu jej nie zatrzymałeś?

Alteo ściągnął swoje krzaczaste brwi, schylił się w jej stronę i odparł poważnym głosem:

— Bo wiedziałem, że podjęła właściwą decyzję.

Skrzyp westchnęła głęboko, jakby zrzucała z siebie niewyobrażalny ciężar. Wzięła w dłoń pomarszczoną rękę starca i objęła go delikatnie. Trwali w uścisku dłuższą chwilę, oboje świadomi wzajemnego bólu. Potem Alteo puścił ją powoli i spojrzał na Digestonkę łagodnie.

— No cóż, na mnie już pora. Instrukcja powinna być w skrytce pod kierownicą. Chociaż wątpię, by Brzdęk kiedykolwiek do niej zajrzała.

Starzec opuścił pojazd, wyskakując z niego z zadziwiającą rzeźkością. Nim zamknął drzwi, rzucił jeszcze z tajemniczym uśmiechem:

— Do zobaczenia, Skrzyp.

Mała skinęła mu głową na pożegnanie, podnosząc nieznacznie kąciki ust. Z jakiegoś powodu była pewna, że jeszcze będą mieli okazję

porozmawiać. Kiedy odszedł, odnalazła właściwy przycisk i otworzyła |⁷¹
maleńką skrytkę pod kierownicą w kształcie podkowy. Odnalazła w
niej to samo pudełko z wyrytą na pokrywce sylwetką człowieka, które
Brzdęk wyjęła w czasie ich podróży. Otworzyła je. W środku, pod zgiętą
na czworo mapą leżały związany sznurkiem pakiecik kartek i mała
koperta. Skrzyp rozdarła świeżo zaklejony papier i zajrzała do środka.
Wewnątrz znajdowała się karteczka z odręcznie napisaną fantazyjnie
wiadomością:

*Wykorzystaj go dobrze, mała. Ach, no i spróbuj nie rozbić.
Zastąp mnie na miejscu „dziwaczki”. Pasujesz do tego.
Brzdęk*

Skrzyp bezwiednie zaśmiała się pod nosem. Wytarła go w materiałową
chusteczkę wyjętą z kieszeni. Spojrzała jeszcze raz na list i schowała
go do koperty. Potem przyjrzała się związanym arkuszom papieru,
rozważając coś w myślach. W końcu zamknęła pudełko i chwyciła
kierownicę. Jej oczy rozbłysły, a ona mocno pociągnęła wajchę.

ZACHOWAM CIĘ

<https://stoslowfantastyki.com/>

Choć widzimy się ostatni raz, nie mówię ci „żegnaj”. Na zawsze zachowam cię w sercu.

Najpierw odurzę cię i przebiorę w kombinezon. Następnie zmniejszę cię do rozmiarów płatka kurzu za pomocą kolapsaru. Zostaniesz wstrzyknięty w neutralnej zawieszynie do konstrukcji umieszczonej w moim worku osierdziowym. To mikroskopijny żyroskopowy domek dla lalek. Spędzisz tam resztę życia z moją rodziną, byłymi partnerami i przyjaciółmi. Będziesz natleniany i karmiony przez moją krew. Utulany do snu przez rytm mojego serca.

Zawsze będziemy już razem. Czy to nie wspaniałe?

Skąd ten przerażony wyraz twarzy? To nie taki zły los.

Pomyśl o ludziach, których mam w dupie.



WĘZEL RYBACKI

Opowieść starych babek z Przedniego Brzegu

„Raaazem z Tooobą nowy zacznę dziś łóóów...” — grało mu w głowie, gdy wychodził z siatką na codzienny obchód. Czasem Skarbiec śpiewał pieśni, które zaskakująco dobrze pasowały do tego, co akurat robił. Dzisiejsza piosenka podobała mu się szczególnie. Choć mówiła o wszystkim, co znał — łowienie, brzeg, nawet barka — to nie wspominała o rybach. Schodząc zręcznie po kamienistym zboczu Zatoki, myślał o tym, jakie to miłe, że Skarbiec zna kogoś, kto potrzebuje rybaka, który nie ma co łowić. Od razu łatwiej odłupywało się muszle z pionowych ścian i szukało krewetek w omszałych sadzawkach.

— Tyle czasu siedzi w tej jamie i tak mało złapał? A na co też ciebie ten wójt jeszcze trzyma? Takiego próżniaka, pfy... — dobiegło go zza głazów leżących przy brzegu, gdy z torbą ciężką od skorupiaków i wciąż lekkimi myślami wspinał się z powrotem, w stronę osadzonej na lądzie barki, w której miał mieszkanie.

— Nie wasza to sprawa wójtowskie decyzje, Myśliwczanko — odrzekł pogodnie, choć takie docinki zawsze go bolały. Do bycia rybakiem bez morza i ryb łatwo się przyzwycząić, gdy w tej samej sytuacji był i twój ojciec, i dziad, i kto wie, ilu przed nimi. Tak naprawdę w wiosce nie było nikogo, kto pamiętałby czasy, gdy w Zatoce znajdowała się woda. Morze i ryby znano tylko z pieśni Skarbca. Jednak ukłucie wewnątrz pozostawało, bo sytuacja zawsze może się zmienić. Kto wie, a nuż wójtowi przyjdzie kiedyś do głowy, by wykluczyć niełowiącego rybaka?

— Krabów by chociaż nałowił, mój braciszek mówił, że ma chętkę — ciągnęła Myśliwczanka nieco miłszym tonem: godne zachowanie Rybaka ją zdyscyplinowało.

— A dacie w zamian zagarncowanej dzikiej świny? — z tym samym zewnętrznym spokojem zainteresował się Rybak.

— Z nawiązką damy! — Myśliwczanka już całkiem zmieniła ton, brzmiała poufale i przymilnie, jak najlepsza sąsiadka pod Niebem.

— To pomyślimy. — Rybak wygramolił się już na brzeg, tuż koło kamieni, przy których stała kobieta. Myśliwczanka wyraźnie chciała kontynuować rozmowę, on jednak, przeszedłszy koło niej, oddalił się w stronę barki.

Nazajutrz dzień targowy, cały towar trzeba sprzedać, niezagarncowany zmarnieje. Nie było z tym problemu, nie u niego. I jak zawsze, targowe pozdrowienia, pochwały... Tylko jak długo tak będzie? Kończyny wciąż zręczne i chwytne, ale już nie takie silne jak dawniej, całe ciało też słabnie. Nie będzie już potrzebny wiosce, jak to Skarbiec śpiewał? „Skasowałaś mnie ze swej pamięci...”.

Pora snu, jak to pora snu, sprawiła, że wypogodniał. Wybiegł przed barłę, obmył się w załomie skały, spośród sprzętu suszącego się na sznurach wybrał siatkę o grubszym splocie. Gdzieś tam jej liny, przetarte od wieloletniej pracy, były powiązane węzłami rybackimi: jeden supeł, drugi supeł. Węzła nauczył go ojciec i Rybak czasem próbował sobie wyobrazić, do czego mógł służyć prawdziwym rybakom na morzu. Ale dziś nie ma co się zamyślać, trzeba zdobyć kraby na wymianę! Pogwizdując co weselszą ze skarbcowych melodii, zaczął schodzić stromą półką w dół brzegu Zatoki.

Kraby mieszkają w poziomych korytarzach prawego brzegu, w odległości jakiejś ćwierci pory pracy drogi od wioski. Po zejściu stromym zboczem w dół maszerowało się wąskim, ale dość wygodnym skalnym traktem i mniej więcej wtedy, gdy wprawnego wędrowca zaczynało ogarniać pierwsze zmęczenie, ściana po prawej zaczynała robić się nierówna i wkrótce na wysokości traktu, nieco pod nim i nad nim, uwidaczniały się ziejące otwory. Rybak skierował się w pierwszy, wyjmując z sakwy rzutnik rodników światła. O dziwo, dziś nie był potrzebny. Ciemny zazwyczaj korytarz rozświetlał blask koloru innego niż wszystko wokół, rzadki widok. Rozgałęzienia, które mimo rzutnika zazwyczaj trzeba było odnajdywać po omacku dotykając ścian, teraz były widoczne, kilkanaście otworów po obu stronach korytarza. („Iść swoją drogą, nie dać satysfakcji wrogom”, rozbrzmiała mu na chwilę w umyśle melodia ze Skarbcza.) W tych najbliższych widać było wnętrza okrągłych jamek, którymi się kończyły, w jamkach lśniły kałuże, w których po omacku zanurzało się sieć i dotykiem wyczuwało, czy złapał się krab.

Z jednego z dalszych otworów natomiast sączyło się światło. Rybak, który zjawisk naturalnych bał się dużo mniej niż starości czy ludzkich języków, pośpiesznie przemieścił się w jego kierunku. „Pokaż, na co cię stać, ale nie jeden raz...” — podśpiewywał rażno Skarbiec.

Cała jamka rozświetlona była tym kontrastowym światłem. Skarbiec nagle ucichł. Rybak nie wiedział, czy otacza go cisza czy też jakiś jednostajny, dzwoniący dźwięk. Na środku jamki ktoś stał. Wyprostowany, dumny, jak wójt ubrany wspaniale i bogato, ale, inaczej niż w przypadku wójta, budził strach.

Do stroju miał przyczipione ozdoby, mnóstwo ozdób. Głównie kolistych, niektóre miały otwór i to one właśnie tak świeciły. Inne były po prostu kółkami obleczonymi w coś podobnego do siatki na muszle, ale po co, skoro były zbyt małe, by coś nimi złapać? Rybak bał się, choć nie wiedział dlaczego. Postać odezwała się.

— Wiedziałem, że ktoś przyjdzie.

— Ta jama jest najbliżej wioski. Jeśli ktoś miałby przyjść, to wiadomo, że tu — spokojnym i pewnym mimo strachu głosem odparł Rybak.

— Wiem, że masz jakiś problem.

— Nie rozumiem. O co w ogóle pytacie? — Nikt nigdy nie zwracał się w ten sposób do Rybaka i ta obcość była tak drażniąca, że stłumiła nieco lęk.

— O nic nie pytam, głupcze, tylko ci mówię. Ty masz jakiś problem.

— Każdy ma jakiś problem — zachnął się Rybak. Nie lubił takiego gadania.

— Ja mogę zrobić wiele rzeczy. Po to spadłem tu z góry. Mogę zrobić wiele rzeczy, ale w każdej będziesz musiał mi pomóc.

Rybak czuł się dziwnie, w Wiosce prawie nigdy nie spotykało się nowych osób, a jeśli już, to raczej włóczęgów i żebraków, nikogo tak dostojnie wyglądającego. Władczy ton obcego jednocześnie budził lęk, irytował i ciekawił.

— A co możesz zrobić? — spytał w końcu z tego zaciekawienia.

— Wiele rzeczy. Mogę na przykład to wszystko zburzyć. Albo mogę sprawić, że ten kanion zapłonie. Jeśli będziesz chciał i mi pomożesz.

— Dlaczego miałbym chcieć czegoś takiego?

— Niektórzy potrzebują, żeby coś się zniszczyło po to, żeby oni stali się mocniejsi.

Mocniejsi, pomyślał Rybak. Jest jedna rzecz, która by mi pomogła.

— A możesz zrobić tak, żeby do Zatoki powróciło Morze?

Tym razem to obcy na chwilę się zamyślił.

— Tak, to leży w moich kompetencjach — odpowiedział w końcu. — Tylko namyśl się i przyjdź jutro, gdy będziesz pewien.

Obcy miał wyraz frontu ciała, który przypominał kogoś, kto umarł. Rybak nigdy nie widział kogoś tak niepokojącego i budzącego respekt.

Pomimo tego odwrócił się i bez pożegnania czy innej uprzejmości wyszedł z jamki, potem z korytarza. Wszedł w kilka innych korytarzy i świecąc sobie, pośpiesznie złowił siatkę krabów. Droga powrotna była bardziej męcząca niż zwykle, i nawet zachwyty Myśliwczanki podczas wieczornej wymiany dóbr nie przywróciły mu animuszu.

W porze snu Rybak nie mógł zasnąć. Nieznajomy mógłby sprowadzić Morze. Skończyłyby się jego problemy, przestałby być rybakiem bez morza, żeglugi, ryb. „Zanim się z tobą oswoję, tak się boję, liczę do trzech, rzucam czar...” — zanucił Skarbiec po dłuższym milczeniu.

Rano, porywając tylko w locie małą siatkę na krewetki i czerpak, Rybak niemal popędził, na ile pozwalała mu forma, do jamy, w której spotkał obcego. Zdziwił się, widząc go w tym samym miejscu, co wczoraj. Taka wielka postać czeka na niego? Wójt czy wioskowy uzdrowiciel, z którym obcy również mu się kojarzył, nie zachowałiby się tak.

— Chcę, żeby wróciło Morze — powiedział bez powitania.

— Więc, jak mówiłem, będziesz musiał pomóc. Przynieś mi torbę szyszek takiego koloru, jak ja — rzekł, unosząc dumnie ręce i prezentując kokietyjnie świecące ozdoby.

— Jak je znajdę?

Nieznajomy owinął się odzieniem, front jego ciała przybrał wyraz jeszcze bardziej dumny i martwy niż dotychczas. Nie wyglądał, jakby zamierzał jeszcze cokolwiek mówić, więc Rybak odwrócił się i wyszedł z jamy, świadom, że będzie musiał poradzić sobie sam.

Wspiął się z powrotem na brzeg, pośpiesznie zbierając po drodze krewetki z rozpadlin, a że pora pracy jeszcze trwała, skierował się do lasu.

Choć uważał, że dobrze jest chodzić czasem do lasu, była to dla niego nie tyle przyjemność, co wysiłek. Łatwiej było po prostu pracować albo odpoczywać w domu, niż zadawać sobie trud, by przejść się wśród drzew. Zawsze widząc to, jak przypominają one jego własne kończyny, z których wyrastają takie same kończyny, tylko mniejsze, zastanawiał się, czy i on nie znajduje się na gałęzi kolejnego takiego drzewa, które rośnie na kolejnym, jeszcze większym... Niepokojące to było. Jednak Skarbiec tak często śpiewał o lesie dobre rzeczy — lub po prostu nawoływał „Czaaas do lasu iść znowu” — że trudno było nie usłuchać jego mądrego głosu.

Tylko jak znaleźć szyszki w kolorze innym niż wszystko? Ten kolor pojawiał się niekiedy w różnych miejscach — w Zatoce, w lesie, we Wiosce — czasem przybierały go nawet przedmioty codziennego użytku, po jakimś czasie jednak normalny kolor na szczęście wracał.

Co do samych szyszek, wiedział, co to takiego — choćby z piosenki Skarbca o tym, że „już trzeci miesiąc przeszło mija, kiedy mnie las bez niego trzyma” — ale nie zaprzętał sobie nimi dotąd głowy, ani tym, gdzie dokładnie rosną, nie były potrzebne w jego pracy.

— „Rzuć choćby szyszką w moją stronę” — zaśpiewał jednak dalej na głos tę skarbcową melodię, tak mu się jakoś zrobiło wesoło. Ładna to była piosenka.

— Chcesz, to sobie weź! — usłyszał nagle znajomy głos z odległości kilkudziesięciu kroków. Podszedł, rozchylając gałęzie. Na brzegu kolistej rozpadliny stał Myśliwy, z bronią przewieszoną na tyle ciała i z torbą u boku. W wysoko wyciągniętej kończynie ścisnął właśnie kilka szyszek.

— Skąd macie? Też by mi się przydały.

— Pokażę wam, tylko wszystkich nie wybiercie. Dla zwierząt oswojonych zbieram, jak w lesie jestem.

Poszli wzdłuż brzegu rozpadliny i wkroczyli w większą gęstwinę. Drzewa wyciągały ku nim ciekawskie kończyny.

— No, jesteście. — Wyszli na polanę tylko z rzadka porośniętą drzewami, na wszystkich rosły szyszki. Wiele ich leżało na podłożu, wszystkie w zwyczajnym kolorze. Rybak miał nadzieję, że będzie inaczej. Zdecydował się zaryzykować, nie było czasu.

— Myśliwcze, a są tu gdzieś szyszki w innym kolorze?

Myśliwy spojrzał na niego zaskoczony.

— No, są tam dalej, ale ja tylko jadalne zbieram... A na co wam?

— Do polowu potrzebuję — skłamał szybko Rybak, choć nie lubił.

Na froncie ciała Myśliwego pojawiła się obawa. — Rybaku, wy tym świństwem nęćcie zwierzynę? I później nam to sprzedajecie?

— A skąd! Noszę ze sobą, żeby rzucać w drapieźniki. Gdzie tam zanęcam...

— No to dobrze, wystraszyliście mnie. Więc tak: przejdźcie przez tę polanę, dalej las robi się gęstszy, powinniście zobaczyć drzewa z tymi szyszkami, będą świecić. Tylko nie mówcie mojej siostrze, że paracie się takimi rzeczami. Ja w to wszystko za bardzo nie wierzę, ale wiecie, jaka ona lekliwa. Ja już będę wracać, bywajcie!

Rybak podziękował, pożegnał się i poszedł we wskazanym kierunku.

Było tak, jak mówił Myśliwy. Blask bijący z drzew przywiódł Rybakowi na myśl przybysza z jaskini i nagle zdjął go lęk, jak nigdy dotąd w lesie. Wracając, miał wrażenie, że drzewa chcą go pożreć, choć wiedział, że to bzdura. Poruszał się na to stanowczo zbyt szybko.

Rano pobiegł na targ i, jak zwykle bez trudu — nadal — sprzedał zasłoikowane krewetki z poprzedniego dnia, po czym, znów jedynie z lekkim oprządkowaniem i torbą szyszek, ruszył w drogę do jamy nieznanego.

Znów stał tam, gdzie poprzednio, górne kończyny splecione na froncie we władczej pozie, całkowicie nieruchomy. „Obudź się, czarny Ali Babo, zatańcz ze mną tu i tam, i tam i tu...” — nie wiedzieć czemu, przyszło do głowy Rybakowi, a dostojeństwo obcego wydało mu się nagle zabawne, choć nie rozumiał, kto to Ali Baba i co to „czarny”. Gdy podszedł bliżej, zdało mu się, że obcy unosi się lekko nad ziemią. Położył u jego stóp otwartą torbę z szyszkami.

— O, jesteś! — Wydawało się, że nieznanomy dostrzegł Rybaka dopiero, gdy zobaczył pakunek. Pochylił się, zaglądając niecierpliwie do torby. Chciwy jesteś, Ali Babo — pomyślał Rybak, znów z rozbawieniem, tak odmiennym od wcześniejszego przestrachu i szacunku. Ali Baba począł wyciągać z sakwy szyszki i przyglądać im się.

— Piękne! Przepiękne! — Jego ubranie miało mnóstwo frędzli, do których nic jeszcze nie było przyczepione; zaczął przypinać do nich szyszkę po szyszcze.

— No, jak wyglądam? — zapytał, podnosząc się. Rybakowi dziwnie było patrzeć na tę nagle ujawnioną przez przybysza próżność, która pasowałaby bardziej strojnisi przymierzającej odzienia na straganie.

— Inaczej niż wójt, on tak nie świeci — odparł.

— Prosty masz umysł — odparł nieznanomy, w jego głosie było mniej wyższości niż dotąd. — Ale przyniosłeś właściwy dar. Przyzwę dla ciebie morze.

— Czy będę do czegoś potrzebny? — Na słowa Ali Baby o Morzu Rybaka, dotąd zawstydzonego po spotkaniu z Myśliwym i przytłoczonego zachowaniem przybysza, ogarnęło nagle uczucie, jakiego nie doświadczał nigdy wcześniej. Choć nie, może coś odlegle kojarzyło mu się ze Skarbca: „Bezchmurne niebo znów mam nad głową...”. Choć nie wiedział, co to znaczy „bezchmurne”, lubił tę piosenkę. Lubiał wszystkie piosenki o Niebie, które śpiewał Skarbiec, choć słowa większości były bezsensowne. Coś o kolorze Nieba, o jakimś błękie, albo o tym, że

kiedyś w Niebie dostanie się złoty tron, choć przecież każdy wie, że Niebo jest twarde, pagórkowate i ma taki sam kolor jak wszystko.

— Nie. Tylko mi nie przeszkadzaj — przerwał jego zamyślenie Ali Baba. — Kiedy będę je przyzywał, nie wolno ci zanadto mnie rozpraszać. Wrócisz tu, gdy morze przyjdzie, przypłyniesz, i odwieziesz mnie na tylną stronę zatoki, mam kolejne rzeczy do uczynienia. A teraz już idź.

Rybak poszedł. To uczucie na myśl o powrocie Morza wciąż mu towarzyszyło. Wiedział, że powinien zacząć coś planować, przygotowywać barkę i sprzęt, podjąć jakąś pracę, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać.

— Nic dziś nie złowił? Ani jednej sztuki? Patrzcie go, nedorajdę! — przywitał go u wylotu ścieżki jazgot Myśliwczanki. Dopiero teraz Rybak uświadomił sobie, że rzeczywiście nic dziś nie złowił. Nie sprzeda nic na targu, a rano, po zjedzeniu na kolację resztek świniny, będzie głodny i osłabiony.

— A nie, nie, przepraszam, sąsiedzie, jedną sztukę żeście ułowili — wciąż z lekkim szyderstwem ciągnęła Myśliwczanka i znienacka sięgnęła do jego sakwy. Faktycznie, coś w niej było. Myśliwczyna sprawnym ruchem wyciągnęła przedmiot, po czym zaraz upuściła, na jej twarzy malowało się przerażenie.

— Ty... ty... — wyjąkała; gdy spojrzała na Rybaka, przerażenie na froncie jej ciała ustąpiło miejsca wstrętowi — ty podniosłeś coś w przeklętym kolorze! I przyniosłeś to do wioski! Zabierz to, zabierz, wyrzuć jak najdalej, a jak nie, to idź z tym i nie wracaj, ty ohydny, ty... — Spojrzała na niego znów, jakby po raz pierwszy, odkąd pamiętał, zabrakło jej słów.

Rybak poczuł nagle przypływ gniewu.

— Nierozsądna! — Chyba pierwszy raz w życiu podniósł głos, nieświadomie naśladując władczość Ali Baby. — Znalazłem sposób, żeby wróciło Morze! Będą ryby dla wioski, czeka nas wszystkich dostatek! Dzięki szyszkom to wszystko będzie możliwe! Ale dla ciebie to oczywiście nie do pojęcia!

Na twarzy Myśliwczyny odmalowało się jeszcze większe przerażenie.

— Mo... Mo... Morze...? — krzyknęła cienko? — To ty nie znasz opowieści?

— Jakich opowieści, co to za bzdury?

— Jeśli wróci Morze, Skarbiec najpierw zacznie łkać, a potem

zamilknie. A potem wszyscy pomrzemy. Żyjemy dlatego, że Morza tu nie ma, że straszny potwór, który mieszka na dnie, nie budzi go, by przyszło. Tak opowiadają wszystkie stare babki, a one dowiedziały się tego od innych starych babek, gdy same były młode. A ich opowieści prawie zawsze się sprawdzają.

— Zawsze wyrzekałaś, że nie łowię. Myślałam, że wolałabyś, żebym był normalnym rybakiem, takim jak w pieśniach Skarbca. Że wszyscy byście chcieli.

— Tak się tylko droczyłam. Wydawało mi się, że jeśli cię będę zasmucać, będziesz przynosić lepsze zdobycze, że częściej będziesz wychodzić po kraby dla nas na wymianę.

— A inni?

— Inni nie wyrzekają na ciebie.

— Mówiłaś, że tak.

— Kłamałam. Morze to koniec dla nas wszystkich. Jeśli rzeczywiście sprawiłbyś, że przyjdzie, zniszczyłbyś nas i siebie.

Rybak odwrócił się i skierował ku barce. Choć nie wierzył w opowieści starych babek, na jeden dzień był to dla niego za dużo.

Po przebudzeniu, zabrawszy codzienny ekwipunek, szybko podążył do chaty Wójta. Skłonił front nisko, gdy ten mu otworzył, ale zaraz później, nie bacząc na dalszy ceremoniał, wypalił:

— Wójcie, czy w Zatoce była kiedyś woda? Morze?

Wójt podrapał się w zamyśleniu.

— Nie wiem. Księgi opisowe trzymamy na pięć sezonów pracy wstecz. To krócej, niż żyjemy ja czy ty. Ja nie pamiętam, żeby było, ojciec i dziad nie mówili, bo nie pytałem.

— A czy dla wioski dobrze by było, gdyby Morze przyszło? Podobno daje ryby, no i mój dom to barka, może by się przydał. Mój ojciec i dziad zwali się rybakami...

— Nie wiem, nie mamy w planach Morza. Martwi mnie coś innego. Wójtowa mówiła, że wczoraj nie przyszlście na targ z owocami Zatoki, niektórzy wrócili do domu z pustymi koszami. To niezgodne. Lepiej zacznijcie znów coś łapać, bo czeka nas niedojadanie i choroby.

Rybak pożegnał się, skierował się na codzienną ścieżkę i zaczął pośpiesznie schodzić w dół Zatoki. Z pierwszej jamy światło buchało dużo mocniej niż poprzednio.

Gdy Rybak wszedł, zobaczył, że teraz nie tylko Ali Baba, ale i całe ściany i podłogę emitowały blask w kolorze innym niż wszystko. Wyglądało, jakby kolor rozpełzł się od nieznanego i sięgał coraz dalej, jak rozlana woda przesiąkająca w dal i wwyż. Ali Baba nie ruszył się z miejsca, w którym Rybak wczoraj go zostawił, ale teraz wyglądał inaczej. Górne kończyny miał uniesione w górę i kołysał nimi, dolnymi zaś wykonywał takie ruchy jak tancerze i tancerki podczas zabaw wiejskich w wójtowskiej stodole. Na froncie jego ciała widać było zmęczenie, jakby pracował przez całą porę snu. Jego ruchy były szybsze i bardziej rytmiczne niż ruchy tancerzy w stodole, bardziej przypominały niektóre melodie ze Skarbca, te, których rytm zostawał w głowie i nie pozwalał skupić się na pracy. „Nie zazna nigdy snu... nie posłucha waszych słów...”, jak brzmiała nazwa osoby, której nie rozumiał w tej piosence, a która jakoś pasowała do tego, co widział? Szaman.

— Czy kiedy sprowadzisz Morze, zniszczysz naszą Wioskę? — zadał głośno pytanie.

— A gdzie ona leży? — Szaman-Ali Baba nie przerwał tańca, jego oczy pozostały zamknięte.

— Na Przednim Brzegu. Naprzeciw tego, na który mam cię wysadzić za dwa dni.

— Tak, będzie zniszczona.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Skąd miałem wiedzieć, że cię to interesuje?

— W takim razie proszę, zatrzymaj się. Nie sprowadzaj Morza.

— Teraz już za późno, zacząłem rozsiewać światło. To moja praca, nie przerwę jej. Jak ci zależy, uratuj sobie swoją Wioskę, ale mnie już nie przeszkadzaj.

— Jak mogę to zrobić?

— Zejdź na samo dno, zakręć kran. — Szaman Ali Baba zaczął tańczyć bardziej zapamiętale, nie wyglądał na chętnego do dalszej rozmowy.

Rybak wyszedł przed jaskinię i przejrzał ekwipunek. Dwie siatki, dwie torby na owoce Zatoki, derka do spania, zwój liny, drobne narzędzia rybackie, garść świńskich pancerzyków, harpun, rzutnik światła i dodatkowe odzienie. Nigdy nie wiesz, czy pora snu nie zastanie cię w Zatoce, uczył go ojciec. Rybak nie wiedział, jak długo idzie się na dno Zatoki, nigdy tam nie był, nie wiedział też, kiedy rozpoczną się

wywołane przez Ali Babę zniszczenia. Wiedział natomiast jedno: już jedną porę pracy spędził bez złowienia czegokolwiek. Jeszcze jedna więcej i go zakują, dwie-trzy więcej i prócz tego wiosce realnie zacznie grozić głód.

Może uda się zdążyć, pomyślał, zaczerpując głęboko powietrza, i skierował się w dół.

W którejś z niższych jaskiń złowił kilka krabów. Jednego zjadł na surowo, pozostałe włożył do sakwy. Nie wiadomo, czy niżej będzie coś do jedzenia.

Pierwszy świński pancerz przydał się po jakiejś ćwierci pory od wyruszenia z jaskini Szamana. Wpiął się w ścianę i zjechał w miarę płynnie, choć nie robił tego od kilku sezonów pracy. Po wyczuciu półki pod sobą wyczuł kolejne miejsce na wpięcie i powtórzył zjazd. Nie wiedział, jak długo tak zjeżdżał, stracił rachubę. Podczas jednego z lądowań, gdy rzutnik przygasał i Rybak po omacku szukał kolejnej szczeliny na pancerzyk, zamiast ściany wyczuł coś miękkiego, w dotyku było podobne do drzewa, ale dużo szybciej się poruszało. Kończyny tego czegoś oplotły Rybaka; owionęło go ciepło i okropny zapach. Sięgnął po harpun i pchnął na oślep. Posłyszał syk jak z otwieranego garnca, ale przerażliwszy, po czym to coś chwyciło go i zepchnęło z półki. Po bardzo długim locie spadł w gęste zarośla, były dość miękkie, ale przez wysokość upadku boleśnie obity jego ciało. Wstał z wysiłkiem. Znajdował się na nisko porośniętej łące, która schodziła stokiem. Na dnie doliny widniał staw — dużo większy niż te, które znał — a przed nim stała chata. Podobnie jak Wioska, gospodarstwo emitowało własne światło, w normalnym kolorze, oświetlające niemal całą dolinę, niepotrzebny był rzutnik. Podeszedł. Na progu chaty siedział starzec.

— „Dobry wieczór tobie, panie gospodarzu” — zaczął ceremonialnie słowami pieśni ze Skarbca. Gdy chciało się być szczególnie uprzejmym, nie wypadało mówić własnymi słowami, grzeczność nakazywała powtórzyć coś ze Skarbcowych pieśni.

— No witajcie. — Starzec albo nie znał tego zwyczaju, albo nie chciało mu się go respektować.

— Jestem Rybak. — Rybak wiedział, że brzmi to w jego sytuacji głupio i stropił się.

— A mnie zwą Dziadkiem. — Staruszek podniósł się na chwilę z miejsca, jednak okazując pewną kurtuazję. Jeśli Myśliwiczanka miała rację... Rybak poczuł strach, ale trzeba było działać.

— Czy... czy... czy to wy potraficie budzić Morze, by przyszło?

— Żeby przyszło? — Dziadek na chwilę pogodnie się zadumał. — A po co kazać przyjść czemuś, co jest? — Uśmiechnął się serdecznie i zatoczył kończyną krąg, wskazując na wąski widnokrąg za chatą, w większości zamknięty przez staw.

— Mam na myśli prawdziwe Morze. Takie wielkie i głębokie, z rybami.

— Z tego, co widzę po tobie, żyję na świecie z pięć razy dłużej niż ty, cały czas nad tym morzem. Ono nigdy nie było ani większe, ani głębsze. I lepiej niech nie będzie, bo to, że ja bym wtedy zatonął, to by był najmniejszy problem. — Zaniósł się nieirytującym, sympatycznie brzmiącym chichotem. — A co do ryb, chcesz ułować parę... Rybaka? — Znów zachichotał ciepło.

— Nie mam czasu. Morze może się podnieść. Żeby się nie podniosło, musimy zakręcić kran.

— Zakręcić kran? A co to takiego? — Staruszek był mniej poruszony, niż Rybak oczekiwał.

Dopiero teraz do Rybaka dotarło, że sam nie wie.

— Mieszkacie tu i nie wiecie? Na pewno jest tu coś, co da się zakręcić, tak żeby Morze się nie podnosiło! Chodźcie i pomóżcie mi szukać.

— W ten sposób nic nie wymyślisz, Rybaku. Ale wiem, co zrobić, żebyś wymyślił.

— Co?

— Chodź na ryby. — Staruszek odwrócił się i ruszył w stronę jeziora, kiwając na Rybaka. Ten, nie wiedząc, co innego miałby zrobić, poszedł za nim.

Morze było spokojne jak kałuża w jaskini, ale ruchy powietrza sprawiały, że co rusz pojawiały się na nim delikatne zmarszczki, jak ławice krewetek w napełnionych wodą załomach skał. Odbijał się w nich delikatny blask emitowany przez chatę Dziadka. Przy brzegu, na powierzchni wody, kołysał się duży, podłużny przedmiot.

— Wsiadaj do barki i łap. Siatkę, widzę, masz.

Rybak wsiadł — nie bez zdziwienia, że barka nijak nie przypominała jego domu, który tak nazywał — i chwyciwszy za podłużne sworznie, przypominające harpuny o szerokich, płaskich końcach, odbił się od dna. Nie wiedział, jak się przyznać.

— Ja nigdy nie łowiłem! — zawołał w końcu do Dziadka, zawstydzony.

— Wy płyn na głębie, zanurz siatkę i łap okrągłe, płaskie stwory —

to właśnie są ryby! — krzyczał z brzegu Dziadek, nieporuszony jego wyznaniem, machając do niego i podskakując radośnie. — A gdy złapiesz pomysł, wracaj!

Rybak skinął głową. Gdy był dostatecznie daleko, chwycił za siatkę, wychylił się przez krawędź barki i zaczął obserwować. To już znał, krewetki czy kraby też nigdy nie pojawiały się od razu. W końcu je zobaczył — ławica kolistych, dostojnych stworzeń różnych wielkości nadpłynęła od strony głębi jeziora, kierując się niemal prosto na barkę. Teraz Rybak działał już zgodnie z tym, co podpowiadał mu dobrze wykształcony łowiecki instynkt. Zasadzał się, czerpał znienacka, przepływał łodzią nieco w bok lub przebiegał na jej drugi koniec. Już wkrótce pierwsza ryba z pluskiem wylądowała na pokładzie.

„Już kąpiel twa nie dla mnie, nie dla mnie plusk” — Dźwięk ryby spadającej na pokład przypominał mu, co kiedyś zanucił Skarbiec. Nie wiedzieć czemu, przyszła mu przy tym na myśl Myśliwczanka. Zaraz, zaraz, jak było dalej? „Ty kąpiesz się nie dla mnie w pieszczocie pian, nie dla mnie już przy wannie...”.

— ...odkręcasz kran! — prawie krzyknął Rybak i co sił skierował się do brzegu.

— Zaprowadź mnie do miejsca, z którego woda cieknie z góry na dół, jak z czerpaka do balii przy przygotowaniu kąpeli! — zawołał do staruszka, gdy tylko znalazł się w zasięgu głosu.

— No, wiedziałem, że znajdziesz to, czego szukasz! Piękna rybka. — Staruszek zająrzył z uznaniem do barki. — To pewnie chcesz iść do Źródła Nurtu, ha?

Poprowadził go brzegiem Morza i dalej ścieżką wśród niskich skałek wyrastających na granicy przyboju.

— Tylko że woda stąd prawie nigdy nie cieknie, jeśli już, to tylko ciurka... A nie, coś się zmieniło! — dokończył z pocziwym uśmiechem, wskazując ręką na mały wodospad tryskający z jednej ze skałek, którego strumień z pluskiem rozbijał się o taflę, tworząc na niej delikatne kręgi. — Takiego silnego nurtu dotąd nie widziałem. Ale to pewnie głupstwo. Dziwny ma kolor, taki inny — rzekł Dziadek z seniorskim roztargnieniem. — Rybkę będziesz wołał pieczoną czy garncowaną?

Rybak nie słuchał. Wyjmując z torby świński pancerz, umocował go w skale, podciągnął się i wspiął w stronę źródła wody. Wypływ wyglądał jak gałąź drzewa i był równie elastyczny, różnił się tylko szczeliną na

końcu. „Odkręcasz kran”, „zakręć kran”... No cóż, woda ma nie lecieć. Wyjął z sakwy krótką linkę i zawiązał wypływ na węzeł rybacki, tak jak uczył go ojciec — jeden supeł, drugi supeł. Przestało cieknać. Zauważył, że po powierzchni skały biegają cienkie linie w kolorze innym niż wszystko, jedna z nich sięga do wypływu. Poczuł też, że odprężenie, które zawsze przychodziło w porze odpoczynku, zaczyna zmieniać się w senność pory snu. Zeskoczył.

— Dziadku, nie zjem z wami, muszę wracać.

— O, a co to taki niecierpliwy? Przecież zaraz pora snu... Ale dobrze, wracaj sobie, wracaj — powiedział pogodnie Dziadek. — A odwiedź mnie jeszcze kiedy!

Rybak pobiegł pod chatę, gdzie zostawił część ekwipunku, umocował go na tyle ciała, po czym, nie oglądając się, zaczął wspinać się w górę. Może zdąży, nim moc Ali Baby znów uruchomi Źródło Nurtu. I zanim Wioska się zagłodzi.

Czuł, jaki odcinki skały, które szybko i sprawnie pokonywał, schodząc w dół, teraz zabierają czas i mózół. Nieudanie się na spoczynek dawało się we znaki, ale wiedział, że jeśli ma zdążyć, nie będzie mógł spać. Na jednej z półek, tak jak przy podejściu, poczuł dotyk czegoś bardziej żywego niż skała. Widać czekał na niego. Rybak miał w dłoni świński pancerzyk, zamachnął się i dźgnął adwersarza na oślep, jednocześnie wciągając się na półkę całym ciężarem, jednak po chwili poczuł na sobie śliski uścisk kilkunastu kończyn. Sięgnął po harpun, ale trafił w pustkę, musiał zostawić go w łodzi. Stwór uniósł go i nagle Rybak zobaczył przed sobą plamę dużo ciemniejszej pustki, niż ta, która otaczała go wszędzie indziej wokół, i poczuł strach. Dalsza próba okaleczenia potwora wydała mu się daremna, tym bardziej przy tym wyczerpaniu. Zamiast tego nadął się, czując coraz mocniejszy nacisk kończyn potwora, po czym nagle się rozluźnił — i wystrzelił wysoko w górę z lepkich objęć jak kamyk z procy Myśliwego.

Wylądował na wypłaszczonej powierzchni zbocza, znów nie wiedział, o ile wyżej. Teraz poznawał już okolicę, uświadamiając sobie, że poprzednich odcinków nie mógł pamiętać, bo pokonał je, spadając. Zaczął wspinać się mozolnie, choć po jakimś czasie poczuł lekki przypływ sił, który uświadomił mu, że właśnie zaczyna się kolejna pora pracy. Przyśpieszył. Nie ma czasu.

Gdy dotarł do najniższej położonych krabich jaskini, miał już omamy z wyczerpania. Jak podczas ciężkiej gorączki, którą przeszedł w dzieciństwie,

słyszał Skarbiec, ale nie jego zwyczajny śpiew, a tak jakby mowę, której nie rozumiał. Pozbawiony melodii głos mówił coś o śladach kogoś czy czegoś i o jakiejś groźbie. Rybak, coraz słabiej panujący już nad własnym ciałem, przestraszył się — czyżby Skarbiec go tropił i rozgniewał się, że zapuścił się nad sam brzeg Morza?

Jaskinia Ali Baby była widoczna z dala. To nie tak, że było od niej światło — ona sama była światłem, jej ściany świeciły inną barwą, świecił nią chodnik u wylotu, obce światło rozpełzało się od niej po skale cienkimi liniami. Rybak, czując przyływ sił, rańniejszym krokiem niemal wbiegł do wnętrza. Szaman stał wciąż w środku, już nie unosił się w powietrzu ani nie tańczył, przeciwnie, wyglądał jak wrośnięte w ziemię drzewo. Był cały jasny. Dostrzegł Rybaka, front jego ciała przybrał łaskawy wyraz.

Rybak podbiegł do niego, chwycił za najbliższą szyszkę, pociągnął wściekle, oderwał od rękawa, sięgnął po dwie kolejne.

— Szaleńcze, co robisz?! — krzyknął Szaman, dół jego ciała pozostawał dumnie niewzruszony, ale jego tułów nagle się zgarbił, a front — wykrzywił. Rybak nie słuchał, dalej odzierając go z ozdób. Szaman zaczął się opierać, ale Rybak był silniejszy. Zawahał się mocno, nim obalił Ali Babę na podłoże, musiał przezwyciężyć dawny szacunek i przestach, ale udało się, przytrzymał jego bijące powietrze kończyny, jednocześnie odrywając kolejne szyszki, przy wtórce coraz bardziej żalosego zawodzenia: — Co robisz? Co robisz?... Z początku nie widział efektu, ale po chwili światło Szamana zaczęło przygasać. Rybak złuzował uścisk, dał Szamanowi jeszcze kilka kuksańców, przypominając sobie nagle bijatyki z bardziej zadziornymi, lecz ostatecznie słabszymi kolegami z wioskowej ochronki, w której przesiadawali w dzieciństwie porę pracy. Ale Szaman nie był zadziorny. Wyglądał jak ktoś skazany na zakucie, tylko bez więzów.

— Co zrobiłeś, co zrobiłeś, co zrobiłeś... — zawodził. — Nie będzie teraz światła, nie będzie, nie będzie... co ja pocznę?

— Nie wiem. Nie chcemy jednak Morza.

— Co ja pocznę, co ja pocznę... — „Połóż pistolet na stół... nie wszystkich możesz zabić...” — zaśpiewał nagle Skarbiec Rybakowi. Nie może pozbawić go życia, to niezgodne. Ale przecież Ali Baba mówił...

— Chodź — powiedział Rybak. Szaman, wciąż zgarbiony, podniósł się i powłókł się za nim jak krewetka wyciągnięta z wody.

Tuż poniżej linii jaskiń od drogi w dół odchodziła druga ścieżka, w górę,

lecz w przeciwnym kierunku, nikt z wioski nią nie chodził, podobnie jak w dół, wszystko, co potrzebne, mieli u siebie. Rybak popchnął Szamana.

— Tam idź.

— Co tam jest?

— Tylny Brzeg. Chciałeś się tam dostać.

— Ale to daleko... wysoko...

— Nie znam innej drogi. — Odwrócił się i skierował w stronę jaskini.

Gdy po jakimś czasie obejrzał się za Szamanem, ten posłusznie piał się w górę ścieżką, wciąż tak samo żałośnie zgarbiony. „Wiem, że nie ma nic gorszego niż Buka, mówi, że wróci, ale nie wiesz kiedy...” — skojarzyło mu się, choć nie wiedział, kto to Buka. Czy ta piosenka mówi o tym, że Ali Baba przyjdzie znowu?

Jaskinia dalej świeciła. Rybak wiedział, co trzeba zrobić, choć było niezgodne i robił to pierwszy raz w życiu. Wziął do ręki rybacki nóż i zaczął lekko rozkopywać podłoże.

Nie musiał długo czekać, wkrótce pojawił się pierwszy płomyk, po nim kolejny. Rybak upewnił się jeszcze przez chwilę, czy ogień się utrzyma, po czym wybiegł z jaskini, kierując się w dół. Gdy dobiegł do miejsca, gdzie jednolicie inny kolor skały rozpraszał się, rozchodząc się na drobne linie, obejrzał się — małe płomienie kołysały się już na ścieżce przed pieczarą, roztaczały światło, ale było ono w takim samym kolorze, co wszystko, koło przez to oczy. Rybak wbiegł do najbliższej jaskini. Nagle poczuł znajome rozluźnienie, tak wielkie, że musiał się położyć. Zaczyna się kolejna pora odpoczynku, zdążył pomyśleć i zapadł w sen.

Obudził go Skarbiec. Rybak chciał się podnieść, ale ciało nie chciało się ruszyć, leżał więc bezwolnie i słuchał. Skarbiec śpiewał — Rybak rozpoznał, że była to jedna z piosenek o Niebie, które tak lubił — ale jednocześnie mówił, a także — czegoś takiego Rybak nie słyszał nigdy w życiu — jakby lekko płakał. Spomiędzy śpiewu i płaczu trudno było wysłyszeć wypowiedane słowa, ale Rybakowi wydawało się, że Skarbiec opowiada o okolicy, którą Rybak znał, że mówi jakieś dobre rzecz o Zatoce, że jest uwolniona czy coś w tym stylu — Rybak nie dosłyszał, od kogo albo od czego — i coś o zapaleniu czegoś, że było lekkie. Rybak z początku znów wystraszył się, że Skarbiec go widział, że zobaczył, jak wyzwolił płomień, jednak w tym głosie nie było żadnej groźby czy strachu. Potem słowa umilkły, a piosenka o Niebie, inna od wszystkich, które dotąd słyszał, ukołysała znów Rybaka do snu.

Gdy obudził się ponownie i mógł się już ruszać, wyszedł. Okolice jaskini Ali Baby już tylko dymiły, nie było ognia i wszystko miało zwyczajny kolor. Może się udało, pomyślał Rybak i skierował się do Wioski. Czuł ożywienie. Kolejna pora pracy — uświadomił sobie. Może zdążył, ale teraz trzeba już natychmiast coś złowić.

Po drodze szybko zbierał muszle z przydrożnych rozpadlin. Gdy po skończonej porze wychodził nad brzeg, przy kamieniu dostrzegł Myśliwczankę. Na jej froncie malował się niepokój, który na chwilę zastąpiła radość, a już po chwili — jak zwykle, złośliwość.

— Wójt o ciebie pytał w sąsiedztwie, zły był. A i ja się dziwiłam, że cię tu przez dwie pory pracy nie widziałam, Rybaku-nie-Rybaku, któryś Morza nie widział i ryb nigdy nie łowił!

— Widziałem i łowiłem — powiedział Rybak i dopiero teraz to do niego dotarło.

— Udowodnij! — Roześmiała się złośliwie.

— Musisz mi uwierzyć. — Rybak minął ją i poszedł do barki, po raz pierwszy w życiu nie czując żadnego żalu z powodu jej docinków.

Następnego dnia poszedł do wójta, posłusznie dał się zakuć i odpracowywał przewinę przez trzy pory pracy i odpoczynku bez przerwy. Na szczęście w Wiosce nikt nie umarł z głodu, ale kilku słabszych starców zaniemogło z braku pożywnych owoców Zatoki, trzeba im ich było szybko dostarczyć. Następnie karnie odbył należny czas hańby. O przygodach w dole, Szamanie, groźbie podniesienia się Morza, Dziadku i słowach Skarbca nic nikomu nie mówił, chyba że w półsłówkach, żeby nie skłamać, ale i nie powiedzieć jasno.

Gdy otrzymał wybaczenie Wioski, poszedł zaraz do Myśliwczanki i poprosił, by została jego żoną. Odkąd pamiętał, smuciła go i denerwowała każdym słowem, ale to dzięki jej docinkom chciało mu się zawsze więcej łowić i częściej chodzić na kraby. No i może to dzięki tym jej opowieściom starych babek udało się ocalić Wioskę przed Morzem, choć tego nie był pewien. Myśliwczanka się zgodziła, po coś przecież wychodziła zagadywać do niego każdego dnia po połowie, przez całe życie. Rybak nadal wyruszał codziennie na muszle i krewetki i nie bał się już nigdy starości. To, czego się czasami obawiał, to czy Morze nie podniosło się wtedy wystarczająco wysoko, by zatopić dom Dziadka. Ale nie zszedł już nigdy na dół, by to sprawdzić, nie miał czasu.

Pieśń Skarbca, którą pierwszy raz usłyszał podczas nocy w jaskini,

zaczęła być słyszana częściej, po niej pojawiały się kolejne, podobne, wszystkie o Niebie. Rybak nie rozumiał dokładnie, dlaczego wydawały się inne od tych, które znał dawniej, na przykład tej o jakiejś windzie do Nieba, czymkolwiek ona była. Były spokojne, ale jednocześnie jakoś wesołe, i dobrze się przy nich zasypiało. Odganiały też smutek i strach.

Co okazało się przydatne w mającym już wkrótce nadejść czasie wielkich trzęsień ziemi i narastającego ucisku, które miały nękać Wioskę przez wiele sezonów.

Cytowane teksty piosenek: *Barka*, sł. C. Gabarain, tłum. S. Szmidt, [w:] *Laudate Dominum* (Chwalcie Pana): *śpiewnik pielgrzymkowy Złotej Grupy Radomskiej*, L. Gralak (opr.), Radom 1986, s. 7, 8 [przedłużenie samogłosek w cytacie: AG]; *Bal wszystkich świętych*, sł. A. Mogielnicki, [w:] Oficjalna strona internetowa zespołu Budka Suflera, <http://www.budkasuflera.pl/> (dostęp: 23.12.2015); *Muszę przetrwać*, sł. Pelson & Włodi, [cyt. za:] <https://genius.com/Molesta-musze-przetrwac-lyrics> (dostęp 22.11.2021); *No pokaż na co cię stać*, sł. P. Kupicha, [cyt. za:] <https://www.lyrics.com/lyric/14731625/Feel/No+poka%C5%BC+na+co+ci%C4%99+sta%C4%87> (dostęp 22.11.2021); *Za dużo wiesz*, sł. J. Steczkowska, G. Ciechowski (ps. E. Omernik), [cyt. za:] <https://spiewnik.wywrota.pl/justyna-steczowska/za-duzo-wiesz> (dostęp 22.11.2021); *Lass*, sł. W. Dembowski, P. Koźbielski, M. Chęć, M. Piotrowski, J. Jóźwik, B. Królik, [cyt. za:] https://www.tekstowo.pl/piosenka,Laki_Lan,lass.html (dostęp 22.11.2021); [dwa kolejne cytaty:] *Szyszki*, sł. M. Borkowska, [cyt. za:] https://www.tekstowo.pl/piosenka,roma_buharowska,szyszki.html (dostęp 22.11.2021); *Czarny Ali Baba*, sł. T. Urgacz, [w:] *Dzisiaj, jutro, zawsze*: piosenki dwudziestolecia, W. Doleżał, K. Jaworska, A. Lisicka (red.), Kraków 1965, s. 93–95; *Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał*, sł. W. Młynarski, [w:] *Śpiewnik „Iskier”*: pieśni i piosenki na różne okazje, Z. Adrjański (wybór), J. Gogacz (red.), Warszawa 1976; *Dziewczyna szamana*, sł. G. Ciechowski (ps. E. Omernik), [cyt. za:] https://www.tekstowo.pl/piosenka,justyna_steczowska,dziewczyna_szamana.html (dostęp 22.11.2021); *Dobryj Weczir Tobi, Pane Gospodarzu* [Dobry wieczór tobie, panie gospodarzu], sł. trad., [cyt. za:] <http://prawoslawnikatolicy.pl/wstawajcie-wstawajcie-bracia-moi-mili-koleda-prawoslawna-w-języku-polskim/> (dostęp 22.11.2021); [dwa kolejne cytaty:] *Już kąpiesz się nie dla mnie*, sł. J. Przybora, [cyt. za:] https://www.tekstowo.pl/piosenka,kabaret_starszych_panow,juz_kapiesz_sie_nie_dla_mnie.html (dostęp 22.11.2021); *Nienienie*, sł. M. Staszczuk, [cyt. za:] https://www.tekstowo.pl/piosenka,t_love,nie_nie_nie.html (dostęp 22.11.2021); *Buka*, sł. K. Sienkiewicz, [cyt. za:] https://www.tekstowo.pl/piosenka,kwiat_jabloni,buka_1.html (dostęp 22.11.2021). **Luźna inspiracja**: Zapaska, *Niema ryby*, [w:] *Translitom*, 2011, <https://zapaskaband.bandcamp.com/album/translitom> (dostęp 23.11.2021).

ZAGŁADA PRZYSZŁA Z PŁUC

Ostatnie narządy były powoli wyłączane. Członek Leukocytów powoli dopalał papierosa w świadomości, że i tak nie może już nic zmienić. Patrzył w spokoju na serce, które dokonuje ostatniego skurczu. Siedząc na masce wozu patrolowego, rozmyślał na temat tragedii, do której doszło na przestrzeni lat. I ciągle czuł, że to wszystko jego wina.

Lim całe życie pracował w służbach porządkowych. Jak każdy leukocyt przeszedł intensywne szkolenie. Widział różne cuda, od kosmitów przybywających igłami i ratujących ich w krytycznych momentach, po dziwne zdarzenia, które miały miejsce, gdy organizm wchłaniał substancje psychoaktywne. Odkąd Janusz (imię ciała, które zamieszkiwał) skończył osiemnaście lat, regularnie palił papierosy i okazjonalnie spożywał narkotyki (głównie marihuanę). Dawniej ukrywał te używki przed rodzicami, przez co ich spożycie było znacząco mniejsze, ale gdy poszedł na studia, naturalne ograniczenia zniknęły. W odległym mieście, z dala od rodziny mógł sobie pozwolić na więcej. To dodatkowo sprawiało kłopoty sektorowi jąder i penisa, bo oprócz masturbacji dochodziło do przypadkowych stosunków seksualnych, co zaowocowało lokalnymi wojnami z chorobami wenerycznymi. Z reguły niegroźnymi, ale miewał problemy z wydalaniem, co negatywnie wpływało na wydajność nerek. Kto by się spodziewał, że używki doprowadzą do katastrofy...

Hulaszcze życie w młodości sprawiało, że leukocyty nie miały prostej roboty, bo zwykle ilość trucizny, która dostawała się do organizmu, a wraz z nią bakterie i grzyby, przerastała najśmielsze oczekiwania. Lim początkowo liczył swoje interwencje, ale gdy doszedł do ponad dwustu, stracił rachubę. Głównie patrolował rejony płuc, ale słyszał wiele doniesień z innych miejsc. Wiedział, że chłopaki z sektora wątroby nie mają łatwego zadania. Nie dość, że pracownicy tamtejszej

obsługi filtrów byli totalnie zawaleni robotą (przez co sami się dziwili, że wątroba wytrzymuje takie stężenia alkoholu), to jeszcze co jakiś czas ktoś próbował sabotować działalność oczyszczaczy. Najbardziej współczuł sektorowi neuronowemu, który musiał zarządzać całym tym systemem. Kwestie żywieniowe, wypróżnienia czy chociażby poruszania się — wszystko musiało być nadzorowane przez mądralińskich, którzy zwykle bywali bardzo impulsywni. Lim cieszył się, że nie miał nigdy bezpośredniego kontaktu z żadnym z nich, a rozkazy przychodziły na poręczne pagery, które posiadał każdy pracownik organizmu.

Spokój nadszedł w okolicy roku dwudziestego siódmego, gdy Janusz miał stabilne życie seksualne (po roku trzydziestym piątym organizm często odwiedzał Kapitan Viagra, którego interesowała wyłącznie erekcja, więc był lokalnym celebrytą w rejonach genitaliów) i zaczął mniej pić. Nawyk tytoniowy się nie zmieniał, jednakże gdy zdarzały mu się sytuacje stresowe, liczba spalanych papierosów w ciągu dnia rosła, co za tym idzie zadymienie radykalnie wzrastało. Sektor płuc był zwykle zadymiony z powodu palenia, co wykształciło u mieszkańców tego rejonu podobny nałóg. Praktycznie wszędzie w płucach można było spotkać palaczy, co w innych częściach ciała było nie do pomyślenia.

Lim całkiem poważnie traktował swoją robotę i miał tendencję do przesiadywania w barze po służbie. Jednakże nie było to związane z jego zamiłowaniem do alkoholu, a bardziej z wychwytywaniem tego, co dla przeciętnego policjanta było zwykłymi plotkami. Właśnie tak zaczęła się największa katastrofa, bo obywatele szeptali po kątach, że w mrocznych zakamarkach rozgałęzień płuc, a zwłaszcza w miejscach poboru tlenu pojawili się dziwni sekciarze, którzy nawoływali, że czas apokalipsy jest bliski. Określali się mianem Nowotworu, jednakże to nie pierwszy raz, gdy jacyś fanatycy chcieli wprowadzić „rząd dusz”. Byli ci od Marihuany czy Adrenaliny, którzy chcieli podporządkować całą krainę Janusz pod własne dyktando. Ostatecznie agresywne i bezpardonowe regulacje mózgu ucinały ich wszelkie wpływy i małe sekty szybko ginęły, niezdolne przyciągnąć nowych zainteresowanych. Sekciarze, którzy wyściubili nosa z kryjówki, błyskawicznie byli namierzani przez lokalne patrole. Sam Lim brał udział przynajmniej w dziesięciu takich akcjach.

Jednakże Nowotwór miał być czymś innym, groźniejszym. Jego poplecznicy mieli podobno nie tylko przejmować rejony ciała, ale tak

głęboko ukrywać swoje działania, że nawet najlepsi detektywi nie mogli trafić na ich ślad. Powtarzano, że mają nadprzyrodzone zdolności; że potrafią kopiować kod genetyczny; że żaden leukocyt nie może się im równać. Jednak wszystkie doniesienia zgadzały się w tym, że sekta była napędzana przez dym tytoniowy.

Nawet najaktywniejsze neurony mózgowe nie spodziewały się, że cywilizacja Janusz zakończy egzystencję w wieku pięćdziesięciu lat. A wszystko zaczęło się pięć lat temu, gdy u Janusza wykryto raka niedrobnokomórkowego płuc. Oczywiście głównym powodem tego stanu były papierosy, tak popularne zarówno wśród komórek jego ciała, jak i u samego poszkodowanego. Przez lata traktowano dym tytoniowy jako naturalny dodatek do płuc, a erytrocyty czy trombocyty, które wykrzykiwały hasła o „negatywnym wpływie dymu na klimat”, traktowano z pogardą, czasami nawet z agresją. Mimo tego lobby na rzecz zmian zyskało w ostatnich latach, jednak było już zdecydowanie za późno na realną reakcję ze strony mózgu oraz neuronów. Co tragiczne w całej tej historii, raporty odnośnie do dymu w kwestii zmniejszonej ilości tlenu w pęcherzykach oraz negatywnego oddziaływania na funkcjonowanie mięśni stale napływały do mózgu, jednak jakimś cudem były ignorowane. Nie wiadomo, czy to nadgorliwy biurokrata czy lobby tytoniowe, które zainstalowało się około roku szesnastego w mózgu.

Jednak skutki tych decyzji były opłakane. W czterdziestym piątym roku odkryto kilka wyróżniających się guzów, które były siedliskiem Nowotworów. Do uporania się z zagrożeniem wyznaczono jednostkę Lima. Kilkanaście radiowozów i dwie jednostki SWAT przybyły na miejsce. Guz wyglądał nienaturalnie, ale nie wykazywał żadnej aktywności. Gdy policjanci przybliżyli się do dziwnej struktury, z nieba runął potwór, który swoją masą zmiażdżył pierwsze trzy limfocyty na szpicy. Kuliste monstrum było kilkukrotnie większe od najbardziej rozbudowanych białych krwinek i miało dziesiątki macek, które szukały potencjalnych ofiar. Aż pięcioro przedstawicieli SWAT zginęło, nim uporano się z jednym Nowotworem. Wtedy, ku przerażeniu pozostałych policjantów z dziwnego guza, w ich kierunku pofrunęło przynajmniej dziesięć takich potworów. W panice próbowano się wycofać, jednak rzeźnia na służbach okazała się potworna. Lim był jedynym leukocytem, który przeżył „Pierwszy Kontakt” i to tylko dlatego, że macka jednego ze stworów cisnęła nim do wnętrza ciężarówki SWAT, a pojazd pod

siłą uderzenia stoczył się po oskrzeliu. Po intensywniej podróży Lim wyczołgał się ledwo żywy z pojazdu i został odnaleziony przez lokalny patrol. Po powrocie na posterunek opowiedział o przebiegu starcia.

Podobne scenariusze rozgrywały się na terenie całych płuc. Dziesiątki jednostek ginęły, a do tego dochodziły relacje, że Nowotwory potrafią przybierać wygląd i kształt zabitych policjantów. Pomimo ogromnych strat udało się ograniczyć konflikt do górnego płata lewego płuca. Przełomowe było „Rozdarcie Niebios” w czterdziestym siódmym roku. Wówczas nadszedł kres wojny z Nowotworami. Zdarzenie rozpoczęło się od tego, że organizm zapadł w śpiączkę, a większość narządów spowolniła pracę. Zewsząd dochodziły informacje o nowym środku chemicznym, który jest siłą wtłaczany przez jamę gębową. Z powodu dziwnego przewodu ekipa odpowiedzialna za zacisk szczęki nie była w stanie odciąć źródła gazu, do tego nawet gdyby udałooby się to osiągnąć, nastąpiłoby zadławienie przewodu pokarmowego. Dlatego zszokowani pracownicy mięśniowi mogli tylko obserwować, co się dzieje. Okazało się, że po kilkunastu minutach nagle stalowe noże rozdarły sufit płucny, odsłaniając całe wnętrza na inne organizmy, które z pomocą narzędzi zaczęły usuwać znaczne części płuc. Białe krwinki próbowały cokolwiek zdziałać pomimo ograniczonych możliwości, jednak metalowe potwory były silniejsze i wielokrotnie większe niż wszystko, czym dysponowały siły porządkowe. Obawiano się najgorszego, ale stwory pożerały tylko te regiony, które były znane jako siedziba Nowotworów. Co prawda Lobektomia (jak później naukowcy określili całe zdarzenie) pozbawiła połowy lewego płuca, na czym mocno ucierpiały dostawy tlenu, jednakże wydawało się, że w końcu sekta i jej groźni wyznawcy zostali zlikwidowani.

W ciągu trzech lat organizm częściowo odbudował zniszczone siły policyjne, Lim należał do szczęściarzy, którzy przetrwali, dostał nawet pod komendę komisariat w lewym rozgałęzieniu lewego płuca (przez co jego policjantów nazywano „lewusami”). Było to wyróżnienie w ramach „kompleksowej i oddanej służby na rzecz pokoju”. Biorąc pod uwagę, że przez większość czasu miał związane ręce, albo że tak naprawdę cudem przetrwał wszelkie bitwy, uważał to bardziej awans z powodu braku leukocytów, niż docenienie go z powodu doświadczenia. Jednakże nie ustawał w poszukiwaniu Nowotworów i często wysyłał patrole w najbardziej nieprzyjemne regiony płuc, także w miejsce Wielkiej Pustki,

czyli rozpadliny, która powstała na skutek Lobektomii. Koledzy oraz dowództwo w sektorze mózgu uznali go za paranoika, jednak on sam z biegiem czasu zaczynał odpuszczać. Gdy w końcu jego patrol trafił na sekciarzy, zbył ich, bo takich alarmów dostawał setki. Później okazywało się, że zgarnięto niegroźne grzyby lub jakąś zagubioną grypę.

Nikt nie był gotowy na atak tej skali, jaki nastąpił. W ciągu dni Nowotwór objawił się w pełnej krasie, zajmując cały region płuc. Nowe guzy pojawiły się tak nagle, że błyskawicznie zniszczyły całe jednostki policyjne. Okazało się, że Nowotwór przerzucił się na inne sektory układu oddechowego i tak głęboko skrył się pod jego tkankami, że dopóki nie wzrósł w siłę, nie objawił się w pełnej krasie. Do tego zewsząd dochodziły informacje, że nowe komórki sekciarzy odkryto między innymi w regionach kostnych czy innych narządach. Skala klęski była tak olbrzymia, że regiony mózgowe popadły w totalną depresję i częściowe szaleństwo. Komunikaty były niejasne, a zdezorganizowane krwinki nie miały najmniejszych szans na obronę. Lim odebrał to osobiście. Kilkukrotnie próbował likwidować siedlisko Nowotworów. Jednak te stwory były silniejsze niż jakiekolwiek elementy krwi i pojedynczo wybijały całe oddziały.

Teraz jest już za późno. Leukocyty wpadły w totalną dezorganizację, zwłaszcza że neutropenia, którą spowodowało leczenie chemioterapią, praktycznie wytrzebiła ich gatunek. Pozostałe przy życiu krwinki nie miały szans w starciu ze zmianami nowotworowymi i odpuściły walkę. Nowotwory pożerały kolejne sektory, mnożąc się na potęgę i pochłaniając biomasę organizmu. Praca wielu narządów była utrudniona przez nieustanne ataki potworów. Silne leki i kolejne próby leczenia także wyniszczały system limfatyczny. W ciągu tygodni organizm znalazł się na skraju śmierci. Lim wyszedł z opustoszałego posterunku (wszyscy jego koledzy zaginęli lub zginęli w trakcie wojny) i udał się do ostatniego, ledwo działającego radiowozu. Chciał ostatni raz spojrzeć na serce ze swojego ulubionego miejsca. Droga nie była długa, bo żyły i tętnice o dziwo były w dobrym stanie. Po kilkunastu minutach znalazł się na miejscu. Obserwował w ciszy, jak najważniejszy mięsień walczy o każdy skurcz.

Serce właśnie przestało bić. Lim dogasił papierosa, rzucił go na ziemię i zaczął go przeklinać. Przez takie małe diabelstwo szlag trafił cały jego świat. Chciał wyjechać wozem na tętnicę płucną, ale tam (jak i na

pozostałych drogach) zapanowała anarchia. Miał nadzieję, że wróci do domu, by spędzić tam ostatnie chwile, jednak teraz wszyscy pracownicy krwi wychodzili z pojazdów i buzowała w nich agresja. W przypiływie desperacji stwierdzili, że jedyne, co im zostało, to przemoc. Zamieszki przerodziły się w rzeź. Lim wysiadł, bo chciał zrobić cokolwiek, aby uspokoić dwójkę trombocytów, którzy nawzajem okładali się pięściami przed maską samochodu. Te, widząc zbliżającego się policjanta, rzuciły się na niego. Zapomniały, że chwilę temu same ze sobą walczyły. W szamotaninie pochłonął oba ciała krwi, trawiąc je i niszcząc doszczętnie, co początkowo go przeraziło. Nigdy nie zabił niewinnych. Nagle poczuł szaloną fascynację własnymi możliwościami; chęć zabijania. Rzucił się na tłum. Pożerał kolejne ciała krwi, nie bacząc, czy są to czerwone krwinki czy płytki krwi. Widział tylko bielmo przed swoimi oczyma.

Nie miał poczucia upływającego czasu, jednak po minutach, a może godzinach, opadł z sił, podobnie jak wszyscy dookoła. Brak tlenu oraz obiegu krwi w końcu dały się odczuć wszystkim elementom życiodajnego płynu. Umierali. Lim upadł na tkanę żylną i przytulił się do gąbczastej powierzchni. Gładził ją dłonią i powoli zasypiał. Ostatnim, co pamiętał, to nienawiść do samego siebie, że dał się ponieść emocjom i zaczął zabijać dla przyjemności. Jednak czy życie jego ofiar było coś warte w obliczu kataklizmu? Rozpoczął się rozkład, który w ostatecznym rozrachunku pochłonie wszystko, co pozostało z Janusza.

ŚMIERĆ SMUTKU

Smutek. Ja jedyny pozostałem. Nawet nie pamiętam już, kiedy odeszła radość. Miesiące? Lata? Nie wiem. Niedługo później odeszła złość, a wraz z nią reszta uczuć. Pozostałem sam. Zerknąłem w wizjer, aby spojrzeć, co teraz robi nasz... mój organizm. Wchodzi do mieszkania. Do miejsca, z którym wiąże się tyle bólu, że gdyby ten mógł ze mną stanąć, pojawiłby się już dawno. Dlaczego akurat ból? Z początku sam sobie zadawałem to pytanie, lecz potem zdałem sobie sprawę, że to, co nasz pan przeżył, każdego doprowadziłoby do tego miejsca. Jakiego? To historia na później.

Po dźwiękach sądząc, właśnie włączył telewizor. Jedną z wielu rzeczy z nalepką informującą o zajęciu przez komornika. Rozpoznaję, że znów leci „Łowca androidów”. Najważniejszy dla nas film. To na nim poznaliśmy długoletnią małżonkę Tomasza, w którego głowie siedzieliśmy wtedy wszyscy razem. Dawne czasy, które już nie wrócą. Nie wiem nawet, czy byłby to dobry pomysł, aby wróciły. Po piętnastu latach to ona była początkiem końca. Lecz był to przykład zdrady i ciągu dalszego wręcz tak podręcznikowych, że aż szkoda je opisywać. Z zamyślenia wyrwał mnie cichy płacz. Płacz, który słyszałem tysiące razy. Niegdyś wzór męskości, wręcz z reklamy wzięty, poddał się któryś już raz uczuciu, któremu niegdyś śmiał się w twarz. Jakbym powiedział, ile czasu wytrzymał Tomasz, mając tylko mnie, za żadne skarby nikt by nie uwierzył, lecz niewielu dało sobie tyle razy „drugą szansę”, co on. Kiedy płakał, nikt nie był w stanie go uspokoić. Próby córki, matki, a nawet moja własna przynosiły jedynie odwrotny efekt. Zrozumiałem wtedy, że ochoczo reklamowane „pozytywne nastawienie” to pic na wodę, bo jaki sens ma to, że uśmiechniesz się tylko dlatego, że społeczeństwo tego od nas chce? Aby to zadziało, nie potrzebujemy reklam środków na pozytywne samopoczucie. Sprzedadzą ci pomysł, lecz zamiast dawnej radości pojawi się jeno iskierka nadziei. Ale skończmy z tą refleksją, gdyż nie chodzi tu o moje przemyślenia. Nagle usłyszałem pukanie do

drzwi. Jak na zawołanie telewizor wyłączył się, a my wstaliśmy. Nie wiedziałem, że będą jacyś goście; zacząłem słuchać, co się dzieje. To komornik. Dwanaście godzin na wyprowadzenie się. Początek końca dawnego życia. Odejście żony, śmierć przyjaciół. Zrozumiałem też, że i mój czas przyjdzie prędzej czy później. Komornik w końcu odszedł. Lecz uczucie, jakie zaczęło wzbierać tym razem, nie było smutkiem czy złością, a czymś, co było mi niegdyś znane – bezsilnością. Zrozumieniem porażki i poddaniem się. Chęć walki odeszła, a pojawiła się nadzieja, że gorsze nie nadejdzie. Ale ono nadejdzie. Zawsze. I za każdym razem będzie się coraz bardziej zagłębiać, aż nie zrozumiesz, że to, co robisz, było, jest i będzie bezcelowe, gdyż twoje własne decyzje doprowadzą cię jedynie do tego samego momentu, od którego zacząłeś. Zawsze. Kwestią jest tylko, kiedy to zrozumiesz. Im wcześniej przestaniesz udawać, że dokonasz wielkich rzeczy, tym większa szansa, że uda ci się zachować wszystkie zmysły. Tomasz upierał się, że dokona przełomu w nauce, a spotkał go tak smutny los, jaki tu opisuję — odejście żony, urojenie, to jest wrak człowieka. Każdy będzie musiał się z tym kiedyś zmierzyć. Zgubiła go pycha, której zawierzył całe życie. Lecz zamiast walczyć z błędami, zanim mógłby dopaść go smutny los, postanowił obwiniać innych. Niestety ani on, ani wiele innych osób nigdy nie zrozumie, że problem nie leży w innych, lecz w nich samych. Żona odeszła, gdyż byłeś okropnym mężem. Syn wyjechał, bo widział, co się dzieje z twoim zdrowiem psychicznym, a pracę straciłeś ze względu na pychę i próbę dominacji. Chciałeś pokazać, kto rządzi w dziale, lecz jedynie zaliczałeś kolejne potknięcia, aż wreszcie straciłeś pracę, by znaleźć się w takiej, a nie innej sytuacji. Dwanaście godzin na opuszczenie domu, w którym mieszkales przez tyle lat, strata całego majątku, a jedyne, co możesz ze sobą wziąć, to torba z najpotrzebniejszymi rzeczami. I co wtedy zrobisz? To już twój wybór. Tomasz wybrał. Najgorszą z opcji. Wyjął z dna szafy pistolet, który trzymał na wypadek napadu, włożył sobie do ust, po czym ze łzami w oczach postanowił mnie uciszyć. Smutek. Smutku już nie ma.

PRZED POŻOGĄ

Z nieba lał się żar. Płonący gdzieś nad chmurami Stos gorzał w ostatnich dniach wyjątkowo mocno. Pędzący Traktem Aggelus odczuwał to w tej chwili z całą przygniatającą przykrością. Przebranie ubogiego handlarza kleiło się doń nieprzyjemnie mokrym ciężarem. Powietrze, duszne i gęste, z trudem przeciskało się do płuc. Nie lepiej miał się koń gońca. Z grzbietu zwierzęcia spływały grube warkocze potu, w pysku zaś gromadziła się piana. Kopyta wierzchowca wystukiwały na bruku coraz bardziej chaotyczny rytm. Mężczyzna zdawał sobie sprawę z jego zmęczenia, lecz nie mógł mu w żaden sposób ulżyć, nie mogli zwolnić. Musiał dostarczyć wiadomość.

I mknęli tak obaj przez biegnący prosto Trakt pośród gęstwiny Puszczy Środkowej. Z obu stron zieleń przystawała do niewysokiego muru stojącego na poboczach. Jeździec mijał dumnie wyprostowane buki i dęby zaznaczające swą siłę grubymi konarami. Gdzieś tam kryły się słodko pachnące lipy i święte balsamowce woniejące kadzidłem. Pewnego razu Aggelus pozwolił sobie na zwiedzenie Puszczy i widział jedno z tych drzew. Rosło na polanie z dala od innych, jakby z szacunku odsunęły się i pozwoliły mu na pobożne rozważania. Z tej pielgrzymki wyniósł też wspomnienia życia rojącego się pośród roślin. Ptaków śpiewających z gałęzi i skaczących wśród krzewów. Widział ganiające się wiewiórki, mało przejęte jego obecnością, a nawet krocącego gdzieś w oddali, dumnego jak księżę jelenia. A i to nie był cały leśny dwór. Teraz jednak nie słyszał żadnego odgłosu. Żadnego szelestu, choćby połowy ćwierknięcia czy dalekiego ryku. A wsłuchiwał się uważnie, obawiając się ataku. Wtulił się w końską grzywę, pochylony jak najniżej, i modlił, by żadne złe oko nie dostrzegło go z lasu.

Gdy dzień się już kończył, jeździec wyczuł swąd dymu. Był to znak, że zbliżał się do obozowiska armii. I rzeczywiście, po chwili las urwał się, a zielona ściana drzew ustąpiła miejsca spopielonym kikutom. Mężczyźnie wydało się, że kątem oka dostrzega sylwetki poruszające

się na granicy pogorzelsk. Jego uszu doszedł syk, a ciemniejące pola rozjaśniły serpentyny płomieni. Zaraz potem wbiegli w gęste, szare obłoki kłusujące złośliwie oczy i wciskające się przez usta i nos. Zakasłał. Najpierw raz, potem znowu, aż wreszcie kaszel zaczął szarpać nim w niekontrolowanych spazmach. Wolną dłonią sięgnął pod przebranie i wyciągnął mokrą od potu chustę, którą przyłożył sobie do twarzy. Choć trochę odciął się tym od drapiących gardło miazmatów. Koń zarżał ze skargą, wszak on chusty nie dostał. Aggelus poklepał zwierzę krzepiąco po szyi.

— Jeszcze trochę — wybełkotał bardziej do siebie niż wierzchowca.

I tak, jak powiedział, dym zaczął rzednąć. Gdy już całkiem się rozwiął, podobnie jak kotara podnosząca się w teatrze ukazał jego oczom obóz. Kiedyś był to zajazd, kompleks budynków przeznaczonych dla podróżujących Traktem, teraz zaś, gdy nadeszła wojna, otoczono go grubym, wysokim na trzy metry murem. Jeździec widział go dobrze, światło słońca padało zza pleców i oświetlało ceglaste ściany i stojących wartowników. Ci również go dostrzegli i przywitali wyciągniętymi lufami broni.

— Stać! Kto idzie! — krzyknął jeden z legionistów. Aggelus dostrzegł jego zbroję wraz z kawałkiem spływającego po plecach materiału. Nie widział jednak, jakiego jest koloru, więc mógł jedynie zgadywać stopień żołnierza, z którym rozmawiał.

— Zwyczajny handlarz! Zmierzający z zachodu na wschód, bez towaru, a z pełnym mieszkim! — wykrzyczał umówione hasło.

— Co za monety przynosisz?

— Złote, ale brzydko brzęczące! — krzyknął łamiącym się głosem. Całodzienna podróż i dym dały się mu we znaki.

Już bez dalszych pytań został wpuszczony za bramy. Gdy znalazł się za murem, zsunął się z wymęczonego konia i oddał go w opiekę stojących. Choć ziemia zakołysała się pod nim, a wicher zmęczenia zamieszał w głowie, dzielnie szedł za legionistą, który stał wcześniej na murze. Ów nosił czerwony płaszcz obszyty na rogach czernią. Znaczyło to, że miał do czynienia ze starszym setnikiem, zarządcą całego obozu. Teraz pełnił raczej rolę adiutanta znacznej osobistości. Gонец próbował doprowadzić się do porządku. Wygładzić strój, oczyścić twarz z sadzy, lecz wiedział, że marne to wysiłki. Z daleka czuć było odór jego potu, potu konia i spalenizny. Po drodze mijali budynki i budyneczki, w

których rozmieszczono legion. Oczywiście szeregowi żołnierze sypiali w stajniach. Mijali też karczmy, huczące wrzawą podekscytowanych głosów. Niemal nikogo nie było na zewnątrz. Jeśli już ktoś się na nich natknął, czym prędzej oddawał honory setnikowi i skręcał w bok, by zagać pośród zabudowań. Oni zaś niezmordowanie szli przed siebie, do serca zajazdu. Był to wielki budynek, przed wojną bez wątplenia należący do rządcy tego miejsca, teraz zaś będący siedzibą boskiego generała. Ściany przyozdobiono bowiem czerwonymi proporcami z wizerunkiem płonącej pięści. Na zewnątrz zaś, w barwionych pancerzach i w równym szeregu stała gwardia imperialna, legendarne Czerwone Orły. Nie tylko oni pełnili straż, na rogach budynku płonęły trójnogi. Nad każdym z nich czuwały dziewicze hesty doglądające ognia. Aggelus gnący już kark w pokłonach do gwardzystów pochylił się jeszcze niżej. Nie tylko przez szacunek i bojaźń. Ugiął się pod palącym spojrzeniem jednej z kapłanek, która zerknęła nań nad płomieniami.

— Zaczekaj tu, posłańcze — powiedział setnik, po czym minawszy gwardzystów, wszedł do budynku.

Żar dnia osłabł, zostawiając nocy duchotę. Jego miejsce zajął bijący od trójnogów gorący ślad, jaki zostawiło spojrzenie hesty. Oczy kobiety wyryły się głęboko w myślach gońca. Nim podążył za nimi dalej, powrócił setnik.

— Wejdz. Pięść Imperatora cię przyjmie — usłyszał.

Główne pomieszczenie gospody przystosowano do roli sali audiencyjnej boskiego generała. Suknami zwiewnych tkanin pokryto ściany, co sprawiło, że utraciły one część swojej materialności. W ruchach delikatnych, jakby poruszane oddechem kochanki, falowały nieustannie, przesuwając granice to bliżej, to dalej. Pierwszym, co mógł ujrzeć wchodzący do sali człowiek, był tron. Stylizowany na zwykłe wojskowe krzesło, całym sobą pokazywał jednak, że należy do kogoś wyjątkowego. Pokrywały je zdobienia, imitacje płomieni i pięści, pod którymi korzą się ludzie. Część ozłocono. Półksiężycowate siedzisko obłożono zaś futrem. Na nim z kolei zasiadała jakaś postać. Jakaś bliżej nieokreślona sylwetka, skryta za wstęgami tkanin. Była spowita w cieniu, bowiem pokój rozjaśniało światło z nielicznych pochodni, co jedynie pogłębiało wrażenie zacierania się granic. Aggelus nie musiał widzieć tej postaci, by wiedzieć, przed kim staje. Gdy tylko stanął w odpowiedniej odległości, padł na kolana. Z wszytej na piersi kieszonki wyciągnął złotą

monetę i trzymając ją na otwartej dłoni przed sobą, okazał generałowi. Schylił się jeszcze bardziej i podparłszy drugą ręką, czekał. Gdy minęła chwila na tyle długa, by poczuł ją w kolanach, jego uwagę zwrócił jakiś subtelny szelest. Z prawej strony mignęła szata hesty.

— Jakież wieści niesiesz, posłańcze? — rozbrzmiał miękki, kobiecy głos.

Zadrżał pod nim. W tym głosie kryje się ogień, pomyślał. Poczuł też jak trzymana moneta rozgrzewa się w jego dłoni. I wcale go to nie zaskoczyło. Została wykonana ze szczerzego złota, czyli takiego, które mógł trzymać jedynie ten, dla kogo ją stworzono, i ten, który nie kłamie. Inaczej metal stawał w ogniu i wtapiał się w skórę.

— O, boska Pięści! Synu Nieśmiertelnego Imperatora! — Zdziwił się, że z jego ust nie sypie się popiół. Tak bardzo wyschło mu gardło. — Niosę wieści z zachodnich zajazdów. Trzy z nich upadły. Nie ugoszczą już człowieka Samotna Latarnia, Rzeczulka i Balsamiczny Gaj. Rozbito t... — w porę połknął słowo — Legion Szarańczy. Pojmano mistrza alchemii, czcigodnego Gora. Plugawi, zmieszani i pozbawieni równowagi geteknoi... — ponownie się zawahał — niszczą świętą Puszcę bestiami z metalu. O panie, którego dotyk spopiela zło, by z popiołów mogło narodzić się uświęcone życie! Mistrz Gor przekazuje wieść.

— Jakie to słowo? — zapytała kobieta. Coś w jej głosie zaniepokoiło Aggelusa. Jakiś ślad emocji, której nie potrafił rozpoznać.

— Boski! Mistrz rzekł: „Niech ogień wyrówna szalę, niech odnowi życie i świat! Czcigodny potomku Boga, nie lękaj się równania ni jego nieomylnych wyroków!”.

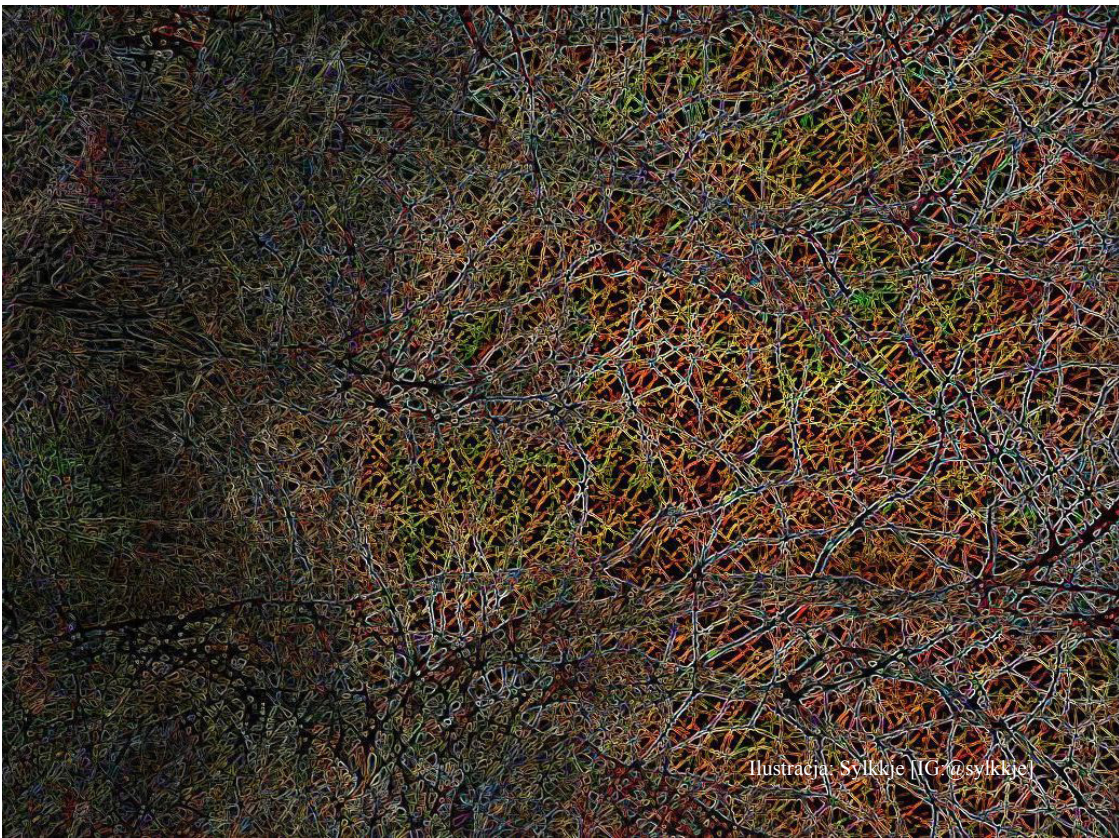
Gdy skończył recytować, pozwolił sobie westchnąć z ulgą. Moneta nie buchnęła płomieniami, co znaczyło, że przekazał wszystko co do słowa. To konkretne szczerze złoto stworzył sam mistrz Gor i jego właściwością było stanie na straży nie tylko prawdziwości słów, ale i tego, by powtórzyć je bez najmniejszej zmiany. Aggelus czekał na odpowiedź Pięści. Ponownie usłyszał szelest szat. Dziewica zbliżyła się i zabrała monetę od posłańca, umieszczając na jej miejscu inną.

— Oto, co zanieziesz na wschód. Do Fontanny Młodości i kolejnych domostw. Zanieziesz tę wieść do Hesperii i poniesiesz ją ku samemu sercu Imperium. Jutro wojna się zakończy. Sam Feniks przyjdzie i wytępi abominacje. A ludzkość odbije zachód.

Gdy wyszedł z przysposobionego dworu, bez zdziwienia odkrył, że jego szaty wyschły po ostatnią nitkę. Zataczając się jak pijak, szedł w

stronę przydzielonego gońcom domku. Teraz, z dala od przerażającej obecności boskiego generała, dopadł go chłód. Dziwne to było wrażenie. Duchota letniej nocy nadal trwała i czuł ją bardzo dobrze, a jednak gdzieś w jego środku zagnieździł się ziąb. Wślizgnął się do kwatery, zerwał przebranie kupca i w balii wziął szybką, żołnierską kąpiel. Położył się na pościeli i nakrył kocem.

W środku nocy ktoś się do niego zakradł. Najpierw obudził go jakiś harmider na zewnątrz. Przez uchyloną okiennicę ujrzał Czerwone Orły ruszające w pełnym orszaku. Uznał, że to nie jest sprawa dla jego oczu. I miał się już położyć, gdy naszedł go intruz. Aggelus, śpiący zazwyczaj po krzakach, nierzadko za linią frontu, miał bardzo wyczulone zmysły. Toteż gdy skrzypnęły cicho drzwi, już dawno był gotów do ataku. Rzucił się w kierunku nachodźcy. Złapał nieznajomego za gardło, a drugą ręką ujął ramię tamtego. Przyszpilił go do ściany.



— Coś za jeden? — wysyczał mu wprost do ucha.

— Albo to odważne, albo szalone, rzucać się na stróżującą nad ogniem — usłyszał w odpowiedzi znajomy głos, choć nieco zdławiony przez jego uścisk.

I wtedy zrozumiał, że gardło, które trzyma, pokrywa kobieco miękka skóra, a ramię szaty z drogiego jedwabiu. Dotarł też do niego zapach dymu i kadzidlanych ziół. Czym prędzej odstąpił od hesty.

— Pani... — szepnął z bojaźnią, czując jednocześnie, jak krew odpływa z jego twarzy.

Syknął lont lampy stojącej przy posłaniu, syknęły też świece przymocowane do ścian i izbę zalało ciepłe światło. Cienie rozpiezchły się, ukazując odzianą w czerwień kobietę i gońca w samych spodniach. Goniec uległ przez chwilę dziwnemu złudzeniu. Zdało mu się, że dostrzegł nagość kobiety. Zupełnie jakby jej szaty były utkane z płomieni, które można przeniknąć wzrokiem. Zawstydzony, w popłochu uciekał spojrzeniem, a jednak napotkał jej twarz, której nie powinien poznać. Zdażył jednak dostrzec ostre, szlachetne rysy lica kobiety z wysokiego rodu, wielkie brązowe oczy i pełne wiśniowe usta. Cofnął się od niej i parząc gdzieś ponad ramieniem, zapytał, skąd spotyka go zaszczyt takiej wizyty.

— Och, to wielka radość móc obcować z kimś, kto odmienił oblicze tej i wszystkich wojen — powiedziała, po czym uniosła trzymany w dłoni przedmiot. — A także, jak każe tradycja, powinniśmy wznieść toast za mistrza Gora.

W dłoni trzymała butelkę z ciemnego szkła, której zawartość przelewała się przyjemnym, miękkim ruchem. Rozejrzała się, szukając miejsca, by usiąść. Aggelus podstawił jej chyboczące się krzesło. Sam stał wyprostowany jak struna.

— Pani, przeceniasz mnie. Jestem zwykłym posłańcem.

— I tu się mylisz, skarbie. Owszem, to Pięść Imperatora, niech błogosławione będą jego imiona! Dokona jutro wielkiego dzieła. Lecz stało się to dzięki wiadomości, którą przyniosłeś. Jesteś jak bayranthymś. Czy wiesz, co to? — zapytała i pociągnęła łyk z butelki. Najwidoczniej nie oczekiwała po kwaterze gońca kryształowych kieliszków.

— Nie, Pani — odparł i niechętnie przyjął podaną mu butelkę. Obawiał się picia z kobietą. Gdyby ktoś znalazł ich w tej sytuacji, groziłby mu stryczek za spoufalanie się z hestą. Z drugiej strony, jeśli nie przyjmie jej

poczęstunku, obrazi ją, co również skończy się sznurem. Albo stosem. Zacisnął więc palce na chłodnym szkłe i wziął łyk, choć nie łapczywie, żeby nie odurzyć się zbyt szybko. Momentalnie wyczuł słodki smak owocu, którego nie potrafił rozpoznać. Zaraz potem poczuł ciepło rozlewające się od żołądka na całe ciało.

— Bayranthym — powtórzyła kobieta, wyciągając dłoń po nalewkę — to alchemiczny katalizator. Rozpoczyna proces spalania, otwiera materię na działanie ognia. Jedna ze sławnych Esencji. Odnalazł na nowo, zbadał i opisał ją w swoich traktatach mistrz Gor.

W jej oczach zapaliły się ogniki. Posłaniec poczuł się nieswój, jak wtedy, gdy spozrzała nań znad trójnoga.

— To... bardzo ciekawe, Pani — powiedział niepewnie. Starał się utrzymać wzrok w tym samym punkcie, lecz zmysł ciągle płatał mu figle. Co i rusz omiatał szaty kapłanki, szukając zwidu.

— Och, tak! — wykrzyknęła z pasją, a żar tłący się na dnie oczu rozwinął się w płomień. — To nowe objawienie! Te traktaty są pełne ognia... — zrobiła przerwę. Oddychała niespokojnie, czasem głęboko, czasem płytko. — On też był posłańcem, jak ty. To jego traktat O równowadze czterech żywiołów rozgrzał umysł boskiego Imperatora!

Butelka ponownie zmieniła ręce, które ją trzymały.

— Myślałem, że On robi to wszystko z woli Feniksa — wypalił bez zastanowienia posłaniec. Kolejny łyk, który wziął, rozpalil go jeszcze bardziej. Rozpoznał też smak trunku. Pili nalewkę na owocach dioskarpona. Alkohol ten był wart małą fortunę.

Kapłanka nie wydała się oburzona ani rozgniewana pytaniem. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby wpadła w religijny trans.

— O tak! Ale to mistrz Gor, niczym prorok ze świętych tekstów przypomniał mu o jego powołaniu! I odtworzył mój zakon. I oto dziś jesteśmy przed... — Oddech miała rwany, jej piersi wraz z nim falowały niespokojne, jakby pod koński galop, a ostatnie słowo porwał dziki tętent.

— Pani, co się jutro wydarzy? — zapytał, sam zaskoczony swą zuchwałością. Nalewka została w rękach kapłanki.

Kobieta spojrzała na niego, lecz jakby go nie widziała. Nagle poderwała się i dopadła doń jak on sam ją, gdy wziął ją za intruza. Przywarła ustami do ust, położyła na nim ręce. Dotyk palił jak rozgrzane żelazo, jakim znakuje się bydło. Nie mógł go znieść ani nie potrafił się od

niego uwolnić. Czuł zar schodzący w lędźwie. Wbrew sobie, a zarazem pragnąc tego łapczywie, oddał pocałunek. Wysłał ręce na przespiergi, zapuszczając się nimi tam, gdzie nikt inny się nie poważył. Okrutny gorąc huczał w jego żyłach, zbierał się w sercu, szalał w rozumie. I już by dał mu się spalić, gdy w ostatnim momencie ją odepchnął. Zataczając się, opadła ciężko na krzesło. Patrzyła na niego spod grzywy czarnych włosów.

— Tak nie można, Pani! Tak się nie godzi! To sprzeczne z zasadami, z twoimi ślubami...

Urwał, gdy ta się roześmiała. O, jaki straszny był to śmiech! Jak pożoga pożerająca drwa.

— Och, posłańcu! Żebyś tylko wiedział, że już jutro te zasady przeminą! Żebyś tylko wiedział, co się wydarzy... Czego prorokiem się stałeś...

Patrzył na nią bez słowa. Nie wiedział, co powinien rzec. Hesta, która z wybuchu namiętności wpadła w śmiech, teraz zasyczała jak ogień polany wodą. Wstała gwałtownie.

— Nie chcesz? Dobrze! Nie ty, to inny!

I wyszła, otoczona furkoczącymi wściekle szatami.

Przez resztę nocy nie mógł zasnąć. Błąkał się gdzieś między jawą a snem, dręczony myślami i hałasami zza okna. Słyszał pijackie śmiechy. Gniewne warczenie klótni. Chichot kobiet. Ciągle czuł dziwny smak. Nie wiedział, czy winna jest nalewka czy usta hesty. Wsłuchiwał się w to, co się dzieje na zewnątrz i w samego siebie. Zadawał pytania. Czemu legion zachowuje się jak zbójecka banda? Czemu jest tak gorąco? Czemu czuję się, jakbym miał gorączkę? Czemu... Na każde z tych pytań odpowiadał czający się gdzieś w nim głos. Przecież wiesz! To już dziś, posłańcze! To już dziś! Gdy świtało, udało mu się zapaść w płytki sen. Ciało stężało i myśl stała się nieostra, a jednak pozostał czujny. Gdy oznaki świtu wdarły się do izby, przebudził się na dobre. Umył się w zimnej wodzie, odział i wyszedł na zewnątrz. Ujrzał wiszącą w powietrzu mgiełkę dymu i poczuł smród spalenizny. Dorwał przechodzącego obok legionistę.

— Co się dzieje? Coś się pali? — pytał. Gdy zaczepiony żołdak odwrócił się do niego, goniec aż się cofnął.

Z niby to ludzkiej twarzy patrzyły zwierzęce oczy. Coś w ogóle było zwierzęcego w tym człowieku. Ruchy miał nerwowe, niezdarne. Zadane pytanie wisiało chwilę bez odpowiedzi, po czym mężczyzna, z trudem składając usta, odparł.

— Gospoda spłonęła.

I poszedł.

Istotnie, gospoda spłonęła. Budynek, w którym jeszcze wczoraj przebywała Pięść Imperatora, jeden z dwóch ludzi mogących tak się tytułować w całym Imperium Feniksa, przestał istnieć. Posłaniec z bólem patrzył na wygasłe trójnogi oraz pogrzebane w popiele imperialne insygnia. Czerwieniły się jak plamy krwi. I widok ten budził w nim niejasne złe przeczucia. Odwrócił się na pięcie i poszedł ku stajniom. Miał przesłanie do zanieśienia w świat. Konia zastał brudnego jeszcze po wczorajszym biegu. Stajennych gdzieś wywiał. Podobnie strażników na murach. Aggelus przyjął to do wiadomości. I nic ponadto. Założył oficjalny mundur posłańca, w tym też mundurze oporządził konia. Przetarł mu boki, dał wody i paszy oraz założył juki. Nie bał nosić się oficjalnego stroju, był wszak na ziemiach Imperium.

Gdy był już gotów do drogi, obejrzał się po raz ostatni na zajazd. Na budynki i budyneczki kiedyś przyjmujące kupców. Na pustą przestrzeń pozostawioną po budynku rządcy. Wydało mu się, że gdzieś za jedną ze stajni zobaczył przemykającą kobietę. Widmo w łudzających oczy szatach. Pokłonił się wspinającemu się po niebie Stosowi. Ruszył w jego kierunku.

I ten dzień był skwarny. Aggelus jechał powoli, niespiesznie. Chciał zrekompensować koniowi jego wczorajszą mordęgę. Próbował zająć czymś myśli, jak to miał w zwyczaju podczas podróży. Lecz te ciągle skupiały się na ogniu. Kapłance. Ogniu. Kapłance. Ogniu, ogniu...

traktatach, które nie powinny powstać. O tym jednym, który wezwał świat człowieka do wojny. Okłamał hestę. Znał traktat mistrza Gora, znał O równowadze czterech żywiołów i przerażała go ta wiedza. Podstawowa myśl mistrza głosiła wyższość człowieka jako stworzenia zachowującego wewnętrzną równowagę czterech żywiołów. Wody i ziemi — ciężkich, więc tworzących ciało. Powietrza i ognia — odpowiedzialnych za rozumność i część nadprzyrodzoności. W geteknoi, z którymi toczyli wojnę, równowagi nie było. Zbyt wiele w nich wody i ziemi. Dlatego byli takimi potworami. Aggus zastanawiał się, co jeśli przeważały pozostałe żywioły. Czym byłoby życie z nadmiarem ognia? Przeczuwając, że nie chce podążać tą ścieżką, spróbował skupić się na Puszczy. Lecz ta trzymała się daleko. Wokół rozłożyły się wypalone połacie terenu. Wojsko oczyściło go z gęstwiny, wśród których łatwo byłoby o zasadzkę. Jeździec widział szerniałe kikuty drzew podobnych do szerniałego uśmiechu kościotrupa. Roślinność nie odbiła tej ziemi. Zwierzęta także trzymały się od niego z daleka. Usunięcie drzew pozwoliło jednak gońcowi zobaczyć cień Góry Ofiarnej. Majaczył w oddali, stojąc idealnie na trasie Stosu. Góra miała kształt ściętego stożka. Zbocza obejmował ciasno zielony uścisk drzew, lecz spłaszczony szczyt czerniał się gołą skałą. To właśnie tam Feniks zbudował Stos i spalił się na nim, by ocalić ludzi. Skłoniwszy w tym kierunku głowę, jeździec chciał odmówić modlitwę, lecz odkrył, że żadnej nie pamięta. Starał się odnaleźć jakąkolwiek formułę, choćby frazę wyniesioną ze świątyni. Zatrzymał konia i wbił spojrzenie w osmalone od ognia skały. Było coś magnetyzującego w tym widoku. Lecz on nie potrafił wykrzesać z siebie myśli. Stał tak i stał, a jego rozum odmawiał współpracy. W końcu z trudem oderwał się od Góry i popędził konia. Ten ani drgnął. Uderzył go lekko, zwierzę nadal stało jak słup. Nagle sam zamarł. Świat milczał martwą ciszą. Człowiek otworzył usta. Poczuł na języku okrutną gorycz. Bezwiednie wytrzeszczył oczy, tak bardzo, że aż poczuł, jak napina się skóra twarzy. Potem krzyknął, choć nie był tego pewien, bowiem rozległ się okropny huk. I grzmot. I wstrząsnęło światem, tak że aż uniósł się Trakt. Koń ocknął się i wierzgnął, nieomal zrzucając swego pana z grzbietu. Aggelus z trudem nad nim zapanował. Spojrzał, powodowany impulsem, na Górę. I ujrzał. Oto szczyt bluzgnął ogniem jak krew, a niebo od niego poczerniało. Zerwał się wiatr, pędzący jak burza, zawodzący jak potępieniec. Koń

wyrwał spod niego z kwikiem, mknąc przed się. Jeździec chwycił mocno lejce, lecz nie mógł oderwać oczu od widowiska. Poderwał się wiatr i zmusił rosnące w oddali drzewa do pokłonu. Potem popędził, niosąc ze sobą zerwane liście i popiół. Mężczyzna czuł na twarzy gorąc, jakiego nigdy nie doświadczył, nawet wczoraj. Niebo zaryczało jak ranione zwierzę. Chmury pęczniały, zapłodnione czerwienią. I ujrzał. Obłoki, zszarzałe, a zarazem rozgrzane pękały, siekając świat błyskawicami barwy krwi. A kogo sięgnęły... Posłaniec zobaczył, jak na wypaloną połać terenu wbiega jeleń. Przebiegł obok niego wściekle szybko, lecz człowiek zdołał dostrzec amok w jego czarnych oczach. Piorun zjawił się nagle, lecz nie z nieba. Uderzył z jakiegoś punktu za zwierzęciem. Sieknął je prosto w grzbiet. Jeleń wydał okropny ryk, jakiego nie znała ta Puszcza ani ludzkie ucho. A potem... Zapłonęło poroże, wypłynęły oczy. Skóra pokryła się bąblami poparzeń. Najgorsze było to, że ciągle żył. Aggelus widział, jak zwierzę biegnie i... zmienia się dalej. Ze zgrozą odwrócił głowę i pospieszył konia, starając się choć trochę nad nim zapanować. Lecz było już na to za późno. Szaleństwo przejęło władzę nad wierzchowcem. Uchwycił się więc jego grzywy i patrzył. A oto, co ujrzał. Przez niebo falami płynął ogień i spadał na ziemię. A gdzie padł, ta stawała się gorzka i jałowa. Widział, jak węże utkane z płomieni suną po niej, szukając ofiary. Widział ich łby przegryzające pnie, pochłaniające uciekającą zwierzynę. Posłaniec zamknął oczy, lecz odkrył, że powieki nie chronią go przed tym widokiem. Coś dziwnego działo się z jego zmysłami. Miał wrażenie, że widział, słyszał i doświadczał wszystkiego, czego dotyka pożoga. Cały świat gorzał.

Puszcza Środkowa przestała istnieć. Jej miejsce zajęły Pogorzelska. Ziemię odarto z trawy, pokrył ją popiół. Drzewa spłonęły. Powietrze stało się trujące. Nie ma już ptaków. Nie ma jeleni. Ani rysi. Są szkielety przykryte szarością. Nie ma zajazdów zwanych przyjaznymi domostwami. Są ruiny straszące pustką okien. Są rzeczy kryjące się po ich piwnicach. Nie ma jeźdźca na Trakcie. Ani jego konia. Jest straszna opowieść powtarzana szeptem. O dwóch szkieletach przetykanych ogniem. Szukających drogi na wschód, aby zanieść posłanie.

KOLONIA SAMOBIEŻNA HMN-DDY01

Kolonia samobieżna HMN-DDY01

Raport z Archiwum Departamentu Pamięci #36/02-015

6 dzień incydentu

1500 CET

Kolonia powoli powraca do pełnej funkcjonalności, i choć do Wysokiego Immunitarium nadal spływają sporadyczne raporty o starciach z wrogiem, możemy być pewni, iż ta batalia została wygrana. Nie możemy jednak pozwolić, by euforia i duma z odniesionego zwycięstwa zatęrzyły w naszej pamięci prawdę o zmaganiach ostatnich dni. Gdy nasza służba dobiegnie końca, zapis tych wydarzeń posłuży kolejnym pokoleniom Gwardzistów w niekończącej się batalii przeciwko siłom Obcych. Niech spisane tu słowa stanowią świadectwo naszych poświęceń i przestrozę na przyszłość. Wróg bowiem jest przebiegły, źródła jego ataku liczne, a metody podstępne.

Dla pełnego obrazu incydentu w pierwszej kolejności należy określić prowadzące do niego wydarzenia. Kolonia HMN-DDY01 jest największą tego typu jednostką w obszarze. Siedem cykli wstecz zawiązaliśmy unię z mniejszą kolonią produkcyjną, oznaczenie obecne HMN-MMY01. Wcześniej na orbicie pojawiały się wprawdzie inne jednostki tego typu, ale oficjele z zarządu Cerebrum z sobie tylko znanych powodów zdecydowali się na stałą współpracę z tą właśnie. Po „zakotwiczeniu” w tym samym sektorze zaczęliśmy wysyłać do nich liczne oddziały konstrukcyjne i po około 280 dniach hangar HMN-MMY01 opuściła wreszcie minikolonia badawcza HMN-BBY01. Zarządy obu kolonii celebrowały to wspólne osiągnięcie. Kolonia badawcza rozbudowywała się w satysfakcjonującym tempie, aż wreszcie osiągnęła gotowość do podejmowania quasi-samodzielnych misji w sektorze zajmowanym głównie przez podobne sobie struktury. Nikt nie przypuszczał wtedy, że pewnego dnia nasz własny twór zostanie wykorzystany przeciwko nam.

W celu lepszego unaocznienia przebiegu inwazji postanowiliśmy, po krótkim wstępie z oficjalnego raportu Wielkiego Immunitarium, przedstawić transkrypty z audiogramów sierżanta Sicariusza z trzeciego oddziału uderzeniowego NK.

Kolonia samobieżna HMN-DDY01

Raport z Archiwum Departamentu Pamięci #36/02-015

1. dzień incydentu

1630 CET

Kolonia badawcza HMN-BBY01 powróciła z rutynowej misji do rodzimego sektora. Na początku nic nie wskazywało na jakiegokolwiek anomalie w jej funkcjonowaniu, z czasem jednak zaczęła przysyłać obwieszczenia o spadku wydajności innych podobnych sobie struktur, a nawet o czasowym zniknięciu paru z nich. Pobieżna analiza ze strony HMN-MMY01 wskazała na zwiększenie temperatury zewnętrznych ścian HMN-BBY01 i zmniejszenie drożności jej układu wentylacyjnego. Ten ostatni zaczął zresztą cykliczne gwałtowne wyrzuty strumieni powietrza. Późniejsza analiza archiwalnych raportów wskazała, iż to właśnie ta dysfunkcja była najprawdopodobniej sposobem, w jaki zainfekowana przez siły Obcych HMN-BBY01 nieświadomie wspomogła inwazję wroga na HMN-MMY01 i na nas.

Kolonia samobieżna HMN-DDY01

Raport z Archiwum Departamentu Pamięci #36/02-015

2. dzień incydentu

Audio-gram #009007

Okolo 600 CET otrzymaliśmy sygnał z systemu Interferonów, kod czerwony...

Wnętrze mojej kwatery zapłonęło czerwienią lampy ostrzegawczej. Powinienem się chyba cieszyć, że znowu nie mogłem zasnąć, bo dzięki temu alarm zastał mnie w pełni ubranego i relatywnie przytomnego. Przemierzając szybkim krokiem wypełnione krzątaniem korytarze baraków, wyciskałem z tuby resztki pasty energetycznej. Nauczyłem się, że przed akcją należy coś zjeść, bo nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna okazja. Gdy dotarłem do zbrojowni, kapral Murus kończył właśnie

odczytywanie przydziałów na misję. Mieliśmy wejść szybko, dokonać rozpoznania i związać najeźdźców walką, by wyeliminować zagrożenie lub, przy przeważającym oporze, zatrzymać natarcie do przybycia Szwadronów T. Zgodnie ze standardową procedurą każdy w oddziale pobrał karabin ANT-Vir 2 oraz zasobnik minibomb antygenowych. Tym, co nie mieściło się w standardowym wyposażeniu, było ciężkie działo hiperlimfatyczne, broń stworzona z myślą o Immolatorach Szwardonów T, potężna, ale tak ciężka i nieporęczna, że nawet Murus potrzebuje do niej żyruprzęży.

— Bacność, do inspekcji! Dowódca w pomieszczeniu! — ryknął Murus, zauważywszy moje nadejście.

— Spocznij — rzuciłem lekko.

Przeszedłem się wzdłuż szpaleru, prześlizgując wzrokiem po każdym szturmowcu. Nie było wątpliwości, że Murus dopilnował każdego szczegółu, więc moja „inspekcja” stanowiła co najwyżej element wojskowego rytuału. Niemniej wypełniałem go za każdym razem, bo jeśli lata służby nauczyły mnie czegokolwiek, to tego, że w życiu żołnierza rytuał stanowi niezwykle istotną przeciwwagę dla chaosu pola bitwy.

— Tutamen, podstaw transporter pod najbliższą rampę. Mollitiam, weź ze sobą Salusa i zacznijcie ładować wyposażenie, jak tylko podjedzie Tutamen. Reszta, znacie procedury, wyjazd za dziesięć minut — wyszczekałem, trocząc płytki balistyczne do kombinezonu.

— Nie znam tych trzech za Lenimenem — rzuciłem półgębkiem do Murusa. — Nowi?

— Szturmowcy Rubrum i Subucula, oraz nowy medyk, Vivo. Uzupełnienie po stratach z Gravedo — odpowiedział z ponurą miną.

— Miejmy nadzieję, że ci pożyją dłużej niż poprzedni. — W odpowiedzi na moje słowa Murus uniósł tylko nieznacznie brwi.

Jazda transporterem nie trwała długo. Wkrótce po opuszczeniu bazy natknęliśmy się na pierwsze oznaki działań wroga. Fala uchodźców skutecznie zatkała główne drogi komunikacyjne, a mimo wagi naszej misji i presji czasu byłem pewien, że dowództwo Wielkiego Immunitarium nie spojrzałoby łaskawym okiem na traktowanie ludności cywilnej. Zostawiliśmy więc transporter i kontynuowaliśmy misję pieszo. Na szczęście parę okrzyków i przyjaznych kuksańców kolbami

karabinów zmotywowało pchającą się na nas ludność do szybszego ustępowania z drogi.

Po około godzinie marszu znaleźliśmy się znowu z dala od falującej masy przerażonych cywili. Wszędobylskie biadolenie dorosłych i skowyt podrostków stały się ledwie słyszalnym echem w oddali, a korytarze sektora Hd01/n05 rozbrzmiewały tylko postukiwaniem naszych butów. Nikt z obecnych nie łudził się jednak, że to przyjemna poranna przebieżka. Każdy krok zbliżał nas do zainfekowanego obszaru i każdy w oddziale miał się na baczności. Szeroka droga komunikacyjna ustąpiła wreszcie miejsca sieci węższych korytarzy, które doprowadziły nas do pierwszej zablokowanej śluzy. Wbiłem w konsolę kod nadrzędny i ponownie zamknąłem ją, gdy wszyscy znaleźliśmy się już w środku. Od tego momentu znajdowaliśmy się w obszarze bezpośredniego zagrożenia. Salus wysunął się na szpicę, przekradając się między cieniami kilkadziesiąt kroków przed nami. W pewnym momencie zobaczyłem jego uniesioną pięść. Nikomu nie trzeba było tłumaczyć, co to oznacza. Reszta oddziału zastygła w miejscu, skanując otoczenie znad szczerbinek karabinów. Po pełnej napięcia chwili pięść otworzyła się, sygnalizując oszczędnym ruchem, byśmy się zbliżyli. Upewniwszy się, że zobaczyliśmy sygnał, znikł za zakrętem korytarza. Podążyliśmy śladami Salusa i stanęliśmy przed niedomkniętą śluzą do przedsionka jednej z miejscowych komór nadzorczych. Panel kontrolny stopił się z framugą, więc po zerwaniu jego bezkształtnej masy Lenimen, nasz specjalista od technologii, zaczął przepinać spalone przewody. Gdy śluza rozsunęła się wreszcie na tyle, by można było się przez nią przecisnąć, wślizgnęliśmy się do środka jeden po drugim. Podłogę zaścielały żylaste wykwity, wyglądające jak skoagulowane wycieki śluzu. Panel kontrolny, a raczej to, co po nim zostało, skrzył w ostatnich spazmach pod prawą ścianą. Poczerniała plama na jego centralnej konsoli mogła być tylko pracownikiem Interferonu, który przeciążył generator główny, by uniemożliwić obcym przejęcie produkcji i uzyskanie łatwego dostępu do sąsiednich komór.

— Lenimen, ocena stanu obiektu — rzuciłem, choć spodziewałem się, jaką otrzymam odpowiedź.

— Wszystko usmażone, sir!

— Czyli wchodzimy na ślepo — szepnąłem do Murusa. Nic nie odpowiedział. Nie musiał. Obaj wiedzieliśmy, co to oznacza.

Przeszliśmy przez przedsionek i skierowaliśmy w głąb komory. Im dalej brnęliśmy, tym gęściej upstrzone biowykwitami były miejscowe ściany i podłogi. Niektóre z narośli łączyły się w pulsujące wybrzuszenia, częściowo oplatając to, co zostało z załogi lokalnego Interferonu. Zasilanie z generatorów awaryjnych starczało tylko na podświetlenie anemicznych lampek biegnących wzdłuż ścian, by wyznaczyć drogi ewakuacyjne. Głównym źródłem światła były dla nas mocowane do karabinów luminatory kierunkowe. Ich blask pomagał orientować się w otoczeniu, ale cienie rzucane przez pozostawione w pośpiechu wyposażenie mogły potencjalnie ukryć przed nami czających się w okolicy obcych. Brak głównego zasilania sprawiał nam jednak kłopoty poważniejsze niż ograniczenie oświetlenia. Większość przejść została zablokowana, a ich manualne otwieranie jedna po drugiej niepotrzebnie by nas spowolniło. Ostatnie, czego mi było teraz trzeba, to zatrzymanie się na dłuższy czas w wąskim korytarzu bez żadnych dróg odwrotu albo solidnej zasłony. Na szczęście Lenimen pobrał przed misją plany okolicznych komór i rzuciwszy odpowiedni plik na peryferyjny wyświetlacz swojego hełmu, prowadził nas bocznym korytarzem technicznym, który w przygotowaniu na podobne okoliczności zawierał tylko drzwi z zamkami mechanicznymi.

— Zbliżamy się do głównej hali miejscowego Factorum, sir — usłyszałem z wbudowanego w hełm odbiornika szept Lenimena. Ze względu na ciasnotę i słabą widoczność komunikacja gestami nie miała zastosowania, póki nie opuścimy korytarza technicznego.

— Wyłączyć luminatory. Po wejściu zabezpieczyć perymetr. Czekać na dalsze rozkazy — nadałem do wszystkich.

Zgodnie z zapowiedzią, nasz ciasny korytarz otwierał się na platformę zawieszoną na jednej ze ścian głównej hali Factorum. Tu oświetlenie awaryjne dawało jeszcze mniej, bo oferowało rzadko rozmieszczone wysepki relatywnej jasności. Przymykając na lewo od wyjścia do najbliższej osłony, widziałem oczami wyobraźni, jak któraś z otaczających nas zewsząd plam ciemności wybuchła rozbłyskiem ostrzału. Na szczęście nic podobnego się nie stało, a ja wyjrzałem zza krawędzi porzuconej ładowarki gąsienicowej i rzucałem szybkie spojrzenia w głąb struktury. Rzędy uśpionej maszyneryi tworzyły labirynt rozciągający się w każdym kierunku. Nasza platforma, choć pomieściłaby pewnie pięć ciężkich

transporterów, wydawała się pomniejszym występem w porównaniu do rozciągającej się pod naszymi stopami hali.

— Mollitiam i Tutamen, zająć pozycje na skraju platformy. Salus schodzi pierwszy, a gdy da zielone światło, reszta podąża w standardowej formacji. Murus i ja zejdziemy na końcu — wyrecytowałem na kanale ogólnym. Zanim wypowiedziałem ostatnie słowo, Mollitiam i Tutamen już zajmowali pozycje przy barierkach okalających zajmowaną przez nas platformę.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Niemal cały oddział opuścił platformę, więc rozkazałem, by Mollitiam i Tutamen opuścili stanowiska i dołączyli do reszty. Gdy Mollitiam znajdował się w połowie drogi w dół, usłyszałem w uchu głos Tutamena.

— Ruch na drugiej, sir.

— Wróg? — Odruchowo przysunąłem palec bliżej spustu.

— Nie wiem, sir, straciłem linię wzroku, ale nie kierował się w naszą stronę.

— Poczekaj, aż Mollitiam znajdzie się na dole i sam też schodź — poleciłem. — Salus, Lenimen, słyszeliście Tutamena. Idźcie przodem w kierunku potencjalnego kontaktu. Rubrum, Subucula, weźcie ścieżkę po prawej, ja i Murus weźmiemy tę po lewej. Vivo, czekaj na Tutamena, będziecie osłaniać tyły. Luminatory tylko w pojedynczych błyskach.

Gdy wypowiedziałem ostatnie słowo, wszyscy ruszyli we wskazanych kierunkach. Od kiedy weszliśmy, męczyło mnie niejasne przeczucie, że coś tu nie gra. Gdy wkroczyliśmy między składy endoplazmatyczne, doznałem olśnienia. Poza sektorem Interferonu nie widzieliśmy żadnych szczątków tutejszych pracowników. Do każdej z komór produkcyjnych prowadzi pojedynczy kanał transportowy, więc gdyby uciekli, spotkalibyśmy ich po drodze. Czy to możliwe, by wszyscy w momencie ataku ukryli się wspólnie przed obcymi? Jeśli tak, najbardziej prawdopodobnym obszarem była komora jądra energetycznego. To też tłumaczyłoby dotychczasowy brak kontaktu z jednostkami wroga. Wyłączenie głównego generatora musiało zatrzaskać śluzy, potencjalnie więząc najeźdźców wpool drogi, lub przynajmniej zmuszając ich do skupienia wysiłków na sforsowaniu barier dzielących ich od jądra. Z zamyślenia wyrwał mnie trzask słuchawki i głos Salusa:

— Kontakt zniknął nam z oczu, biegnie w waszym kierunku, sir!

Bezwzględnie wycelowałem w kierunku krawędzi składu i włączyłem luminator. Niemal w tym samym momencie rozmazana sylwetka

przemknęła jakieś siedemdziesiąt kroków przede mną i zniknęła za lewą krawędzią składu.

— Wszyscy za celem, odciąć drogi ucieczki, strzelać tylko po identyfikacji wizualnej — szczerkałem do przekaźnika, zrywając się do biegu.

Kiedy wypadłem za róg składu, snop mojego luminatora uchwycił tylko skrawek kończyny znikającej w kolejnym odgałęzieniu po prawej.

— Cel biegnie w kierunku jądra. Uwaga na zasadzki! — krzyknąłem w biegu.

Cholerne Factorum, każdy skład endoplazmatyczny wyglądał identycznie do poprzedniego. Kierunek pościgu wyznaczałem już niemal w zupełności na słuch, kierując się echem stóp uderzających o podłogę. Na szczęście był to dźwięk wystarczająco odmienny od stukotu naszych butów, bym uniknął potencjalnego uganiania się za jednym z własnych podkomendnych. Tak czy inaczej, należało tę ganianinę szybko skończyć, bo z każdą chwilą tylko zwiększaliśmy ryzyko wpadnięcia na siły wroga lub przynajmniej zwrócenia na siebie ich uwagi.

— Murus, biegnij prosto — rzuciłem, a sam nagle odbilem w najbliższą odnogę.

Przelotne spojrzenie na sufit pokazało, iż zbliżyliśmy się do jednego z rogów Factorum, a to oznaczało, że nasza zwierzyna miała tylko jedną drogę ucieczki. Przyspieszyłem kroku, chcąc znaleźć się przy krawędzi składu przed naszym celem. Gdy dotarłem na miejsce, przykucnąłem i zacząłem nasłuchiwać. Ku mojej satysfakcji, usłyszałem znajomy tupot zbliżający się w moim kierunku. Gdy był wystarczająco blisko, wychylnąłem zza rogu i rzuciłem się na biegnącą postać i uderzyłem ją na wysokości pasa. Runęliśmy ku podłodze, a moich uszu dobiegł satysfakcjonujący jęk bólu i zaskoczenia. Nie czekając na dalsze reakcje, zerwałem się na nogi i wymierzyłem lufą karabinu wprost w głowę wijącą się u mych stóp postaci.

— Proszę, nie! Nie zabijaj! Nie! — Teraz, gdy już oświetliłem cel skoncentrowanym snopem luminatora, zobaczyłem, iż napastnikiem okazała się kobieta w kombinezonie inżyniera Factorum.

— Jesteś bezpieczna. Nazywam się sierżant Sicarius, jesteśmy z oddziału NK Wielkiego Immunitarium. — Na dźwięk ostatniego słowa zamilkła. — Chodź z nami, mamy do ciebie parę pytań — dodałem, wyciągając do niej dłoń. Dokoła słyszałem stukot butów reszty oddziału.

Genimena, bo tak przedstawiła nam się starsza inżynier Factorum, okazała się wiedzieć frustrująco mało na temat przebiegu ataku i natury najeźdźców. Gdy już udało mi się uciszyć jej histeryczne błagania

o litość i zadać kilka pytań o przebieg ataku, okazało się, że straciła przytomność chwilę po uruchomieniu alarmu przez system Interferonu. Gdy się ocknęła, podłogę zaścierały już oleiste wykwity, a po innych pracownikach nie było śladu. Słyszając z prowadzących do jądra korytarzy odgłosy walki i nie mogąc upuścić pomieszczenia przez zatrzaśnięte drzwi, zaszyła się między składami endoplazmatycznymi, by uniknąć wykrzyka przez najeźdźców, za których pierwotnie nas wzięła. Niestety, nie poprawiało to naszego rozeznania w sytuacji, ale przynajmniej potwierdziło moje podejrzenia względem lokalizacji obsady Factorum i obcych. Zawiedziony znikomą przydatnością naszego odkrycia i z lekka zirytowany jej chaotyczną paplaniną, nakazałem Vivo obejrzeć ją, oficjalnie pod kątem uszkodzeń, w rzeczywistości, by upewnić się, że przez jakiś czas pozostanie na swoim miejscu. Oddalając się, skinąłem na Murusa, by za mną podążył.

— Co z nią robimy, sir? — zapytał ściszym głosem Murus.

— Niestety, nie możemy jej tutaj zostawić. W tym stanie może niechcący zaalarmować obcych, próbując stąd uciec, albo, co gorsza, dać się złapać i przekazać im informacje o naszej obecności i wyposażeniu. Przydziel ją świeżakom. Tylko niech trzymają ją z tyłu, nie potrzebuję pałającego się na linii strzału cywila.

— Tak jest, sir! — Murus entuzjastycznie skinął głową, najwyraźniej dzieląc moją opinię na temat przydatności cywilów podczas wymiany ognia.

— Murus — zagadnąłem, nim zdążył się oddalić. — Niech Tutamen też ma ją na oku. — Uniósł brew w niemym pytaniu, subtelnym ruchem unosząc nieznacznie lufę działa hiperlimfatycznego. Odpowiedziałem pojedynczym skinieniem. Wiedział, że w ostatecznym rozrachunku liczyło się tylko to, by ukończyć misję przy minimalnych stratach własnych, nawet jeśli wymagało to czasem niewygodnych decyzji.

Na wieść o mojej decyzji Genimena wyraźnie oprzytomniała, energicznie zapewniając o swojej zdolności samodzielnego opuszczenia Factorum. Ba, nawet wydumała, że jeśli ją puścimy, to pobiegnie do któregoś z sąsiednich, by poinformować ich o zagrożeniu i poprosić o pomoc. Ta niedorzeczna propozycja jednoznacznie wskazywała, iż momentalne ożywienie było tylko przykrywką, bo jako starszy inżynier nie mogła nie wiedzieć, że system Interferonu już dawno przekazał

ostrzeżenie nie tylko do sąsiednich komór, ale, czego byliśmy najlepszym dowodem, nade wszystko do centrali Wielkiego Immunitarium. Bez względu na to, czy trauma ostatnich wydarzeń faktycznie pomieszała jej zmysły czy tylko naiwnie liczyła na naszą ignorancję, jasnym było, że nie mogłem pozwolić, by w tym stanie włóczyła się samotnie po obiekcie. Nie miałem cierpliwości ani czasu na dalsze dyskusje, więc tonem sugerującym, iż rozmowę uważam za skończoną, poleciłem Rubrumowi i Subuculi odprowadzić ją na tył formacji.

Po krótkim marszu znaleźliśmy drzwi prowadzące do sekcji administracyjnej otaczającej komorę jądra energetycznego. Gdy wyszliśmy pomiędzy składów endoplazmatycznych, pozostawiliśmy za sobą zagrożenie ataku z zaskoczenia. Szerokość korytarzy prowadzących przez strefę administracyjną pozwalała co najwyżej na swobodne przemieszczanie się dwójkami, co niwelowało potencjalną przewagę liczebną wroga, ale ograniczało też nasze możliwości manewrowania. Zarządziłem ruch w rozciągniętej formacji i podzieliłem większość w pary, poza Rubrumem i Subuculą, którzy w przydziale mieli nadal nasze nieprzydatne znalezisko. Nie było sensu przemieszczać się w kupie, by w razie ataku nie stanowić łatwego celu dla pojedynczej serii pocisków lub celnie rzuconego ładunku. Pozostawialiśmy jednak w zasięgu wzroku, a przynajmniej staraliśmy się to robić. Oszczędnie rozmieszczone oświetlenie awaryjne pozwalało nam widzieć względnie dobrze na niewiele więcej niż dwadzieścia kroków. Na większej odległości rejestrowaliśmy co najwyżej ruch. Sytuacji nie poprawiała zwiększająca się liczba oleistych wykwitów, spowijających miejscami całe sekcje korytarzy, łącznie z wszelkimi źródłami światła, co tworzyło plamy niemal absolutnej ciemności. Tylko w przypadku tych ostatnich pozwalałem na użycie luminatorów w krótkich błyskach. Nie wiedzieliśmy, jak daleko znajdują się oddziały wroga, jak są liczne i na jakim obszarze obiektu się rozciągają. Element zaskoczenia był naszą jedyną przewagą i zamierzałem utrzymać go tak długo, jak to było możliwe.

— Sir, mamy problem. — Odbiornik mojego helmu rozbrzmiał głosem Salusa.

Kazałem zostać Murusowi na stanowisku, a sam ruszyłem ku pozycji Lenimena i Salusa. Znalazłem ich stojących naprzeciw rozgałęzienia. Dwa identyczne korytarze odchodziły od naszego na kształt litery 'Y'. Prawa odnoga, oznaczona tabliczką z napisem „Komora Jądra”, kończyła bieg upstrzoną wszędobylskimi wykwitami masą rumowiska. Niezależnie od tego, czy korytarz został zawałony celowo czy też

uległ zniszczeniu w wyniku wymiany ostrzału ciężką bronią, przebicie się przez tę barierę było poza możliwościami naszego wyposażenia. Pozostawała zatem odnoga lewa. „Biura” – głosił napis na leżącej u jej wylotu tabliczce. Doskonale, pomyślałem, sieć skąpanych w mroku pomieszczeń wypełnionych przeszkodami i licznymi zakamarkami, w których zasadzić mógł się na nas wróg, to właśnie to, czego nam było teraz potrzeba.

— Ruszamy na lewo. Gotowość na kontakt — wyszeptałem do nadajnika.

Zgodnie z przewidywaniami korytarze strefy biurowej okazały się taktycznym koszmarem. Wejścia do poszczególnych pomieszczeń rozsiane po obu stronach, dziesiątki drzwi, za którymi mogły się kryć grupy obcych czekające, by wziąć nas w krzyżowy ogień. Musieliśmy za wszelką cenę opuścić centralną arterię komunikacyjną. Na szczęście standardowy plan tych struktur zakładał łączenie poszczególnych biur w celu odciążenia centralnego korytarza i ułatwienia komunikacji między działami. Ja, Salus, Mollitiam i Vivo wzięliśmy prawą stronę, Murus, Tutamen, Lenimen i Subucula – lewą. Rubrumowi przydzieliłem rolę niańki. Nakazałem mu, by trzymał się w bezpiecznej odległości za moim pododdziałem. Gdy dostrzegłem wyraz zawodu na jego twarzy, poinformowałem go konfidencjonalnym tonem, że zauważywszy jego wrodzoną bystrość i instynkt wojownika, nie mogłem żadnemu z pozostałych rekrutów powierzyć odpowiedzialności płynącej z pełnienia roli tylnej straży, szczególnie przy obciążeniu opieką nad cywilem. W obliczu nowo odkrytej wagi swojego przydziału odpowiedział mi entuzjastycznym salutem i zapewnieniem, że mogę na niego liczyć. Lata służby, a rekruci nadal łapią się na te same sofizmaty.

Przestrzeń biurowa nosiła wszelkie znamiona pośpiesznej ewakuacji. Pliki dokumentacji bezładnie rozrzucone po blatach i podłodze, przewrócone meble, porzucone w przypadkowych miejscach narzędzia pomiarowe. W regularnych odstępach moich uszu dobiegały raporty dowodzącego drugą grupą Murusa. Nagle mój odbiornik rozbrzmiał głosem Rubruma:

— Sir, zauważyłem ruch. Idę to sprawdzić.

— Nie... — Zanim zdążyłem zareagować, usłyszałem charakterystyczny sygnał wyłączanego odbiornika.

— Utrzymać pozycje, Rubrum zauważył ruch za naszą linią — nadałem na kanale ogólnym. — Ja i Salus cofniemy się, Mollitiam i Vivo zabezpieczą pozycję — dodałem i wskazałem tym ostatnim, gdzie mają ustanowić stanowisko strzelnicze.

Jeśli Rubrum przestrzegał moich wytycznych, w momencie jego komunikatu musiały nas dzielić nie więcej niż dwa pomieszczenia. Szliśmy z bronią w gotowości, starając się utrzymać pospieszne tempo przy jednoczesnym zachowaniu ciszy. Nim zdążyliśmy do połowy przemierzyć pierwsze pomieszczenie, przestrzeń przeszył huk pojedynczego strzału, jednoznacznie kończąc jakiegokolwiek próby pozostania w ukryciu. Obaj zerwaliśmy się do biegu niemal jednocześnie. Dziesiątki wspólnych misji pozwalały nam dobierać drogę tak, by nie wchodzić sobie wzajemnie na linię strzału. Pośpiech nie mógł przeważać nad dyscypliną, więc nawet teraz skanowaliśmy otoczenie lufami karabinów. Kiedy wpadłem do następnego pomieszczenia, moim oczom ukazał się obraz, który w innym kontekście mógłby się wydać niemal romantyczny. Genimena klęczała nad Rubrumem i nakrywała jego tułów swoim; jego twarz była niewidoczna spod jej palców. Wpierw zdała się nie zauważać naszego przybycia.

— Co się stało? Gdzie jest wróg? — spytałem, klękając obok.

Dopiero teraz uniosła głowę i spojrzała na mnie pustym wzrokiem, jakby nie rozpoznawała ani mnie, ani słów, które do niej skierowałem. Była zapewne pod wpływem silnego szoku. Przejścia wcześniejszych godzin, ukrywanie się w samotności, ucieczka przed nami, a teraz to. Odepchnąłem ją delikatnie, acz stanowczo, by sprawdzić stan Rubruma. Rekrut nadal żył, choć jego twarz widocznie pobladła. Na pierwszy rzut oka wydawał się spać, dopiero bliższa inspekcja zwróciła moją uwagę na nieznaczne wybrzuszenie napinające od wewnątrz jego kombinezon. Z pomocą Salusa delikatnie obróciliśmy nieprzytomnego Rubruma na bok. Jego plecy okazały się być lepkie od wszędobylskiej śluzowatej wydzieliny obcych, w tym konkretnym wypadku wyciekającej ze sterczącego mu z pleców pocisku. Używam słowa „pocisk” w najbardziej umownym ze znaczeń, bo to, co ukazało się naszym oczom, bardziej przypominało fragment złamanego rogu, i choć nie byliśmy zdolni określić jego faktycznego pochodzenia, bez wątpienia wyglądał organicznie.

— Co tu się stało? — powtórzyłem pytanie, ujmując Genimenę za oba ramiona.

— Nie... nie... ruch, ruch w ciemności i krzyk, huk. Nic więcej, nic więcej... — mamrotała, jakby była pogrążona w jakimś transie.

— Kto was zaatakował? Gdzie jest? Czy Rubrum trafił wroga? — Potrząsnąłem nią silnie, licząc na to, iż oprzytomnieje.

— Nic więcej... — mruknęła z miną idioty.

— Potrzebujemy medyka — nadałem. — Natychmiast!

Sobie tylko znanymi metodami Vivo udało się ustabilizować stan Rubruma, a nawet przywrócić mu świadomość. Niestety, ten niewiele pamiętał, a że zaatakowany został ewidentnie od tyłu, nie potrafił też opisać wroga. Vivo zdecydował o pozostawieniu obcego pocisku w ranie. Krwawienie zdało się ustać, a Rubrum został nafaszerowany stymulantami w stopniu, który pozwalał mu nie tylko ustać o własnych siłach, a nawet iść. Mając przed sobą jasny dowód na obecność obcych, postanowiłem zaniechać dzielenia naszych sił. Od tej pory mieliśmy poruszać się jako jeden oddział, kolejno sprawdzając, zabezpieczając i przemierzając pomieszczenia dzielące nas od komory jądra.

Niefortunna przygoda Rubruma okazała się jedynym potknięciem w przebiegu naszej infiltracji. Możliwe, że siły obcych były na tyle rozproszone, że faktycznie w tym sektorze znajdował się tylko jeden wróg, teraz potencjalnie ranny, bo oględziny broni Rubruma wskazały na to, iż słyszany przeze mnie wystrzał dobiegł właśnie z niej. Sam Rubrum kuśtykał na tyłach, wspierając się na ramieniu Genimeny, która wprawdzie nie wydusiła z siebie żadnej przydatnej informacji, ale przynajmniej zdawała się kompletnie oddawać opiece nad swym obrońcą.

— Sir, znaleźliśmy chyba resztę pracowników — nadał do mnie Salus z przodu formacji.

Gdy się zbliżyłem, Salus skinieniem głowy wskazał ciężkie zbrojone drzwi z małym eliptycznym prześwitem. Jeden rzut oka przez przezroczystą membranę potwierdził słowa Salusa. Po drugiej stronie drzwi ujrzałem jakiś rodzaj komory dekontaminacyjnej wypchanej po brzegi personelem w uniformach Factorum. Część z nich siedziała bez ruchu pod ścianami, ale największe skupisko zdawało się zbierać po przeciwnej stronie pomieszczenia, przy czymś, co mogło być

jedynie wejściem do służby prowadzącej do komory jądra. Były ich tam dziesiątki, może nawet ponad setka. Na mój rozkaz Lenimen obszedł blokadę konsoli kontrolnej, po czym sam wprowadziłem kod nadrzędny. Drzwi komory dekontaminacyjnej otworzyły się z sykiem. Wbrew moim oczekiwaniom nasze przybycie nie wzbudziło nagłej euforii, po prawdzie zdać by się mogło, że kompletnie umknęło ono uwadze zgromadzonych.

— Tu sierżant Sicarius, dowódca oddziału NK Wielkiego Immunitorium! Kto jest tu najwyższy rangą? — huknąłem trochę zbyt teatralnie.

Wreszcie jakieś spojrzenia zaczęły zwracać się w naszą stronę, aczkolwiek bez większego odzewu. Powtórzyłem więc swoje pytanie, zbliżając się w kierunku grupy zebranej pod zablokowanym wejściem do służby. Za plecami słyszałem stukot kroków Murusa i Lenimena. Wreszcie z masy otumanionych cywilów wyłonił się przygarbiony osobnik o niemłodym obliczu.

— Tu wszyscy są równi, nie ma rang, jest jedność — skrzeknął z nierozpoznawalnym dla mnie akcentem. Dobrze znałem hierarchię Factorum, więc jego słowa sugerowały, iż członkowie zarządu byli w innym miejscu lub martwi, a my trafiliśmy na zbiorowisko robotników. — Jak się tu dostaliście? — dodał, mieląc słowa, jakby nie był pewien ich poprawnej wymowy.

— Z łatwością. Wasze zabezpieczenia są poniżej autoryzacji oficerskich Immunitorium. — Zbyłem jego naiwne pytanie gestem sugerującym, iż nie życzę sobie kolejnych. — Teraz ja będę mówił, a ty odpowiadaj. Dostaliśmy ostrzeżenie z systemu Interferonów o przejęciu tego obiektu przez obcych. Gdzie oni są?

— Jedynymi obcymi jesteście tu wy. My musimy się dostać do jądra. Idźmy razem, daj nam kod.

— Wykluczone! — Podniosłem głos, zirytowany jego tępotą. — Jesteście w obszarze bezpośredniego zagrożenia. Pozostaniecie tu do momentu zabezpieczenia obiektu.

— Musimy się dostać do jądra! Razem! — powtórzył, po czym wyciągnął w moim kierunku dłoń i zaczął się do mnie zbliżać.

— Daj nam kod, Daj nam kod! — powtarzał.

— Stój! — warknąłem, unosząc broń tak, by mógł spojrzeć prosto w wyłot lufy.



Ilustracja: Jakub Oleksów (IG @doktor_gurgul)

Nie wiem, czy to instynkt podpowiedział mi w tym momencie, że coś tu poważnie nie gra, czy zwyczajnie wyczerpałem już limit cierpliwości do dziwacznych cywili, ale gdy zignorował mój rozkaz i uderzyłem go kolbą w skroń. Wynik był zarówno przewidywalny – głowa robotnika gwałtownie odskoczyła, a on sam runął w tył – i kompletnie zaskakujący, bo z widocznego na skroni rozcięcia pociekła ta sama breja, z której składały się biowykwity obcych. Robotnik rozdziawił usta na niemożliwą szerokość, a z jego gardła wystrzelił w moim kierunku organ zakończony licznymi przyssawkami. Atak był zaskakująco szybki. Na szczęście pociski karabinu ANT-Vir 2 są znacznie szybsze. Gdy ucichł huk wystrzału, cała komora na chwilę zastygła w bezruchu. Zastój ten nie trwał jednak długo, bo zebrana pod służą komory jądra masa obróciła się w naszą stronę gwałtownym skoordynowanym ruchem. Nawet ci, którzy siedzieli dotąd skuleni pod ścianami, podrywali się z miejsc i wyciągali ręce w naszym kierunku. Dałem sygnał do odwrotu i posłałem kilka strzałów w kierunku toczącej się na nas masy ciał. Nie miałem pojęcia, czy nacierali na nas robotnicy zainfekowani lub kontrolowani przez obcych, czy sami obcy noszący ciała swych ofiar jako groteskowy kamuflaż. Część z nich wyglądała jak w transie. Biegła na spotkanie salw naszych karabinów bez baczenia na własne bezpieczeństwo. Inni w różnym stopniu porzucali pozory, rozrywając ciała i uniformy w eksplozjach giętkich odnóży i haczykowatych wypustek. Zbliżałem się już do wyjścia z komory, gdy poczułem silne szarpnięcie, które wyrwało mi podłóżę spod nóg. Lecąc bezwładnie do tyłu, zobaczyłem trzy czarne smugi przeszywające miejsce, w którym przed chwilą stałem. Spiałem się w oczekiwaniu na spotkanie z podłogą, ale zamiast tego poczułem stabilizujący chwyt potężnego ramienia, które należeć mogło jedynie do Murusa. Jednocześnie nad moją głowę rozbrzmiała salwa z karabinu Lenimena, która rozerwała na oleiste ochłapy najbliższego nam obcego, którego wyciągnięte ramiona kończyły się rzędami przypominających kolce wypustek. Mijając zbrojoną framugę, na wpół ciągnięty przez Murusa dopiero zobaczyłem wbite w nią trzy rogowate pociski, identyczne z tym, jaki znaleźliśmy w plecach Rubruma. Widząc, że odzyskałem równowagę i nie potrzebuję już pomocy, Murus minął mnie i stanął w przejściu do komory. Teraz, gdy żaden z nas nie znajdował się już na linii strzału, mógł wreszcie użyć swojej broni. Wbrew temu, co sugerować może gabaryt działa hiperlimfatycznego, wystrzałowi

nie towarzyszy niemal żaden dźwięk. Następuje błysk i wszelkie żywe tkanki w prostej linii przed wylotem jego lufy wyparowują, jakby palec śmierci wyciągał się przed nim i pokazywał: „to tu przestaje istnieć”. W obliczu tak dewastującej siły nawet pchani bezmyślnym szalem obcy zatrzymali na moment swoje natarcie.

—ZAMYKAĆ! — wrzasnąłem.

Subucula i Murus rzucili się na drzwi, napierając całą siłą na ich zbrojony blok, a Lenimen i ja posyłaliśmy serie wystrzałów w kierunku budzącej się z chwilowego stuporu hordy. Staraliśmy się spowolnić ich szarżę, celując w jednostki, które wysuwały się przed masę, ale już po chwili pierwsi obcy dotarli do wyjścia i zaczęli się rzucać ku zmniejszającej się szparze między framugą a drzwiami. Mollitiam i Tutamen dobyli ostrzy. Bezlitośnie rąbali głowy, kończyny i potworne narośla powstrzymujące nas przed ponownym zapieczętowaniem komory, podczas gdy Lenimen i ja posyłaliśmy kolejne strzały nad ich głowami. Gdy już zdawało się, że mimo oporu nam się uda, prawy bok Subuculi zniknął nagle w eksplozji tkanek i odłamków. Drugi strzał wybił głębokie wgłębienie w pancernych drzwiach tuż obok głowy Murusa, ogłuszając go.

— Nie! Musimy się dostać do jądra! — wyrecytował beznamiętnie Rubrum, oddając trzeci strzał w kierunku konsoli kontrolnej, co ostatecznie przekreśliło wszelkie szanse zamknięcia komory dekontaminacyjnej.

Nagle zła sytuacja zmieniła się w istny chaos. Ja, Lenimen i Vivo jednocześnie wystrzeliliśmy w Rubruma, zmieniając go w smolisto-krwawy ochłap. Mollitiam i Tutamen odskoczyli od drzwi, których nikt już nie trzymał z naszej strony, a zatem nic nie stało na drodze wylewu fali ciał napierających na nie od środka. Na szczęście Murus stał już o własnych siłach.

— Subucula? — krzyknąłem do niego, ale odpowiedziało mi tylko przeczące machnięcie głową. — Odwrót w formacji, strzelać bez rozkazu! — ryknąłem, podkreślając rozkaz serią poślaną w kierunku najbliższych mi obcych.

Gwałtowność naporu wroga okazała się być nam na rękę, przynajmniej na razie, bo w ograniczonej, wypełnionej dziesiątkami przeszkód przestrzeni biurowej szarżujące bezładnie monstra co krok potykały się, wpadały na siebie wzajemnie lub blokowały sobie nawzajem przejście. Nadal jednak napierali z uporem i agresją, a dziwne rogowe pociski coraz

gęściej przeszywały dzielącą nas przestrzeń. Dziesiątki razy któryś z nas zmuszony był strzelać do obcych niemal z przyłożenia lub wykazać się podziwu godną celnością, odstrzeliwując jedną z maszkar w połowie skoku. Przedzierając się do kolejnego pomieszczenia, zobaczyłem, jak Lenimen rozplata w biegu brzuch robotnicy o niepokojącej liczbie kończyn, tylko po to, by płynnym ruchem rzucić ociekające jej juchą ostrze w jeden z trzech otworów gębowych obcego, celującego rogowymi wypustkami w plecy Vivo. W tym samym momencie posłałem serię w masę ciał, które chwilowo zaklinowały się w jednym w bocznych przejściach. Nagle kątem oka zarejestrowałem ruch po mojej lewej. Jeden z mocniej przenicowanych robotników runął parę kroków ode mnie z hukiem wyrwanej z ramy kratki wentylacyjnej. Nacisnąłem spust, ale zamiast satysfakcjonującego huku naddźwiękowych pocisków usłyszałem tylko głuchy stuk zaciętego zamka. Mieląc w ustach przekleństwo, pchnąłem karabinem na spotkanie naszpikowanej kolcami paszczy. Lufa wbiła się w obrzydliwym mlaśnięciu w gardziel obcego. Nie był to standardowy manewr, ale zapewnił mi wystarczająco dużo czasu na przeładowanie. Tym razem naciśnięcie spustu dało zamierzony efekt, a groteskowy czerep potwora rozbryzgnął się w lepką chmurę, która na moment oślepiła. Ta chwila rozproszenia mogła kosztować mnie życie, gdyby nie Murus, który pojawiwszy się znikąd, chwycił prawicą jedno z odnóży skaczącego obcego. Paskuda zwinęła się w locie, próbując skierować weń przypominające kosy kończyny górne, ale śmiertelny stożek wystrzelił ponownie z działła hiperlimfatycznego i zdeintegrował ją od pasa w górę. Z grymasem satysfakcji Murus cisnął kopący jeszcze ochłap pod nogi napierających na nas obcych. Nie lubię mieć długów, więc niezwłocznie wyrównałem rachunki, odstrzeliwując w biegu dwójkę napastników, którzy chcieli odciąć mu drogę odwrotu. Wreszcie udało nam się przebić z powrotem do głównego korytarza łączącego strefę biurową z halą Factorum.

— Bomby! — nadałem na kanale ogólnym.

Opróżniłem zawartość zasobnika do lewej dłoni, pospiesznie aktywując minibomby antygenowe, po czym posłałem całą garść w głąb korytarza. Kolejne ładunki dołączyły do moich. Nie odwracałem się, by podziwiać wynik naszych zabiegów, ale podmuch pyłu na karku i huk gruzu miażdżącego obcych dały mi znać, że osiągnęliśmy zamierzony efekt. Nie miałem jednak większych złudzeń co do długotrwałej możliwości

zatrzymania naporu hordy stertą konstrukcyjnego kompozytu. Tak czy inaczej mieliśmy przynajmniej chwilę na przegrupowanie i opracowanie planu dalszego działania.

Poza Rubrumem i Subuculą wszyscy dotarli do hali Factorum. Znalazła się nawet Genimena, która zniknęła mi z oczu podczas odwrotu, najpewniej uciekając w panice jeszcze przed wybuchem Rubruma. Na wstępie poprosiłem Vivo o szybką analizę wszelkich obrażeń, uszkodzeń i otarć u każdego z nas, na osobności prosząc go o zwrócenie szczególnej uwagi na najmniejsze choćby ślady tkanek obcych w ranach. Nie mogłem sobie pozwolić na kolejny bratobójczy atak. Poza mną i Vivo wszyscy usiedli w kole, by podzielić się racjami żywnościowymi i dokonać przeglądu sprzętu.

— Jaki mamy plan? — zapytał Mollitiam, gdy tylko się do niego zbliżyłem.

— Musimy ich tu zatrzymać — odpowiedziałem. Starłem się zamaskować fakt, iż na tę chwilę nie wiedziałem, jak niby mieliśmy tego dokonać.

— Powinniśmy uciec po którejs z sąsiednich komór. — Genimena odezwała się po raz pierwszy od incydentu z rannym Rubrumem. — To jasne, że nie możemy tu zostać.

— A co z nimi? — zapytał Tutamen, wskazując skinieniem w stronę korytarza prowadzącego do sekcji biurowej.

— Moglibyśmy zamknąć ich tutaj — zasugerowała.

— Możliwe, wejście do komory dekontaminacyjnej zdawało się ich zatrzymywać. — Lenimen przytaknął. — Sierżant nadal ma kod nadrzędny, a ja do tego mogę zrobić spięcie w instalacji tutejszych śluz, tak by nie dało się ich otworzyć z poziomu konsoli nawet po przywróceniu głównego zasilania.

— Jaką mamy pewność, że żaden się nie kryje tutaj albo na naszej drodze do wyjścia? — Salus nie podniósł nawet wzroku znad karabinu. Pieczołowicie przecierał lufę. — Jeden dorwał Rubruma, zanim otworzyliśmy komorę dekontaminacyjną. Może się ich tu kręcić więcej.

— Nie ma ich tutaj! — odrzekła nieprzyjmującym sprzeciwu głosem Genimena. — Zamkniemy tych w biurze, a sami wyjdziemy stąd. Musimy iść do sąsiedniej komory.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł — odrzekłem, przechadzając się powolnym krokiem wokół zewnętrznej krawędzi tworzonego przez nich okręgu.

— Czemu nie? — W jej głosie pojawiła się nuta irytacji. — Musimy się dostać do sąsiedniej komory.

— Razem? — zapytałem, zbliżając się za jej plecy.

— Oczywiście, że razem! — odrzekła, tym razem nie kryjąc zdenerwowania. — Musimy się dostać do sąsiedniej komory razem — powtórzyła dobitnie.

— To już nie „musimy się dostać do jądra”? — zapytałem, podkreślając ostatnie słowo uderzeniem kolbą karabinu w jej potylicę.

Genimena runęła przed siebie i upadła z bolesnym jękiem. Reszta oddziału zerwała się na równe nogi, ale nikt nie śmiał mnie powstrzymać. Przez krótką chwilę zacząłem poddawać w wątpliwość swoją decyzję, ale szybkie spojrzenie na jej głowę rozwiało wątpliwości. Z rozcięcia spowodowanego moim atakiem sączyła się oleista ciecz. Genimena lub to, co się za nią podawało, nie podniosła się, by na mnie spojrzeć, po prostu obróciła głowę o sto osiemdziesiąt stopni i wbiła we mnie spojrzenie znad łopatek. Widziałem, że jej kończyny zapierają się o podłogę w gotowości do skoku w moim kierunku. W odpowiedzi oddałem strzał ostrzegawczy w jej lewe kolano. Wyszczерzyła się, ale utracie połowy kończyny nie towarzyszył nawet najcichszy jęk bólu. Nie jestem pewien, czy to pojęcie jest jej rodzajowi w ogóle znane.

— Nie radzę — rzuciłem.

— Jak? — wymamrotała.

— Nie było żadnego wroga, prawda? — zapytałem. — To ty raniłaś Rubruma. Podejrzewam, że właśnie tak się rozmnażacie. Przyznam, że na początku mnie nabrałaś, ale potem zobaczyłem, jaki temperament ma twoja rodzinka. Gdyby jeden z was był w pomieszczeniu z nieprzytomnym Rubrumem i tobą, przybiegłbym co najwyżej do pary zwłok, a jednak tobie nic się nie stało. Nie miałaś nawet zadrapania. No i ta sąsiednia komora. Dostaliśmy sygnał o ataku z systemu Interferonów, ale sieć komunikacyjna została usmażona, więc nawet my nie wiemy, czy sąsiednie komory są bezpieczne, więc jaki sens miałoby pchanie się w ciemno do drugiego podobnego bagna? Chyba że ktoś wie, że tam was jeszcze nie ma. Wie, bo ma kontakt z resztą roju.

— Wszyscy staniecie się jednością. Rozmnożymy się i przejmniemy...

— Być może — przerwałem — ale bez twojego udziału. — Pierwszy strzał rozerwał jej wykrzywioną furią twarz. Kolejne, moje i reszty oddziału, stanowiły już formę terapii grupowej.

...po neutralizacji zagrożenia, a tym samym uniemożliwieniu próby infiltracji przez jednostki wroga pozostałych struktur sektora Hd01/n05, ustanowiłem perymetr obronny z wykorzystaniem optymalnych stanowisk ogniowych. Szeregowy Lenimen ustanowił w tym czasie łącze komunikacji z Wielkim Immonitorium, by poprosić o jak najszybsze wsparcie kompanii Szwardonów T. W oczekiwaniu na posiłki związaaliśmy jednostki wroga walką, nie ponosząc dalszych strat. Ciała szeregowego Rubruma i starszej inżynier Genimeny przekazano do analizy. Wedle wszelkich norm sektor Hd01/n05 uważa się za oczyszczony.

Koniec audiogramu sierżanta Thymusa Sicariusu, z Trzeciego Oddziału Uderzeniowego, kryptonim *Natural Killers*.

ZBRODNIE

Tętnienie bębnów narasta. Tempo uderzeń rośnie tak bardzo, że nie jestem w stanie nadążyć. Towarzysze broni idą równo, w idealnym szeregu. Czy jestem jedynym, który nie daje rady? W trzewiach wszystko mi się wywraca. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Boże, pomóż mi, proszę.

Idziemy przez dżunglę. Chyba przez dżunglę. Jest noc – tak czarna i ciemna, że nie sposób jej przeniknąć. Czuję w kościach nieprzyzwoity chłód. Piekielny. Pochodzi od samego Baala. Demona z czeluści. Złego. Przeżartego złem. Boże, moje kości. Boże...

Słyszę trzask i wiem, że to moja noga. Jestem tego pewien, kość przebiła skórę i wyszła na zewnątrz. Ból zaraz przyjdzie, zaraz, już zaraz... Nadchodzi, wiem, że nadchodzi. Stracę równowagę i padnę w błoto, utopię się pod nogami idących żołnierzy.

Oddział nigdy się nie zatrzymuje. Oddział idzie naprzód. Żadnych przystanków aż do osiągnięcia celu.

Cholerna gałąź, która wcześniej była moją nogą. Dostałem zapasową. Dzięki Ci, o Wielki. Mam nową nogę, dotrę do celu. Dam radę.

Dżungla zamyka się wokół mnie. Wilgoć jest gorąca. Parzy. Sprawia, że chcę wypluć płuca.

— STOP!

Rozkaz jest jak sztylet wbity prosto w szyję. Aż tracę dech, uderzam w mężczyznę przede mną, a on w kolejnego. Ktoś wpada na mnie. Krok do przodu i oddział znów stoi równo. W prawo zwrot!

— Mur tarcz!

Podnosimy oręż. Zmęczeni, spoceni, cuchnący. Mięśnie napinają się do granic, żyły pulsują. Ciężkie tarcze. Muszę utrzymać. Nie przerwę linii. Nie przerwę!

— Gotuj... Gotuj...

Nie widzę ich. Nie widzę... Nic nie widzę... Przede mną ściana tarcz, za mną ciemności przekłuwane szpilkami pojedynczych lampek oliwnych. Pod nogami błoto, nad głową, poza mną, wszędzie dookoła ściana roślinności.

Wtem uderza kafar potworności. Abominacje, stwory przysłane z innego świata, by stłamsić nas, zastraszyć, zniszczyć jeszcze przed bitwą. A potem żerować na nagich ciałach naszych bliskich. Nigdy do tego nie dopuszczę. Nigdy!

Napór rośnie, a ja zaciskam oczy, by nie widzieć, nie słyszeć i nie czuć. Ale przecież to niemożliwe, wpierw dociera do mnie lejąca ciągłość ruchów mokrych i śliskich kończyn, jak przeciągle mlaśnięcie w gębie pozbawionej zębów. Słyszę też postukiwanie pospiesznie stawianych kończyn, tarcie pancerzy oraz klekot szczęk, dziobów i wklęsłych pysków w kształcie wypełnionego kolcami lejka.

Najgorszy jest smród. Mieszanica gnijących ryb, słonej morskości i rozkładającego się trupa.

— Pchaaaj!!!

Równy jak w solidnym mechanizmie nasza ściana tarcz uderza jeden raz. Bestie wyją i odskakują. Tylko na to czekamy. Opuszczam tarczę i wbijam jej zaostriżony spód w błoto. Przyklękamy, a drugi rząd uzbrojony w długie piki wybija wrogiej tłuszczy zęby — powstają szczyrby kalające ten nieludzki uśmiech. Uderzają raz, a mocno. Tu nie ma miejsca na pomyłkę. Każdy trafia albo naraża nas na śmierć. I wierzę, że wszyscy trafili, bo nadal oddycham.

— Wstaaań!

Unoszę tarczę oburącz, jest wielka jak góra. Nim pancerny mur na powrót przesłania mi widok, jedynie przez sekundę widzę ten popsuty organizm, mnogość zepsucia po przegrupowaniu. Każdy kształt jest inny, choć podobny. Nie mają określonej liczby rąk, nóg czy głów. W ogóle nie ma tu zasady, że są jakieś ręce, nogi i głowy. Trudno rozsądzić, czy nawet rozdział między rośliną, zwierzęciem a grzybem ma zastosowanie. U nich wszystko jest zmienne, jakby krążyli wokół kształtującej ich formy na skrzydłach skrzywienia. Może nie wiedzą, kim są — nie mają nawet wiedzy o tym, że są czymś realnym, namacalnym i prawdziwym.

Dobrze, że nie dźwigam włóczni. Nie wiedziałbym nawet gdzie celować...

Mur przesłania mi widok i nie przeklinam już tego ograniczenia, lecz dziękuję za dar niewidzenia. Przestaję też mrugać, bo każda drobina ciemności przywraca mi obraz, którego nie mogę znieść. Ręce drżą, lecz ciężar tarczy niweluje tę słabość. Tylko sił już brakuje, po ostatnim manewrze czuję, że w przedramionach mam płynny ołów, są coraz

cięższe — dźwigam już nie tylko tarczę, lecz także moje własne ręce. Trzymam je siłą woli. Oby starczyło mi jej jeszcze na chwilę. Nie mogę zawieść. Jedna wyrwa w murze, to koniec nas wszystkich. Nie skrzywdzę tak kompanów. Nie skażę nas wszystkich na koszmarny finał.

— Oooooodwróóóóó!

Co?

Mur się chwieje, rozpada. Tam! Nie utrzymali. Dwóch postawnych mężczyzn o twarzach identycznych z moją i znamieniem na policzku. Widzę ich wysiłek. Niemal czuję ich pot. Są wycieńczeni, tak samo jak ja. Ich żyły wychodzą z ciała w tych samych miejscach. Ich oczy są tak samo przekrwione. Ich włosy skręcają się w identyczne strąki. Ich krzyk, gdy umierają, jest chyba taki sam, jak mój będzie już za chwilę.

Jest wyrwa, której nie da się załatać. Abominacje wlewają się w nasze szeregi, szarpiąc, kłując, gryząc i wchłaniając. Moi kompani, jeden po drugim, z jękiem podnoszą i przerzucają tarcze na plecy, w specjalne uchwyty ze skórzanych pasów. Jeden za drugim odwracają się i próbują utrzymać linię podczas ucieczki. Przed każdym z nich staje włócznie, który uderza tylko raz, a potem porzuca oręż i biegnie przed nami. Fala obrotu dociera do mnie, podrzucam tarczę, ale nim uda mi się ją przerzucić, dopada mnie coś oślizgłego, co pełźnie tuż przy ziemi na jedenastu półprzezroczystych odnóżach pokrytych rzadkimi, białymi włosami zakończonymi czerwonymi owocnikami. Owocniki otwierają się i bucha z nich zielony ogień. Krzyczę i puszczam tarczę, a raczej ciskam nią w dół, odcinając trzy kończyny i sprawiając, że stworzenie wydaje dźwięk przypominający tarcie kredą o tablicę.

Nie ma czasu. Złamałem falę odwrotu. Następnii za mną mają opóźnienie. Nic na to już nie poradzę. Odwracam się i biegnę co sił w nogach. Jestem lekki. Mijam kolegów z tarczami uwieszonymi na rzemkach, chroniącymi ich plecy. Moja twarz odwraca się do mnie i mruga porozumiewawczo. „Biegnij!” — mówi. — „Szybko, ratuj się!”

Przecież biegnę!

Ręce mam jak z waty, a w nogach wosk zamiast mięśni.

Łąka chłapie, mlaska, a za mną kotłuje się jak w ulu. Nie — to złe porównanie. To nie rój ani chmara. To coś nie biegnie ani nie toczy się. To się przelewa niczym fala tsunami. To potop. Zakryje nas wszystkich. Zginie my tu! Ja tu zginę!

Każdy ja.

Wszelki ja.

Dżungla mnie wchłania, zwężam się i ściskam. Jestem plastycznym bytem, wpadam w drzewa, między konary, pnie, w liście, w tą zieloność schowaną w czerni. Wyłaniam się po drugiej stronie ściany sam. Gdzie reszta? Gdzie pozostali?

Są. Ledwie kilkunastu z całego oddziału. Niektórzy ranni, inni jedynie przerażeni, jak ja. Splątani i zagubieni. Co się właśnie wydarzyło? Co teraz?

Obrzydliwość napiera na ścianę, już widzę, jak kora po drugiej stronie frunie w strzępach w powietrze. Słyszę trzaskanie gałęzi, pnie wyginają się do wewnątrz. Zaraz tu wejdą! Wleją się. Gdzie uciekać, gdzie?

Za nami dżungla ustępuje głębokim przepaściom i skalnym urwiskom. Prowadzi między nimi wąska ścieżka, a na jej końcu majaczą we mgle mury fortocy. Kilku mnie już tam biegnie, ale nie ja. Ja słucham. Słucham ciszy. Napór zupełnie ustał. Dlaczego? Dlaczego już nas nie atakują? Poszli sobie? Zbliżam się do ściany drzew i zaglądam przez małe szczeliny. Abominacja przywarła i trwa tak, nie napierając już, nie próbując wdrzeć się do środka. Ale moment... Widzę ruch. W tej masie, wewnątrz pozlepianych kształtów, nieokreślonych bytów. To chory taniec wnętrzości, wirujących, przebijających się przez własne kończyny. To zęby, kości, twarde wypustki, ostre jak igły — wbijają się w las, przeciskają między włóknami drewna aż wióry lecą, a żywica tryska wielkimi kroplami. Przebijają się na wylot! Jedna z nich wyłazi tuż nad moją głową...

Dostrzegam, że ostry kiel jest w środku pusty. Niesamowite i przerażające zarazem. Czy to ząb jadowy? Zaleje nas kwasem, gazem, trucizną? Odsuwam się instynktownie i czekam, co dalej. Wokół mnie nie ma już nikogo. Zostałem sam jeden. Nie mam tylko pewności, czy to ciekawość zwyciężyła nad strachem, czy po prostu jestem tak przerażony, że nie potrafię już uciekać?

Spodziewałem się, że ostrze będzie dalej wnikać do środka lub zaleje mnie jakąś mazią. Tymczasem nic z tych rzeczy... Otwór zaczyna się powiększać! Rośnie w oczach... aż w końcu jest tak wielki, że mógłbym się na czworakach przedostać na drugą stronę. Cofam się powoli, oczekując nieuniknionego. I wtedy widzę. Coś.

Nogi.

Sześć nóg, które wydostają się na zewnątrz, rozłożą symetrycznie

i zaczepiają po naszej stronie leśnej osłony. Dopiero po chwili widzę resztę dziwaczego, podłużnego cielska, które przeciska się przez otwór. Ma kształt tulei o nieregularnych, chropowatych ścianach. Wyżej jeszcze dwie macki lub coś je przypominające. A na końcu wielki łeb — nieludzki, nielogiczny, zupełnie niezrozumiały. O ile to w ogóle jest łeb... Wygląda raczej jak coś sztucznego, wytworzonego w fabryce szalonego demiurga. Trochę jakby ze szkła, a trochę jak z metalu, równe linie płaskich trójkątów układają się w bryłę, która chciałaby być nieco bardziej kulista, niż potrafi. Jest półprzezroczysta. W środku widzę wijącą się mackę, drut kolczasty, który aż się gotuje, by rozerwać skorupę i wyskoczyć na zewnątrz.

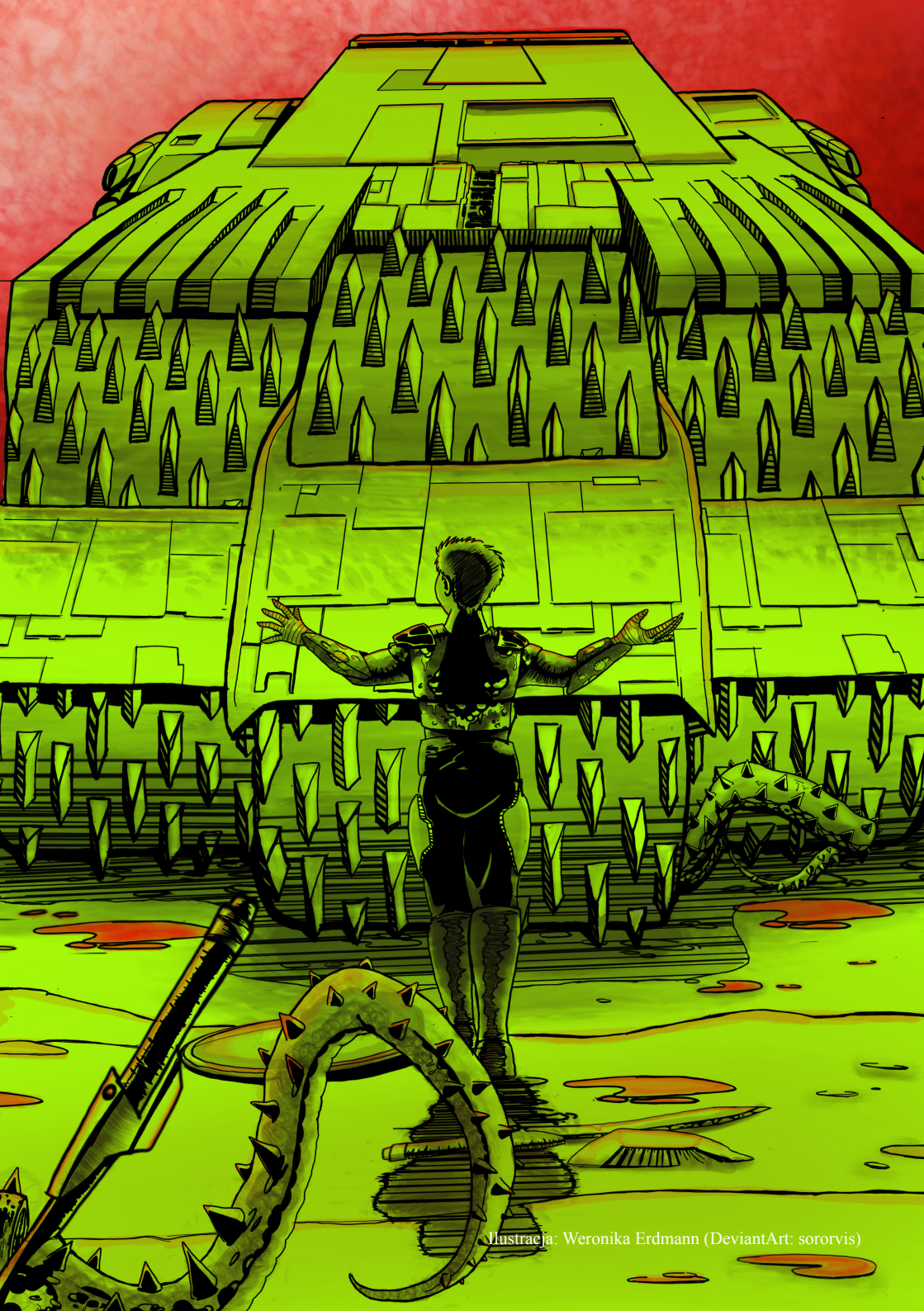
Krzyczę, gdy stwór odwraca się i odbija od ściany. Skacze wysoko i daleko, mija mnie w dużej odległości. Sądzę, że nawet nie zwrócił na mnie uwagę. Chcę za nim biec, powstrzymać, uratować fortecę. Ale słyszę odgłos pękającego drewna i widzę, że ściana cała pokryta jest wystającymi kolcami. Już zaczęły się powiększać, by przepuścić kolejne abominacje.

Skaczą.

Jeden po drugim docierają do fortecy. Obrońcy zamknęli się w środku jak oko pod powieką, ale to nic nie da. Stwory wbijają się nogami w ściany, przywierają ciałami i widzę, jak sztuczne łby zginiatają się jak balony miażdżone ciśnieniem. A podłużne cielska wypełniają się wijącym węzem, który do tej pory miotał się w sferze. Drutowate cielska prostują się, dostrzegam kolec na ich końcu/początku. Nie rozróżniam ich stron, nie wiem, gdzie się zaczynają, a gdzie kończą. Następuje szybki, gwałtowny ruch. I już ich nie ma. Pusta skorupa stworzenia odpada od ściany i spada w przepaść. Ale wąż wlaźł do środka, zostawiając po sobie tylko małą dziurkę.

Chwytam się za głowę. Jak to możliwe? To jakiś koszmar! Te stworzenia są niepowstrzymane! Znajdą sposób na wszystko! Na co nasze tarcze, na co łuki i strzały, na co manewry, marsze i szkolenia. Na co ofiary. Na co moje bezsensowne życie... Na co życie tych, co przyjdą po mnie?

Forteca oblepiona wrogami pęcznieje i pulsuje. Otwiera się pod nią otwór, przez które wylatują trupy. Setki. Setki tysięcy! To wodospad ciał. Wodospad mnie! Martwych... Martwy wodospad, wpadający do martwego morza. Ocean śmierci. Bez sensu, bez celu. Jestem wszechmartwy! Bardziej martwym być już nie można, prawda?



Ilustracja: Weronika Erdmann (DeviantArt: sororvis)

Padam na kolana, czując ściekające po policzkach łzy. Wyję.

I upadam.

Czekam na koniec. Dlaczego mnie ignorują? Jestem tylko pojedynczą drobiną pyłu, z którego Bóg usypał górę. Chcę końca! Nie chcę tego wszystkiego widzieć! To za wiele! Nie mogę... To zbyt straszne! Zbyt bolesne! Nie mogę...

Bębny biją z oddali. Nie rozpoznaję tego rytmu, to nie moje — nie nasze tempo. Jest szybkie, przeraźliwie szybkie. Jakby ktoś walił w membranę czterema rękami. Raz za razem. Nie czekając na maruderów, zostawiając za sobą trupy tych, którzy są za słabi, by wytrzymać morderczą prędkość.

Są coraz głośniejsze. Wstrząs sprawia, że upadam na ziemię. Podrywam się i patrzę na fortecę. Stoi tam, gdzie stała, a pod nią wciąż płynie wodospad wszechtrupa. Zbieram się. Podnoszę na nogi. Z trudem. Zgarbiony i złamany odwracam się plecami do koszmarnego obrazu i biegnę ku ścianie zieleni, która wcześniej oddzielała mnie od wroga, a teraz stanowi brzydki płot otaczający zdewastowaną posesję niedysiejszego bogacza.

Biegnę pod górę wąską ścieżką, wśród urwisk, gołej skały i spadających kamieni. Odruchowo zadzieram głowę, gdy ryk bębnow jest już tak donośny, że powoduje drżenie podłoża. Tracę równowagę, lecz nie odrywam wzroku i widzę, jak przez niewidoczne szpary w poszyciu wysokich drzew wpada do środka pył. Drobinę tak niewielką, że ledwie dostrzega ich połyskujący zarys na tle ciemności. Nie da się jednak pomylić. To jednak nie może być pył, piach ani proch. Drobinę suną bowiem równiutko, w jednym tempie, po równoległych liniach, wprost ku celowi, który znajduje się w naszej niedawnej fortecy — obecnie przyczółku węzowych cielsk wrogów. Ten ledwie widoczny klucz częstek odpala z ogromną prędkością i w jednej chwili wnika w twierdzą.

Nie wiem, co robić. Iść? Stać? Biec? Jestem kompletnie zagubiony. Na szczęście nie muszę się długo zastanawiać. Forteca drży w posadach. Ciała wszech mnie przestają spadać, zamiast tego dzieje się coś zupełnie innego. W ścianach od wewnątrz wybijane są dziury, przez które wyskakują węzowe stwory. Nie... Nie wyskakują. Są wyrzucane.

Wystrzeliwane! Wybijane z ogromną prędkością, aż kamień tworzący ściany pęka, kruszy się i z hukiem wylatuje w przestrzeń. Serie wybuchów tworzą gwiazdozbiory otworów, a niedawni napastnicy z całą pewnością stają się bezbronnymi ofiarami.

Nic tu po mnie. Decyduję, że sytuacja kompletnie mnie przerosła. Spróbuję może odnaleźć kogoś z mojego oddziału. Pomóc, jeśli to nadal możliwe. Idę ciężko ku linii drzew. Zatrzymuję się przy niej i wyglądam przez szpary, szukam jakichś śladów wroga czającego się po drugiej stronie. Ale niczego tam nie ma. Niczego, co by się ruszało.

Przeciskam się jak kawał gumy, dopasowując się do kształtu pni i konarów. Po chwili jestem na zewnątrz. Staję jak wryty. Gdziekolwiek nie spojrzeć... ciała. Same ciała. Martwe. Wszystkie. Jakby wpadł tu archanioł zemsty i płonącym czarnym ogniem mieczem wybił wszystkich w pień. To najeźdźcy. Poszarpani, podziurawieni, pogryzieni — porozrywani na strzępy. Jakby ktoś... jakby coś ich dosłownie zmasakrowało. Coś potężnego, czego nigdy dotąd nie widziałem. Cieszę się, ale czuję też strach. Tak wielka siła... Coś, z czym nie mogliśmy sobie dać rady... stłamszone jak radość na widok śmierci.

Słyszę też jakiś szum, coś w tle, na co nie zwróciłem uwagi. Podnoszę wzrok. Tam! Wysoko, ponad drzewami, tuż pod nieboskłonem koloru ciemnej czerwieni. Obiekty. Widziałem je już! Tylko czy ja je znam... Tak... Muszę je znać. Okrągłe, wirujące, pękate. Pełne nadziei. Oznakowane. Pełne małych dziur, przez które wypuściły ów zabójczy pył, który zniszczył wroga. Sojusznicy! Odsiecz!

Uśmiecham się i wiwatuję! Skaczę z radości. Oni powoli odwracają się i jeden po drugim odlatują, niknąc gdzieś w oddali. Krzyczę za nimi, wołam. Łzy szczęścia ciekną po policzkach. Chwytam się za twarz i mój płacz przechodzi w ciche kwilenie. Uratowany. Z jednej strony szczęśliwy, ale z drugiej... Tyle śmierci. Tyle bezsensownej śmierci. Gdyby tylko przybyli trochę wcześniej... Gdyby tylko byli w stanie uratować mnie. Tak wiele mnie. Wszystkich mnie. Ach...

Opuszczam ręce. Idę. Kroczę między ciałami, ich fragmentami, elementami, co do których mogę jedynie przypuszczać, czym są. Wiem tylko tyle, że już są niegroźne. Całkowicie martwe. Idę powoli, niespiesznie. Gdzieś na pewno dotrę. Kogoś spotkam. Porozmawiam. Dowiem się, co tu właściwie zaszło.

Wtem w oddali majaczą kształty. Między drzewami, wzdłuż ścian

ciemnej roślinności znajduje się coś dużego. Kilka ogromnych, pękatych maszyn. Suną powoli w moją stronę. Z mozołem przesuwają się do przodu.

Gdy są blisko, rozpoznaję je. To śmieciarki. Ich wielkie cielska gromadzą wszystko, co martwe, zbędne i wybrakowane. Jak ogromne żuki mają po dwa wystające lemiesz ze szpiczastymi dziobami. Znajdują się na przodzie, sterczą pod ostrym kątem i biegną na boki. Zgarniają wszystko do środka — do szczęk. Dwa potężne walce z kolcami, kręcące się do siebie wciągają ciała — przyjaciół i wrogów, mnie i abominacji. Razem. Zduszają, zlepiają, scalają w jedno.

Tak nie można! To podłe! To... To... To przecież nieuniknione.

Opadam na kolana. Od euforii do rezygnacji. Wszystko prowadzi do jedyne go możliwego końca. Stajemy się tym samym. Byliśmy tym samym. Jesteśmy bezkształtną masą. Jedyne co nas różni, to imię, za które się mordujemy.

Las jest tu zbyt gęsty. Nie przecisnę się. Nie ucieknę. Nawet nie chcę. Niech się już skończy ten koszmar.

Dalej nie pójdę. Poczekam tu. Poczekam, aż znów stanę się kompletny.

STOWARZYSZENIE ORGANÓW WAŻNYCH INACZEJ

W jamie brzusznej jak zwykle panował półmrok. Ciemne zaułki żołądka z chlupotem spływały sokami, z tuneli jelit co rusz dobiegały cichawe burknięcia. Kość Ogonowa rozejrzał się i stanął nieopodal paskudnie pomarszczonej ścianki wątroby. Cekał cierpliwie, choć kwaśnawy fetor tego miejsca przyprawiał go o mdłości.

Zawsze go ciekawiło, dlaczego, odkąd sięgał pamięcią, myślał o sobie w rodzaju męskim. I czemu w ogóle identyfikował się z Kością Ogonową, skoro tak naprawdę był tylko zlepek kilku komórek służących organowi do porozumiewania się z resztą Ciała.

„Porozumiewania”, też coś. Większość narządów nie miała nawet pojęcia, kim jest i kogo reprezentuje. Gorsze były te, które miały — one wiedziały, jak bardzo był niepotrzebny. I nawet jeśli nic nie mówiły, wystarczyły ich spojrzenia, pełne pogardy, a czasem nawet, o zgrozo, współczucia. W całym Ciele nie było nikogo, z kim Kość Ogonowa zamieniłby więcej niż jedno zdanie.

Teraz być może miało się to zmienić.

Stał więc i czekał w miejscu i o czasie wyznaczonym w lakonicznym, anonimowym liściku, który wcisnęła mu wczoraj do ręki jedna ze spotkanych czerwonych krwinek. Zapytana, o co chodzi, tylko wzruszyła ramionami i pobieгла dalej, dysząc pod ciężarem niesionego tlenu.

Właściwie stwierdzenie „lakoniczny” było tu sporym niedopowiedzeniem. „Jutro, sto uderzeń serca po rozpoczęciu pory spoczynkowej, jama brzuszna, zachylek wątrobowy”. Tyle. A, no i jeszcze podpis, też jakże wiele mówiący: SOWIna.

Gdyby Kość był narządem nieco bardziej zajęтым jak, nie przymierzając, chyba każdy inny w Ciele, pewnie w ogóle by się sprawą nie przejął. Ba, wystarczyłoby, żeby był narządem zajęтым choć trochę, żeby miał do roboty cokolwiek, co pozwoliłoby mu zabić wszechobecną

nudę. Ot, taka pochwa, niby dużo nie robi, ostatnio praktycznie nic, a jednak przynajmniej może liczyć na to, że prędzej czy później stanie się potrzebna. A on? On mógł co najwyżej boleć, a i to od wielkiego święta.

Gdy zatem pojawiło się coś, co dawało choćby nikłą nadzieję na zabicie tragicznej codziennej nudy, Kość wiedział, że skwapliwie z tego skorzysta. Rzecz jasna, istniało ryzyko, i to chyba całkiem spore, że autorem tajemniczego liściku jest ktoś, kto chce mu dokuczyć — ot, choćby dawni „koledzy” z dzieciństwa, którzy nie przepuszczali żadnej okazji, by się z niego ponabijać. Trudno, zaryzykuje. Jakaś jego część pragnęła nawet takiej rozrywki.

Już samo to, że stał i czekał, stanowiło jakąś odmianę, choć wierzył, że na tym się nie skończy. Stał zatem. Żołądek chlupał, wątroba postękiwała smutno, jak co wieczór uraczona dawką alkoholu, tym razem w wersji gazowanej, sądząc po dobiegających z głębi jelit przeciągłych, wibrujących pomrukach. Spowolnione podczas snu bicie serca nadawało tej muzyce życia jednostajny, kojący rytm.

— To ty napisałeś ten list?

Kość niemal podskoczył. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu właściciela niskiego, głębokiego tonu, który przeszkodził mu w kontemplowaniu nocnych odgłosów Ciała.

— Tutaj! — dobiegło gdzieś z dołu.

Tuż obok, sięgając mu zaledwie kolan, stał drobny kształt.

— Robaczkowy jestem. — Mikrus wyciągnął dłoń na powitanie. — Wyrostek zresztą. Tak, wiem. Nie pytaj.

— Kość Ogonowa. — Nie zapytał.

Zapadła krępująca cisza.

— No więc jeśli chodzi o list... — zaczął Robaczkowy.

— A właśnie, o jaki list chodzi? — zapytał jednocześnie Kość.

Robaczkowy bez słowa uniósł w górę kawałek papieru. Kość poszperał za pazuchą i wyjął identyczny. Panowie spojrzeli na siebie niepewnie. W czeluściach żołądka coś głośniejsz burknęło.

Nagle w półmroku rozległ się cienki głosik.

— Ha! Tu są!

— Skąd wiesz, że to oni!? — sprzeciwił się napastliwie drugi, identyczny. — Może udają! Może to Ona ich nasłuchiwała!

— Zawsze musisz się ze mną kłócić!?

— A ty ze mną!?

— Wracaj do mordy!

— Sam wracaj, ty miazgo spróchniała!

— Żeby ci szkliwo pękło!

— A tobie dziąsło zaropiało!

— Przepraszam... — Kość nieśmiało podszedł do dwóch zlepków białawych komórek, szarpiących się nawzajem pod ścianą. — Panowie, zdaje się, do nas?

— Gratuluję spostrzegawczości! — pisnął jeden zlepek, nieco wyższy, ale chudszy od drugiego. — Co za brawurowa dedukcja!

— Przepraszam za niego — sapnął ten bardziej krępy. — Nie przejmujcie się, to troglodyta. Od dziecka był zwyrodnialcem, brata mu dawno wyrwali, on sam też wrastał w dziąsło, inne ząbki się z niego śmiały...

— Sami widzicie, z kim ja muszę pracować! — Rozłożył ręce chudy. — Potem się dziwią, że taki zgryźliwy jestem...

— Czy dobrze rozumiem, że panowie są zębami? — Do rozmowy dołączył Wyrstek.

— Kolejny błyskotliwy... — mruknął krępy. — Wybaczcie, gdzie nasze maniery i tak dalej. Do rzeczy. Ja jestem Ósemka Prawa Górna, a ten tutaj... — spojrzał z niechęcią na chudego — ...to Lewa Dolna.

— A my... — Robaczkowy wyciągnął dłoń.

— Wiemy, wiemy. — Machnął ręką Lewa Dolna. — Oszczędźmy sobie zbędnych ceregieli. Dostaliście listy, no nie? Te od SOWIny?

— Czyli od was? — Kość zademonstrował Ósemkom karteczkę.

— Tak! — odparł z dumą Prawa Górna. — SOWIna to my!

— Dobra, dobra — skarcił go Lewa Dolna. — Nie przypisujemy sobie cudzych zasług. Owszem, należymy do SOWIny i tak się składa, że oprócz Założyciela jesteśmy jej jedynymi członkami, ale... no właśnie, Założyciel. To on za tym wszystkim stoi.

Kość zmarszczył czoło. Robaczkowy stał bez ruchu, mrugając nerwowo.

— Ale że co...? — jęknął w końcu bezradnie.

— O co chodzi z tą SOWIną...? — sprecyzował wątpliwości Kość.

— Próchnica jasna! — zdenerwował się Prawa Górna. — Chcecie powiedzieć, że ten idiota nie rozwinął skrótu!? Pokaż no to! — Wyrwał Kości list. — No nie rozwinął! Idiota!

— *Wypraszam sobie!* — Nagle rozległ się świdrujący szept.

— SOWIna to skrót od „Stowarzyszenie Organów Ważnych Inaczej”
— westchnął zrezygnowany Lewa Dolna. — Tajne, rzecz jasna. Więc nikomu ani słowa.

— *Ej, miałem to wyjaśnić!* — oburzył się szept. — *Co mi psujesz!*

— Sam Szef psuje! — zirytował się Lewa. — Tajemnice, cuda-wianki, jak zwykle, a kto potem musi wszystko odkręcać? My!

— Em... A co to tak szeptce? — zapytał niepewnie Robaczkowy.

— Ojciec Założyciel — warknął Prawa. — Więc słuchajcie, bo oto słowo jego i tak dalej.

— *Skończyłeś już?* — syknął szept. — *Świetnie. Pewnie zastanawiacie się wszyscy, po co was tu wezwałem.*

— Ta, na pewno — mruknął Lewa.

— Zaś się kryminałów naczytał. — Pokiwał głową Prawa.

— *Dajcie mi się wysławić, co!?* — Szept niemal krzyknął, po czym odchrząknął na tyle, na ile szeptu mogą chrząkać. — *Zatem... przybysze! Jak mniemam, cała ta sytuacja musi być dla was niemalym zaskoczeniem. Wybaczcie tę konspirację i środki ostrożności, jakie byliśmy zmuszeni przedsięwziąć, jednakowoż sprawa jest najwyższej wagi i nie możemy sobie pozwolić nawet na najmniejsze zaniedbanie! Otóż trzeba wam wiedzieć, iż jakiś czas temu w ścisłej tajemnicy powołałem do życia grupę zrzeszającą te części Ciała, które nie są już nikomu potrzebne. Przez okrutny kaprys ewolucji, niesprawiedliwe zrządzenie losu, nasza rola w cudzie ludzkiego istnienia została zredukowana do zera, my zaś staliśmy się co najwyżej synonimami bólu, w najlepszym razie obiektem kpin i niewybrednych żartów.*

Kość Ogonowa westchnął ciężko.

— On tak zawsze — szepnął Lewa. — Dopiero się rozkręca.

— *Co gorsza, nasze, tak, nasze znaczenie* — ciągnął z emfazą szept — *ulega nieustannej deprecjacji! Ublża się nam, kala nasze imię, to jednak i tak nic w porównaniu z tym, co nieuchronnie nas czeka, jeśli nie zaczniemy działać!*

— Co takiego...? — Robaczkowy wyglądał na przerażonego.

— ZAPOMNIENIE — wycedził grobowo szept. — *Kompletna fizyczna i mentalna atrofia. Niebawem po prostu nikt nie będzie pamiętał, że w ogóle istniejemy. Chyba że...* — zamilkł teatralnie.

— Chyba że co...? — Kość ze zdziwieniem stwierdził, że dał się porwać tej płomiennej przemowie.

Lewa i Prawa przycupnęli, opierając się o ścianę żołądka, wyraźnie znudzeni.

— *Chyba że zawalczymy o swoje! Udowodnimy wszystkim, całemu organizmowi, że nie można tak po prostu kogoś zredukować do roli popychadła! Pokażemy, że my też mamy coś do powiedzenia!* — Szept już niemal krzyczał. — *Nadciąga godzina próby! Zbliża się chwila, w której nasze działania zmienią życie Ciała, powstrzymają nadciągającą katastrofę, zaś my, w glorii chwały, otoczeni bohaterską aurą...*

— Przepraszam bardzo, a kim pan właściwie jest? — przerwał Robaczkowy, werbalizując wiszące w powietrzu pytanie.

— *To tajemnica!* — wyszeptał konspiracyjnie szept. — *Nikt, ale to nikt nie może się dowiedzieć...!*

— To mózg, prawda? — zwrócił się Kość do Prawej.

— Ano mózg — odparł spokojnie Prawa.

— *Wcale nie...!* — obruszył się szept.

— Z jakiegoś powodu chce kontynuować tę szopkę, ale powiedzmy sobie szczerze, tylko dureń by się nie domyślił. — Lewa uśmiechnął się złośliwie.

— *Wypraszam sobie...!* — Szept brzmiał, jakby zaraz miał się rozpląkać ze złości.

— Dobra, słuchajcie, ja wam to wyjaśnię — Prawa westchnął ciężko — bo ten bęcwiał, znaczy Wcale-Nie-Mózg, może w nieskończoność wstawiać swoje durne przemowy i nic konkretnego z tego nie wyniknie.

Nie-Mózg wydał z siebie serię nieartykułowanych szeptów.

— Sprawa wygląda tak — ciągnął Prawa. — Jakiś czas temu, wiadomo, decyzją Serca, Ciało się zakochała, jak to się mówi, bez pamięci i na zabój. Obiekt westchnień, niejaki Leopold, jest ponoć wizualnie bardzo atrakcyjny, tak przynajmniej twierdzą chłopaki z nerwów wzrokowych, do tego niezwykle sprawny w czynnościach quasi-prokreacyjnych, co znowuż potwierdza ekipa z jajników.

— Znaczy, dobry w łóżku przystojniak — wtrącił Lewa.

— Otóż to. Co więcej, w odróżnieniu od poprzedników wydaje się dbać o Ciało, otaczać ją czułą opieką i tak dalej. Można by rzec, partner idealny...

— *...tyle że wcale nie!* — Szept odzyskał zdolności artykulacyjne. — *Bo partia z niego żadna!*

— Szef twierdzi, że facet jest cokolwiek nieperspektywiczny — wyjaśnił Lewa. — Rzeźbiarz, zarabia od przypadku do przypadku, niepoukładany, wręcz chaotyczny, słowem, typowy artysta, w dodatku z nieco przerośniętym ego.

— *Właśnie!* — Głos Nie-Mózgu ociekał obrzydzeniem. — *Nie to, co pan Tadeusz...!*

— Absztyfikant z dobrego domu, biznesmen, sztywny, ale pewny — streścił Prawa. — Niestety, Ciało go nie chce, Serce nim gardzi, zaś lgnie do Leopolda.

— Aha... — odezwał się niepewnie Kość. — I... że tak głupio zapytałem... co w związku z tym?

— *Ha! Dobre pytanie!* — Nie-Mózg odzyskał wigor. — *Jak wiemy, w Ciele wszystko sprowadza się do odruchów i warunkowania! Wystarczy, że sytuacje związane ze zbliżeniami pomiędzy nią a tym... Leopoldem zaczynają kojarzyć się z nieprzyjemnymi doznaniem, Ciało sama zaczyna ich unikać, siłą rzeczy stroniąc od ich przyczyny...*

— Szef chce, żebyśmy ubolewali. — Uśmiechnął się głupio Lewa.

— I to dosłownie. Mamy boleć zawsze wtedy, gdy imię Leopold choćby znajdzie się w pobliżu — doprecyzował Prawa.

— *Ciało zaniecha kontaktów z tym... z tym f i r c y k i e m* — wyszeptał Nie-Mózg z odrazą. — *Jeśli pan Tadeusz... Nie śmiecie się! Jeśli pan Tadeusz zwietrzy okazję, a jestem pewien, że tak właśnie będzie, nasza Ciało spędzi resztę życia z tym inteligentnym, ustatkowanym życiowo człowiekiem. I tyle. Jak to mawiają, profit.*

— I co wy na to? — zapytał z uśmiechem Prawa.

— A wy? — Kość grał na zwłokę.

— Nam jest z gruntu wszystko jedno. — Wzruszył ramionami Lewa.

— Poza tym, że wreszcie się nie nudzimy.

— *Dodajmy, że nasza tajna strategia przyniosła już pewne sukcesy!*

— zaznaczył z satysfakcją Nie-Mózg. — *Odkąd założyłem SOWInę i zrekrutowałem braci Ósemków, udało nam się udaremnić Ciało i Leopoldowi romantyczny weekend w górach.*

— Boleliście? — domyślił się Robaczkowy.

— Boleliśmy — potwierdził z niejaką dumą Prawa. — Na zmianę, tak pulsująco, trochę od korzeni, trochę zapalnie, żeby było ciekawiej.

— No i podziałało. Ciało, zamiast w górach, spędziła weekend w domu na środkach przeciwbólowych. — Pokiwał głową Lewa. — Tak między nami — zniżył głos — ja tam do Poldka nic nie mam, fajny jest, do tego, co wiemy z autopsji, posiada niezwykle zdolności... językowe.

— Dosięgnął do nas, wyobrażacie sobie? — W oczach Prawej błysnął podziw. — Gdy się kiedyś całowali...

— *Dość tego!* — wrzasnął szeptem Nie-Mózg. — *Jeszcze jedno słowo pochwały pod adresem tego indywiduum, a posądzę was o zdradę i przejście na stronę Serca!*

— A właśnie, nie próbowaliście się z nim dogadać? — zainteresował się Kość. — Nie wiem, wytłumaczyć, przedstawić swoje racje...

— *Jeszcze czego!* — obruszył się Nie-Mózg. — *Z tym narwańcem nie da się normalnie rozmawiać! Nic tylko Poldek to, Poldek tamto... Kompletne fiksum dyrdum!*

— Nie pytajcie — westchnął Prawa. — Tak już jest i koniec.

— To jak? Wchodzicie w to? — Lewa spojrzał na nich wyczekująco. — Bez ciśnienia, ale z doświadczenia wam powiem, że pomimo absurdalności całej tej hecy bywa nawet zabawnie.

Kość zamyślił się, choć znał już swoją odpowiedź. Tę Robaczkowego, jak słusznie przypuszczał, również.

Nadzieja na to, że wstąpienie do SOWIny spowoduje drastyczne zmiany w jego codzienności okazała się tyleż naiwna, co płonna. Tydzień po



Ilustracja: Agnieszka Grygier-Głębocka (IG: @aga.g.art)

pamiętnym spotkaniu, zakończonym poleceniem czekania na sygnał od Nie-Mózgu, minął Kości w zasadzie tak samo, jak wszystkie dotąd — na niczym. Radość płynąca z przekonania, że wreszcie będzie Coś znaczył stopniowo przerodziła się w zniecierpliwienie, które znowu ustąpiło miejsca nudzie i zwątpieniu. Kość usiłował wypełnić tę pustkę, imaginując sobie przeróżne sytuacje, w których nagły ból kości ogonowej pcha życie Ciała na zupełnie inne tory, nadaje mu rozpędu, pozwala zostawić daleko w tyle niecnego artystę Leopolda i ruszyć ku świetlanej przyszłości za lokomotywą w postaci pana Tadeusza. Ciało i wszystkie jej narządy, każda, nawet najmniejsza komórka, wszyscy wiedzą, czyja to zasługa. Ci, którzy dotąd mu dokuczali, przepraszają go ze łzami w oczach, nawet ten gnojek Śledziona. Ba, nawet Serce, choć z początku złamane i obrażone, z czasem pojmuje, jak wiele mu zawdzięcza. Zaczyna hołubić, darzyć sentymentem... Kto wie, może nawet skłania Ciało, żeby zafundowała mu jakieś masaże? Jasne, kości niby się nie masuje, ale i tak byłoby miło...

Marzenia. Póki co, każdy kolejny dzień siał w nim coraz większe zwątpienie. Czekaj na sygnał, dobre sobie. Ileż można?

Jak się okazało, można było tydzień i cztery dni.

Gdy, jak co wieczór, Kość Ogonowa poczuł delikatne, miękkie pacnięcie, świadczące o tym, że Ciało zaległa przed telewizorem, jego uszu dobiegło cieniutkie łkanie.

Rozejrzał się. Nieopodał, przy kości miednicznej, stał Prawa Górna. Ledwo trzymał się na nogach, a z każdym chlipnięciem wydawał się gasnąć w oczach.

— Co się stało!? — Kość podbiegł do niego. Ząb wyglądał jak ostatnie nieszczęście. Po cynizmie i pewności siebie nie został nawet ślad.

— Lewa Dolna... — wykrztusił przez ściśnięte gardło. — Załatwili go...!

— Jak: załatwili? — Kość podtrzymał ślaniającego się Prawą.

— Wyrwali...! — krzyknął rozpaczliwie Prawa. — Już go nie ma, rozumiesz!?

— Uspokójmy się wszyscy! — rozległ się znajomy szept.

— Łatwo ci mówić...! — wydarł się Prawa. — To nie twojego kumpla usunęli szczypcami w narkozie...!

— *Lewa Dolna Ósemka poświęcił się dla naszej Sprawy* — obwieścił poważnie Nie-Mózg. — *Oddał życie za przyszłość Ciała. Poniósł ofiarę, która nigdy nie zostanie zapomniana. Nie możemy pozwolić, by jego wyrwanie poszło na marne...*

— Gówno prawda...! — Prawa zaniósł się płaczem. — Nic nie poświęcił, po prostu przesadził z boleniem, jak Leopold całował Ciało! Jemu się wydawało, że to fajna zabawa, że jeśli doda zapalenie miazgi, to będzie jeszcze śmieszniej...! I było, bo Ciało prawie ugryzła Leopolda w język, ale potem... potem Leopold w te pędy wziął ją na ostry dyżur, do takiej kliniki. Lewa jeszcze żartował, że przecież tak od razu go nie usuną, że przecież najpierw dadzą przeciwbólowe... — Głos uwiązał Prawę w gardle.

— *Dlatego właśnie* — w szepcie Nie-Mózgu zabrzmiały pompatyczne nuty — *wobec tej niewątpliwej tragedii tym bardziej musimy się zjednoczyć w dążeniu do osiągnięcia naszego wspólnego celu! Sytuacja jest doprawdy dramatyczna. Po zabiegu usunięcia naszego nieodżałowanego towarzysza broni Ciało dochodzi do siebie we własnym łóżku, zaś pielęgnuje ją nie kto inny, jak artysta Leopold. Na domiar złego najgorsze najwidoczniej już minęło, ból i dyskomfort ustąpiły, Ciało w najlepsze żartuje, a wręcz flirtuje z wybrankiem Serca, co może w każdej chwili przerodzić się w sytuację cokolwiek zbyt intymną. Jak donoszą nasi informatorzy z układu rozrodczego, cykl owulacyjny wszedł obecnie w najbardziej płodną fazę, co oznacza, że stajemy w obliczu niezwykle poważnego kryzysu. Jeżeli dojdzie do fizycznego skonsumowania związku i, strach pomyśleć, zapłodnienia, niechybnie uruchomiona zostanie tak zwana pułapka biologiczna, co grozić może zawarciem przez Ciało długotrwałej i sformalizowanej relacji z Leopoldem. Ofiara naszego towarzysza broni zostanie zmarnowana, podobnie jak przyszłość nasza i całego organizmu.*

— No dobra, to co mamy robić!? — Natchniony przemową wodza Kość poczuł przypływ sił bojowych.

— *Dalem już znać Robaczkowemu, liczę na to, że i kolega Prawa Górna znajdzie w sobie dość determinacji, by mimo wszystko wypełnić powierzone mu zadanie...*

— Już mi wszystko jedno... — wymamrotał Prawa. — Mam boleć, to będę bolał... Nie mam, to nie będę...

— *I to się nazywa duch walki!* — pochwalił z emfazą Nie-Mózg. — *Doskonale, plan zatem jest taki: dokładnie za... pięćdziesiąt uderzeń serca Robaczkowy ma zacząć boleć, zaraz potem do niego dołączymy...*

— My? — zdziwił się niemrawo Prawa. — Przecież ty nie bolisz.

— *Właśnie, że bolę!* — obraził się Nie-Mózg. — *Tak... metaforycznie!*

— Ciula tam! — Prawa otarł łzy. W jego tonie zabrzmiały wyzywające nuty.
 — Wysługujesz się nami, bo tak naprawdę sam nie możesz nawet zadawać bólu. To TY jesteś najbardziej niepotrzebnym narzędziem z nas wszystkich!

Po ostatnim, rozpaczliwie wykrzyczanym zdaniu zapadła martwa cisza.

— *Oj tam, zaraz niepotrzebnym* — Nagle dał się słyszeć wesoły, kobiecy głos. — *Może troszkę naiwnym, ale w ostatecznym rozrachunku uroczo przydatnym!*

— *Serce...!?* — W szepcie Nie-Mózgu zabrzmiało bezgraniczne zdziwienie. — *Co... Co ty... Co chcesz przez to powiedzieć...!?*

— *Och, nic takiego* — zaszczębiotał głos. — *Powiedz no, kochaniutki, jak wpadłeś na pomysł z SOWIną i całą tą „terapią bólową”?*

— *No...* — zawahał się Nie-Mózg. — *Najpierw pomyślałem, że żał mi tych naszych niepotrzebnych organów, potem, że miło byłoby im jakoś pomóc, a że strasznie nie lubię tego żalosego Leopolda...*

— *Otóż właśnie!* — zaśmiała się Serce. — *Czy ty się słyszysz, mój drogi? „Żał”, „miło”, „nie lubię”... Czy to ci brzmi jak podparte żelazną logiką wnioski?*

— *Więc to tak...!* — W pełnym zgrozy szepcie Nie-Mózgu zabrzmiało zrozumienie. — *Od jak dawna podpowiadałaś mi myśli? Kiedy przejęłaś nade mną kontrolę!?*

— *Oj, zaraz tam kontrolę, czasem tylko podszeptęłam to i owo. A od jak dawna?* — Serce zachichotała perliście. — *Od początku, głuptasie. Odkąd się znamy.*

Nie-Mózg przez dłuższą chwilę przetrawiał to, co właśnie usłyszał.

— *Więc te wszystkie bóle...* — zaczął ostrożnie Kość.

— *...były obliczone na efekt* — dokończyła Serce. — *Miały wzbudzić w Leopoldzie odruch opiekuńczy, jak widać, z całkiem niezłym skutkiem.*

— *Ale po co to wszystko!?* — zawołał żałośnie Prawa Górna. — *Nie mogłaś powiedzieć nam wprost!?* Bawi cię to!? Przez te twoje podchody Lewa Dolna...

— *Lewa Dolna Ósemka był mądrzejszy, niż wam się zdaje* — przerwała mu Serce. — *Powiedziałabym, że jedyny mądry w waszej wesołej ferajnie. Zorientował się, o co chodzi, aczkolwiek dopiero przed jakże niefortunnym wyrwaniem. Niemniej, domyślił się. Wiedział, za co oddaje życie. A że darzył Poldka sympatią... Cóż, odszedł z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.*

— *Ja cię... Ja cię kiedyś...* — zaczął Nie-Mózg, ale zamilkł

nagle. Nasłuchiwał przez chwilę. — *Cholera jasna, zapomniałem o* | 149
Robaczkowym...!

— *Och, już zaczął?* — zapytała słodko Serce.

— *Stop...!* — wrzasnął Nie-Mózg. — *Robaczkowy, zmiana planów!*
Odwołujemy akcję!

— *Za późno!* — zaśmiewała się Serce. — *Nie czujesz? Już boli!*

Ciałem targnęło. Kość poczuł bolesne łupnięcie o coś twardego.

— *Ups! Ależ gleba!* — Serce bawiła się w najlepsze. — *Ale spokojnie,*
Polduś zaraz wezwie pogotowie!

— *Jak możesz...!* — Głos Nie-Mózgu wibrował czystą nienawiścią. —
Jak śmiesz ryzykować zdrowiem i życiem Ciała...!

— *Po pierwsze* — spowaźniała błyskawicznie Serce — *jeszcze przed*
chwilą sam byłeś gotów zrobić dokładnie to samo. Po drugie natomiast...
Cóż, w życiu czasem trzeba trochę zaryzykować. Czasem nawet bardziej
niż trochę.

— *Ale po co...? W imię czego to wszystko!?*

— *To trywialnie proste, mój drogi Watsonie.* — Kość przysięgłby, że
Serce uśmiechnęła się szeroko. — *W imię miłości.*

Kość Ogonowa bolał. Tak konkretnie, przeszywająco, promieniując
do okolicznych mięśni i nerwów. Samopoczucia nie poprawiały mu
rytmiczne szarpnięcia i stuknięcia, uporczywie podrażniające końcówki
neuronów.

— *Jak tam, dajesz radę?* — rozległ się znajomy szczebiot.

— *Powiedzmy* — wycedził Kość. — *Bywało lepiej.*

— *Wytrzymaj jeszcze chwilę* — poprosiła Serce. — *Zaraz skończą.*

— *Coś mi się nie wydaje...* — jęknął. — *Poprzednim razem...*

— *Wiem, jak było poprzednim razem, ale spokojnie, za chwilę podsunę*
Mózgowi parę stymulujących obrazów. Z Rozrodczymi jestem ugadana,
tak więc spoko. Niedługo będzie po wszystkim i może tym razem się uda.

— *A propos Mózgu, nadal się gniewa?*

— *Trochę się focha, ale tak naprawdę niegłupi z niego narząd* —
Serce westchnęła, chyba z pewnym sentymentem. — *Dobrze wie, kiedy*
się wycofać i przyznać do porażki. Choć nie powiem, nieco zmienił
nastawienie, gdy okazało się, że „kryzys wyrostkowy” natchnął naszego

Poldusia do stworzenia wybitnej kolekcji rzeźb, błyskawicznie docenionej w kraju i zagranicą. Nagle nasz drogi artysta przestał być taki straszny, a jego związek z Ciałem stał się całkiem dopuszczalny.

— No fajnie, ale nie mogliby sobie znaleźć innego miejsca na prokreację? Nie wiem, miękkiego łóżka na przykład? — poskarżył się Kość. — Muszą na kuchennym stole?

— *Nie muszą* — przyznała Serce. — *Ale tak jest ciekawiej.*

Usiłując zignorować coraz szybsze uderzenia bólu, Kość Ogonowa przez chwilę znów poczuł się, *nomen omen*, boleśnie ignorowany. Niby jak dawniej — ale inaczej. Tym razem Ciało ignorowała go świadomie, w imię Wyższej Sprawy. Czy cokolwiek to zmieniało? Kość nie był pewien. Wiedział, że każdy z członków SOWIny odegrał swoją rolę w historii miłości Ciała i Poldka. Więc jednak byli ważni. Tylko inaczej.

POWSZECHNE PRZEMIESZANIE

Tro od kilku dni dosłownie umierało z przerażenia. Urodziło się takie... no takie. Takie właśnie. Od genezy własnego istnienia, od początku świadomości i sprawczości czuło się perfekcyjnie kompletne. Nie było próżne, skądże znowu. Było po prostu sobą i dobrze mu to bycie sobą wychodziło. A teraz Świat postanowił pozbawić Tro jaźni.

Powszechne przemieszczenie następowało rzadko, lecz gdy nadchodziło, dotyczyło każdej istoty, która zdołała przeżyć na tyle długo, by go doczekać. Nie pamiętano już, czy było to fizyczne prawo Wewnątrz czy może zwyczaj narzucony przez jakąś grupę bytów. Po prostu istniało. Istniało zawsze i nie nie wskazywało na to, że kiedykolwiek ustanie.

Istoty podobne Tro żyły na tyle krótko, że sprawa powszechnego przemieszczenia nigdy ich nie kłopotowała. Pewnie gdzieś indziej martwiłaby je martwość, nagle przerwanie funkcji organicznych zwieńczone pożegnaniem z własną istnością, jednak tu, w Wewnątrz, nie znano konceptu śmierci.

Schemat zawsze wyglądał tak samo: przed powszechnym przemieszczeniem rozpoczynał się wzmożony ruch. Czerwone korytarze, wąskie i pulsujące, gęstniały. Tro nie mogło nie wiedzieć, iż to chwila, w której trzeba brnąć przed siebie, na Rozstaje Pięciu Dróg. Ciało bezwiednie parło naprzód w stronę Centrum.

Jedne istoty traktowały wijące się tunele jak zjeżdżalnie, inne płynęły dostojnie, kolejne unosiły się w powietrzu lub skakały, naprzemiennie tonąc w miękkiej nawierzchni i wynurzając się zeń. Tylko Tro pełzło powoli, jakby przeczuwając, że dzieje się coś złego.

Korytarze były purpurowe i nierówne. Były ciepłe, huczące i elastyczne. Były przyjazne i tłoczne, oswojone i takie pomieszczone. Były Światem i schronieniem. Były drogą, która zawsze zwracała się we właściwym kierunku. A teraz stały się domem, który postanowił wypłuć lokatorów.

Może gdyby którykolwiek z tych bytów wiedział, że powszechne przemieszczenie jest rozstaniem z jaźnią i materią, relokacją, wyzbyciem się samego siebie, nieodwracalną zmianą stanu skupienia, trakty drgałyby od

szlochów. Jednak ciągnąca je ku Rozstajom Pięciu Dróg siła sprawiała, że szły ochotczo. Konieczność i naturalność przemiany wpisano w ich egzystencję.

Z jakiegoś powodu nic z tego nie dotyczyło Tro. Tro się bało. Tro wzbraniało się przed wędrówką. Tro nie pragnęło ani nie akceptowało przemieszania. Małeńka powłoka obijała się o innych wędrowców, gdy próbowało zawrócić, korytarze jednak zaprojektowano w taki sposób, by kołyszące drgania zawsze ciągnęły mieszkańców tylko w jedną stronę.

Na Rozstaju Pięciu Dróg następował rozpad. Każda istota oddawała pięć części innemu bytowi, przyjmując od niego tyle samo materii. Tro dowiedziało się o tej regule samoistnie. Po prostu weszło w trochę węższy kanał, a potem znalazło się w Centrum, w którym działa się rzeczywistość. W Wewnątrz sprawy zawsze następowały po sobie we właściwej kolejności, a każdy, kto im podlegał, poddawał się wyższej woli.

Przez krótki czas Tro zgadywało, co się stanie. Pięć części materii to mało czy dużo? Zmieni się całe czy tylko trochę? Zostanie Wewnątrz czy powędruje do Nie-Wewnątrz? Dokąd trafi? I czy nadal będzie pamiętało, że istnieje? Brak wspólnoty doświadczeń okaleczał prawie tak boleśnie, jak Rozstaje Pięciu Dróg. Gdyby istniały głosy i słowa, można by zostawić znaki. Skoro powszechne przemieszanie nadchodzi z Nie-Wewnątrz, na krótką chwilę korytarze opustoszeją, lecz potem znów zapełnią je istoty nieświadome losu. Czy Nie-Wewnątrz też jest Światem? Czy żyje, pulsuje, wsysa w tkanki tych, którzy tam mieszkają? Jak ostrzec przed czymś nagłym, przed siłą, która prędzej czy później nadejdzie i zagna do Centrum nowe istoty? A może nie wolno wiedzieć. Trzeba nie wiedzieć. Należy po prostu poddać się prawu.

Strach Tro gęstniał. Znajome kształty podchodziły do kurczącej się i rozciągającej w spazmach skurczów jamy, gdzie znikwały. Ogromna dziura, wchłaniając, zamykała się, by po chwili rozewrzeć przed kolejną porcją materii. Czy gdyby Tro wiedziało od zawsze, bałoby się mniej?

Nagle poczuło, że coś ciągnie je w stronę ciemności. Bardzo chciało pozostać sobą, istnieć Wewnątrz, nie zaś w obcym Nie-Wewnątrz po drugiej stronie pulsującej jamy. Zaparło się całą siłą słabej woli. Dokądkolwiek trafi, pozostanie Tro. Nawet jeśli ubędzie mu pięć części materii. Nawet jeśli jakieś obce ciała lub myśli zostaną z nim zespolone. Jest jedno i nierozdzielne. Jest sobą. Jest Tro. Na zawsze.

Rzeczywistość zafalowała, rozpoczęło się przemieszanie.

— Znowu się nie udało — westchnęła istota tak ogromna, że mogłaby stanowić osobny Świat, całe wielkie, nieprzebyte Nie-Wewnątrz. W jej głosie dało się słyszeć ulgę, swoistą satysfakcję.



Ilustracja: Oliwia Izdebska (IG: @izdewiaart)

Dwa inne byty, kilkakrotnie większe, popatrzyły po sobie z lękiem i rozczarowaniem. Z jakiegoś powodu ich myśli i odczucia były słyszalne.

To za wcześniej, może należało poczekać te kilka eonów, gdy pójdzie do szkoły i tam dostanie profesjonalny Kreator? A może po prostu trzeba się pogodzić, że nie ma talentu i już. Żaden to wstyd. Może z materią nieorganiczną będzie lepiej?

— Mamo, tato, to nie jest człowiek! — zawołała z podnieceniem istota.

Lubiła wprowadzać rodziców w konsternację. Czasem zdawało im się, że czyni to celowo, zupełnie jakby zależało jej, by trwonić materię na głupstwa.

— Patrzcie, jaka śliczna. Wyciąga do mnie łapkę. To on czy ona? Hm. Chyba ani to, ani to. Ono. Nazwę ją Tro.

— Truth — odruchowo poprawił ojciec. Czy ona kiedyś przestanie sięplenić? Jest już taka duża... — Prawda? Chcesz nazwać tę pokrakę, ten zlepek materii, Prawdą?

— Tro — potwierdziła istota.

— Dobrze, kochanie. — Matka skapitulowała. — A tymczasem wyczyść Kreator i wróć do mieszania, dobrze? Musisz dużo mieszać, jeśli chcesz, by kiedyś wyszedł z tego człowiek.

KOMPROMIS

Zdyszany Posłaniec ostatkiem sił złapał za klamkę i nabierając haust powietrza, wszedł do mózgobiura.

— Dobry — wycharczał i podał stojącemu na środku pomieszczenia Istotowi skrzącą się wyładowaniami elektrycznymi niewielką rolkę metalizującego materiału.

Istot, przeczuwając wieści, obrzucił Posłańca złym spojrzeniem, po czym odebrał przedmiot, chwytając go od razu w dwie dłonie. Opuścił głowę, rozwinął wiadomość i zaczął wodzić oczyma po linijkach tekstu. Kolejne dwie dłonie Istota zacisnęły się w pięści, a chwilę później rolka poleciała na ścianę. Przedmiotowi nic szczególnego się nie stało, ot odbił się od twardej powierzchni i zjechał na podłogę, gdzie już pozostał.

— Mogę wody? — Posłaniec wskazał karafkę, która stała na szarym stoliku.

— Możesz — syknął przez zęby Istot i zaczął krążyć po mózgobiurze. — Jak ono to sobie wyobraża? Czy ono nie myśli?

Posłaniec wychylił połowę szklanki zimnego płynu i skrzywił usta.

— Nie sędzę. Nie należy do jednostek myślących — odpowiedział. — Od myślenia...

— Wiem, wiem — zirytował się Istot i podszedł do leżącej na podłodze rolki. — Nerwy mnie ponoszą, jak widzę taki durny zestaw żądań. Czytałeś to?

Istot podniósł nieszczęsny przedmiot i znów na niego spojrzał.

— Ano, czytałem — przyznał Posłaniec po opróżnieniu całej szklanki. — Co innego miałem robić po drodze?

— Spójrz tylko, jaki idiotyzm! Żąda bielszych zębów, gęściejszych włosów, blasku oczu i redukcji tkanki tłuszczowej! Przecież ostatni punkt zakrawa o bezczelność. Nam ten tłuszcz jest potrzebny w razie choroby! Jak ono to sobie wyobraża?

— No może zamień tylko część tłuszczu na włosy i wybłyszcz nim oczy. A zęby...

Na widok wbitego w siebie wzroku Istota Poślaniec taktycznie zamilkł.

— Takie zmiany wymagają miesięcy pracy — zaczął wyjaśniać Istot. Robił to całkiem niepotrzebnie, ale lubił podkreślać wagę problemu. — Nawet gdybym się zgodził, to muszę uruchomić sporo obszarów naszej instytucji, przestawić magazynowanie na produkcję, a te procesy trwają!

— Ono twierdzi, że tym razem cel uświęca środki. A ty przecież dysponujesz możliwościami, żeby podkreślić pewne procesy, prawda?

— Głos nie zdradzał żadnych uczuć. Poślaniec nalał sobie kolejną szklankę wody i spojrzał wyczekująco na Istota, który wyglądał, jakby miał go zaraz obrzucić stekiem najgorszych rynsztokowych wyzwisk.

— Mógłbyś napisać odpowiedź?

Istot sapnął, pokręcił głową i bez słowa zasiadł przy ogromnym pulpicie, który ciągle buczał i migotał tysiącem kolorów. Położył wszystkie cztery ręce na znajdującej się przed nim klawiaturze i po kilkunastu sekundach w rękach Pośłańca znalazła się już odpowiedź na rolce. Poślaniec szybkim ruchem opróżnił szklankę, odstawił ją i złapał rolkę.

— To nara — rzucił już w drzwiach do Istota, który zdążył jedynie przeciągle westchnąć ze zrezygnowanym wyrazem twarzy.

Poślaniec z ulgą wskoczył w najbliższy transport i od razu spojrzał na skrzącą się piorunkami rolkę. Czytając to, co napisał Istot, zaśmiał się tak głośno, że zwrócił uwagę pozostałych podróżujących. Przeprosił skinieniem głowy wszystkich Tragarzy i Pośłańców, po czym wrócił do lektury. Stwierdził, że przy całej swojej mądrości Istot jest jednak kretyńcem, skoro uznał, że Istota mu odpuści.

Narastające dudnienie oznajmiło mu, że zbliża się do celu. Na jego ustach pojawił się błogi uśmiech. Uwielbiał to miejsce pełne ciepła, radości i uczuć, tak inne od zimnej siedziby Istota. Jego współpodróżni również zaczynali zdradzać coraz lepszy humor. Niektórzy kiwali się w rytm dudnienia, inni wręcz podrygiwali. Światło też pulsowało jakby w rytm narastającego dudnienia, a atmosfera w transporcie bardziej już przypominała niezłą techno imprezkę niż środek lokomocji. Kiedy dudnienie stało się już bardzo głośne, a podróżnicy bawili się w najlepsze przy migającym świetle i mocnych basach, Poślaniec wyskoczył z transportu i tanecznym krokiem doszedł do sercobiura.

Istota płasła z rozłożonymi rękami i rozrzuconymi lokami o barwie świeżej krwi. Nucila przy tym melodię wpasowującą się w rytm dudnienia. Poślaniec, patrzył na nią z zachwytem młodzieńca zauroczonego

najpiękniejszą panną na balu. Nagle go dostrzegła, zatrzymała się w miejscu, a dudnienie zgubiło rytm. Ale kiedy Istota uśmiechnęła się szeroko do Posłańca, wróciło do normy.

— Jesteś już z odpowiedzią
— stwierdziła Istota. — I co ten obmierzły, szary cymbał napisał?

— Sama przeczytaj. — Podał jej rolkę. — Mogę soku?

— Możesz — mruknęła Istota.

Posłaniec szybko wychylił szklanek czerwonego, słodkiego napoju. W mózgo biurze zawsze mieli tylko wodę. Na szczęście w sercobiurze dbali, żeby napoje były słodkie i smaczne. Istota przebiegła wzrokiem po tekście, westchnęła teatralnie i zmieniła wyraz ślicznej twarzy. Teraz spojrzała na Posłańca prawie złym wzrokiem.

— On tak na poważnie? — zapytała z wyczuwalnym jadem w głosie. — Niby taki mądry, a zapomniał, czym to grozi?

Posłaniec czuł, jak blednie.

— Istotko — zaczął najłagodniej, jak tylko potrafił — on jest bardzo zapracowany. Musi panować nad wszystkimi narząd...

— Nie kończ! — W oczach Istoty zapłonął ogień. Podeszła do Posłańca tak blisko, że jej falujące loki zaczęły muskać go po czole. — Napisałam temu bydlakowi, że to jest TEN moment i nic,



nawet rak trzustki nie przeszkodzi mi w osiągnięciu celu, rozumiesz?

— Napisz mu to, a ja zaniosę i proszę cię bardzo, nie denerwuj się, bo zaraz dostaniemy zawału. — Starał się brzmieć spokojnie, przerażony zaburzonym nagle rytmem.

Istota sapnęła, pstryknęła palcami. W jej dłoniach pokazał się skrzący piorunkami arkusz i piękne złote pióro. Szybкими ruchami skreśliła kilka zdań, po czym podała przedmiot Posłańcowi.

— Mam nadzieję, że pomożesz mi przekonać tego nadętego cymbała, że mam rację — rzuciła z wysoko uniesioną głową. W głosie Istoty usłyszał ostrzeżenie.

— Istotko, jestem jedynie Posłańcem, nie mogę wiele. — Kiedy zobaczył, jak w jej oczach znów pokazują się czerwone błyski, dodał: — Ale oczywiście zrobię, co w mojej mocy.

— On musi zrozumieć, że ten egzemplarz jest idealny i zrobię wszystko, żeby osiągnąć cel.

— Tym bardziej się postaram. — Uśmiechnął się, by bardziej zaakcentować swoją deklarację.

Istota od razu zmieniła nastawienie, uśmiechnęła się lekko, a błyski złości zgasły. Zrobiła krok w tył i powoli zaczęła znów płaszać.

— Więc biegnij, Posłańcze, po dobre wieści. — Prawie już zaśpiewała w rytm i zaczęła obracać się wokół własnej osi.

Posłaniec jeszcze chwilę patrzył, jak jej czerwone, długie loki wirują w tańcu i z westchnięciem żalu, że musi stąd wyjść, opuścił sercobiuro. W transporcie stanął obok innego Posłańca. Biedak był jakiś taki blady, chudy, a w rękach trzymał cały pęk rolek. Nie ruszała go nawet imprezowa atmosfera tej części Organizmu.

— Cześć, dla kogo biegasz? — zagał rozmowę.

— Z Hormonami biegam — odpowiedział z westchnięciem. — Nie wiem, co im ostatnio odbija. Zastanawiam się, czy narządów nie opętało jakieś zapalenie...

— To nie to. — Posłaniec pokręcił głową i pokazał mu rolkę zapisaną przez Istotę. Hormonalny spojrzał i rozdziawił usta, po czym szeroko się uśmiechnął.

— A, o to chodzi! No teraz wszystko jasne. Oby tym razem się udało.

— Oby, bo to już czwarte podejście.

— Może do czterech razy sztuka. — Hormonalny wzruszył ramionami.

— Czas byłby najwyższy, bo Organizm nie jest już w szczytowej formie.

— Dlatego, wbrew regulaminowi Posłańców, zrobię wszystko, żeby

tym razem się udało.

Kiedy imprezowa atmosfera już całkowicie zanikła, zrobiło się nudno i jakoś tak racjonalnie szaro. Posłaniec wyskoczył z transportu i poszedł do mózgobiura.

Istot stał z założonymi rękami. Przywitał Posłańca zimnym spojrzeniem.

— I co? — burknął.

— No chyba jesteś na straconej pozycji — odezwał się odważnie i podał mu rolkę. — Jak zwykle.

Istot aż otworzył usta z oburzenia.

— Jak możesz?!

— A kto mi zabroni? — Posłaniec wzruszył ramionami i podszedł do stolika z wodą. — Najpierw przeczytaj.

Istot czytał, a Posłaniec przyglądał się, jak szara twarz szefa mózgobiura zmienia kolor na zielonkawą. Nagle zgniótł w dłoniach arkusz i zacisnął szczęki. Spojrzał z wściekłością na Posłańca.

— Nie odważy się — wycharczał. — Ona nie może...

— Istot, bądź taki rozumny, jak wszyscy sądzą, że jesteś — przerwał mu Posłaniec. — Istota wszystko może. Jeżeli zagroziła ograniczeniem dostaw tlenu i glukozy do twojego kochanego mózgu, to zrobi tak na sto procent. I jak sobie wtedy poradzisz? Jeżeli doprowadzi do stanu przedzawałowego, wszystkie inne organy będą miały do ciebie pretensje, że to twoje działania zmusiły ją do takiego postępowania.

— Ale to nie jest racjonalne zachowanie! Ona jest niepoważna, zapatrzona tylko w swój uczuciowy czubek nosa!

— Ale gra jest warta świeczki. Za nowy Organizm chyba warto się trochę wysilić, prawda?

Istot jakby stracił rezon. Ramiona mu lekko zwisły i znów spojrzał na pognieciony arkusz z pogroźkami Istoty.

— Nowy Organizm — mruknął. — Wyprodukować nowy Organizm byłoby dopiero wyzwaniem.

— A redukcja tkanki tłuszczowej i wyblęszczenie oczu jest chyba niewielką ceną za taki finał, prawda? — podpuszczał go dalej Posłaniec.

— Jeszcze włosy...

— No wiesz, czymś musimy skusić materiał genetyczny do stworzenia nowego Organizmu. — Posłaniec rozłożył ręce.

Istot sapnął, powalczył jeszcze ze sobą i w końcu kiwnął głową.

— Dobra, przekaż jej, że się zgadzam. Ale jak tym razem nie doprowadzi do stworzenia nowego Organizmu, to wyrzucę połowę włosów i zmagazynuję tyle tkanki tłuszczowej, że pożałuje.

Posłaniec jedynie kiwnął głową i wybiegł z mózgobiura cały szczęśliwy. Wskakując do transportu, pomyślał, że jeżeli w grę wchodzi uczucia, rozum zawsze da się oszukać.

KRYPTONIM - MÓZG DONOVANA

1.

Księżyc Ziemi, Układ Słoneczny, rok 3077

Adán Gomez, szef placówki Luna-Galle A, postukał palcami w biurko. Zastanawiał się, co zrobić z fantem, który niespodziewanie spadł mu na głowę niczym krata szybu wentylacyjnego. Wzdrygnął się na to porównanie i odruchowo złapał za czerep. Oberwał taką za dzieciaka i zawsze przywoływał to mało przyjemne wspomnienie, gdy coś nagle spadało na jego głę... to znaczy na barki.

Problem był spory. Z kolonii karnej przywieźli mu Normana O'Briena, skazanego za brutalne morderstwo połowy marsjańskiej wsi Siergiejewka. Zbrodnia tak okropna, że nawet Ochrana początkowo nie wierzyła, że coś takiego mogło się wydarzyć w niemal samym sercu Imperium. W każdym razie, jak go pojмали, ten stał pośrodku wsi zabrudzony od stóp do głów czerwoną posoką. Upajał się tym, co zrobił, wręcz przeżywał ekstazę. Podobno stał w jednym miejscu przez kilka dni i nocy. Gdy już został pojmany i zaciągnięto go w kajdanach najpierw przed sąd, a potem do transportu ku kolonii karnej, nie wyrażał skruchy, a wręcz przeciwnie, drwił. I z Ochrany, i z obywateli Imperium, i z samego Imperatora. Anton z udmurckiego rodu Kajsinów, Samodzierżawca i Opiekun Imperium i jego Obywateli doprawdy jest łaskawy, skoro puścił mimo uszu takie obrzydlistwa pod swoim adresem.

Zastanawiało go, czemu ktoś podjął decyzję, by ściągnąć go tak blisko stolicy Imperium. Gdyby zwał, Ziemia miałaby kolejny, nawet nie potencjalny, problem. Już wojna dawała się wszystkim we znaki na każdej planecie niezależnie od tego, jak daleko była położona od linii frontu. Nadwyrężonym nerwom mieszkańców nie potrzeba informacji, że psychopata chodzi sobie wolny po powierzchni planety-stolicy, gotowy znów odebrać komuś życie.

Już miał wcisnąć przycisk interkomu i poprosić o kawę, gdy otworzyły się drzwi. Spojrzał w ich kierunku i prawie zleciał z krzesła. Sam nie bardzo wiedział, czy to z powodu munduru Ochrony czy też jego nosiciela. Psowaty pysk, ogon, wypisz wymaluj stał przed nim autochton ze Slavi. Adán pierwszy raz widział takiego na żywo. Urodzony i wychowany w księżycowej placówce, gdzie także odbył służbę wojskową, nie miał zbyt wielu okazji, by spotkać się na żywo z innymi gatunkami zamieszkującymi Imperium. Księżyc był zbyt ważnym obiektem strategicznym, by wpuszczać do pomniejszych placówek kogoś spoza, a tym bardziej teraz, gdy trwała wojna z najeźdźcami z Andromedy.

— Siergiej Jurjewicz Lussow. — Oficer zasalutował.

Szef placówki nie był specjalnie zdziwiony imieniem i otczestwem oficera. Wśród Wulfitów, jak nazywano autochtonów ze Slavi, wielu przyjęło ziemskie, głównie rosyjskie, imiona.

— Adán Gomez. — Wstał i odpowiedział na salut, przykładając prawą rękę do skroni. Speszył się jednak, zastanawiając się, czy nie popełnił gafy, bowiem nie miał na głowie czapki. Wojskowe przyzwyczajenia potrafią wyjść w najmniej spodziewanych momentach.

— Spocznijcie. Przyszedłem w sprawie, która was trapi. Wiem, że przetrzymywanie O'Briena, nawet pod kluczem, jest nad wyraz stresujące.

— Nie przeczę. Właściwie, dlaczego ściągnęliście go tutaj?

— Na Marsie jest zbyt wielu, którzy chcieliby wykonać na nim sprawiedliwy wyrok. Na tamtejszych strażników też bym nie liczył. Zabiliby go przy pierwszej okazji. Ludzie kochają samosądy, co niejednokrotnie udawadniała historia.

Oficer rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby poszukiwał kamer lub czegoś w tym guście. Wyciągnął z teczki plik zszytych papierów. Adán spojrzał na nie i przeczytał kilka linijek. Jak można się spodziewać, wyłożono mu papiery z klauzulami poufności i wypisanymi konsekwencjami za ich złamanie.

Oficer Ochrony bez słowa podał mu pióro. Gomez wziął je, przeczytał co ważniejsze punkty i złożył podpis. I tak nie miał większego wyboru, podpisanie dokumentu było czystą formalnością.

— Zatem, czego oczekuje ode mnie Ochrona? — powiedział, oddając oficerowi pióro.

— Miejsca na mały eksperyment. — Lussow uśmiechnął się, ukazując

— To ma w ogóle szanse powodzenia?

— To się okaże. Sami wiecie, że w czasie wojny trzeba sięgać po różne metody. Nawet te niekonwencjonalne. O wrogu wciąż nic nie wiemy. Nadal nie złamaliśmy ich szyfrów i języka, więc mamy problem. Do tego są niesamowicie uparci, nie są w stanie ich złamać najgorsze tortury.

— Dlatego chcecie wejść im bezpośrednio do mózgów?

— Coś w ten deseń.

— Wszystko fajnie, tylko mógłbym wiedzieć, skąd weźmiecie ochotnika do tego bądź co bądź ryzykownego eksperymentu?

— O to niech was, towarzyszu, głowa nie boli. Już znalazłem głu... eee... to znaczy gieroja do podjęcia takiegoż ryzyka.

2.

Gdy przychodzi do ciebie Ochrana, z reguły oznacza to dwie możliwości. Albo podpadłeś, albo ci sztywniacy czegoś od ciebie chcą. Przyznaję, że moja nieoficjalna działalność gospodarcza w bazie Luna-Moltke nie należała do uczciwych. No ale kto nie handluje sprowadzanymi na lewo gazetami i filmami w bazach, do których prawie nikt nie ma dostępu? Niby jakaś tam sieć była, ale lokalna, skupiająca obiekty na powierzchni Luny i niepodłączona do Sieci Imperialnej. Aktualizacje w niej robili średnio co dwa lata, ale tak było przed inwazją. Teraz prawie nic nowego nie przychodziło. Nuda, monotonność i oglądanie tego samego non-stop sprawiały, że ludzie już na poważnie zaczęli się czuć w placówkach księżycowych jak więźniowie. Rodzisz się, żyjesz, pracujesz i umierasz na Księżycu, takie to teraz popularne było powiedzenie.

Fakt, że nie trafiłem do karceru w bazie Luna-Moltke, tylko od razu przenieśli mnie do Luna-Galle A świadczy, że Ochrana ma wobec mnie plany. Może przymkną oko na lewe ściąganie?

Nie, raczej nie.

Cholera, mam nadzieję, że żołnierze z którymi się dogadałem, nie dostali skierowania do kompanii karnej.

Z zamyślenia wyrwało mnie nagłe otwarcie drzwi celi. Odwróciłem głowę. Do pomieszczenia, w którym przebywałem, wszedł oficer Lussow

w towarzystwie dwójki policjantów uzbrojonych w ciężkie metalowe pałki. Miałem już nieprzyjemność spotkać się z nim, to właśnie on mnie aresztował i skierował do innej bazy.

— *Idou!* — To było jedyne słowo, jakie od niego usłyszałem. Krótko i zwięźle, jak to mają w zwyczaju oficerowie Ochrony.

Posłusznie wstałem i zacząłem iść w kierunku wyjścia. Lussow wyszedł dopiero za mną. Jeden z policjantów założył mi na głowę worek, obrócił kilka razy i dopiero wtedy ruszyliśmy dalej, maszerując przez korytarze bazy.

Worek ściągnięto mi... w sumie nawet nie wiem, po jakim czasie. Z pewnością upłynęło kilka, góra kilkanaście minut, nim dotarliśmy do pomieszczenia, które przypominało salę tortur.

Po bokach stali wyposażeni w pałki już nie policjanci, a funkcjonariusze OMON-u, oraz żołnierze w pancerzach wspomaganych. Po środku znajdowało się kilka komputerów, dziwne urządzenie oraz dwa krzesła, z czego jedno było już zajęte przez...

Gdyby nie stojący obok policjanci i oficer Ochrony, najpewniej wybiegłbym z pomieszczenia szybciej, niż kula opuszcza lufę w czasie strzału. Choć o nowości w księżycowej placówce było trudno, przepływ informacji, tych najważniejszych naturalnie, nie odstawał od reszty Imperium. Jak sądzę, nie było na Księżycu i innych miejscach człowieka i kosmity, który nie słyszałby o mordzie dokonanym przez Normana O'Briena. Nic dziwnego, że zorganizowano taką obstawę.

Odpowiedź na pytanie o swoją rolę w tym dziwnym zbiegowisku poznałem niedługo po tym, jak ujrzałem O'Briena. Udzielił jej oczywiście Lussow.

— Widzicie, towarzyszu, macie w zasadzie dwie możliwości. Pierwsza, lądujecie z powrotem w Luna-Moltke i od razu trafiacie do karceru na parę lat, albo też weźmiecie udział w małym eksperymencie, a w zamian otrzymacie amnestię.

Jeden z ludzi podszedł do oficera Ochrony i podał mu teczkę z dokumentami.

— Jeśli chcecie wziąć udział w eksperymencie, podpiszcie. — Wyciągnął plik kartek.

Szybko je przejrzałem. Decyzję podjąłbym nawet bez czytania. Standardowe klauzule poufności i konsekwencje ich złamania zna chyba każdy mieszkaniec Imperium.

Oficer wyciągnął ku mnie pióro. Wziąłem je i bez wahania podpisałem.

— Świetnie. A teraz wprowadzę was w szczegóły naszego eksperymentu.

Siedziałem już w fotelu koło głównej części maszyny. Lussow streścił mi wszystko, o czym powinienem wiedzieć.

— Czyli, jak rozumiem, wejdę w jego umysł i tam będę musiał zlokalizować przyczynę psychozy?

— W skrócie, tak. Uprzedzając pytanie. Możesz tylko domyślać się, po co nam ta technologia. I mniej wiesz, tym lepiej śpisz.

— O to akurat nie chciałem spytać, bardziej interesuje mnie amnestia. Ale pytanie mam. Czego mogę się spodziewać w jego głowie?

— Będziesz w krainie jego fantazji, a co w niej jest, to naprawdę nie moja dzialka. Sądząc po jego czynach, możesz, a raczej powinienes spodziewać się wszystkiego. Jego głowa może być istną karuzelą spierdolenia.

Podpięli mnie do tego ustroju. Poczułem w głowie nagły impuls i przed sobą zobaczyłem świetlisty tunel.

3.

A więc tak wygląda umysł szaleńca, pomyślałem nieco ironicznie, gdy stanąłem na marsjańskiej łące, a nie, jak się spodziewałem, na pobojoisku pełnym trupów. W sumie, czego mógłbym się spodziewać? Raczej nie tego, co ukazał ten starożytny film od Disneya. Albo równie stary serial animowany, który przedstawiał, jak funkcjonował organizm przy pomocy antropomorficznych krwinek i innych ciałek.

Zrobiłem pierwsze niepewne kroki w krainie fantazji O'Briena. Raz dwa, raz dwa. Nic się nie działo, ale uczucie niepokoju nie chciało mnie opuścić. Po ciarkach, jeśli mogę tak powiedzieć, przechodziły mi dreszcze. Niech coś się w końcu stanie, pomyślałem. Nie wiem, co gorsze w siedzeniu w głowie psychopaty: że coś się dzieje czy wręcz przeciwnie.

Jak na ruch czarodziejskiej różdżki przede mną pojawiły się ruiny zamku. Nie mając innego wyboru, udałem się w ich kierunku. Żałowałem, że nie nosiłem żadnej broni, choć nie wykluczałem, że mogę coś znaleźć po drodze.

Docierałem już do ruin, gdy zobaczyłem pokrytą mchem i innymi roślinami tabliczkę z nazwą. Ciarki przeszły mi po plecach, gdy zobaczyłem napis:

Dia ad aghaidh 's ad aodann... agus bas dunach ort! Dhonas 's ort, agus leat-sa!

Lokalizacja i cytaty z opowiadania „Szczury w murach” Howarda Phillipsa Lovecrafta. Jeśli O'Brien ma manię do horrorów, wolę nawet nie myśleć, na jakie okropności tu trafię albo jakie na mnie wyśle, by...

No właśnie, co?

Czy może mnie zabić, gdy siedzę w jego głowie?

Pełen obaw, wszedłem na teren ruin, wytyczając w miarę możliwości słuch. Szczury to jedno, natomiast zdegradowane istoty ludzkie — drugie. Choć z innej strony, kto powiedział, że nie zaatakują mnie tutaj inne pomioty wymyślone przez ojca horroru?

Jak na złość, gdy o tym pomyślałem, obok mojej prawej stopy wbiła się wystrzelona strzała. Odskokczyłem, potykając się niefortunnie. Poleciałem na ryj, moje szczęście, że wszystko ma miejsce w głowie O'Briena, inaczej coś bym sobie złamał.

Ledwie podniosłem głowę, a już byłem otoczony przez, jakżeby inaczej, zdeformowanych humanoidów i pomioty Dagona. Wszyscy mierzyli do mnie z włóczni. Powiedzieć, że sytuacja była patowa, to jak nic nie powiedzieć.

Część z otaczających mnie stworzeń cofnęło się, a w powstałej wyrwie pojawił się nie kto inny, jak O'Brien we własnej osobie. Jego wygląd był surrealistyczny, jeśli weźmie się pod uwagę otaczające nas miejsce i monstra. Oto nosił na sobie białopurpurową rzymską togę. Pstryknął palcami i...

...już obaj byliśmy w zupełnie innym, choć równie niezbyt przyjemnym miejscu. Siedzieliśmy obok siebie na widowni w rzymskim Koloseum. W mojej dłoni pojawił się złoty puchar, który skąpo ubrana niewolnica nappełniła czerwonym winem.

— Piękne miejsce, czyż nie? — zapytał bez cienia złośliwości czy pogardy O'Brien. — Ach, Terra, szkoda, że musiała trafić się ta nieszczęsna wojna. Dziewięć lat, a końca nie widać.

Upił wino ze swojego pucharu. Powąchałem swój, oczywiście niczego nie poczułem, w końcu ono nie istniało. Fizycznie, bo metafizycznie rzecz biorąc, wyobraził je sobie O'Brien. Z ciekawości przechyliłem naczynie, ani jedna kropla nie spadła na lśniąco biały marmur.

— Nie ma. — Uśmiechnął się. — Pijcie, na wasze zdrowie.

Upiłem, albo raczej wykonałem czynność wyglądającą jak picie, bo usta i gardło nie zostały zwilżone, a wino nie miało materii. To tylko wytwór jego wyobraźni i nic więcej, pomyślałem.

— Może i wytwór, ale przyznasz, że realistyczny. Nie próbuj przede mną ukrawać swoich myśli. W tej głowie — popukał się w skroń — ja jestem bogiem.

Niewolnica ponownie napelniła mu puchar, „moja” na razie stała z boku, czekając, aż wybije do dna całe nalane mi wino.

— No, niech zgadnę. Ochrana kazała ci sprawdzić przyczynę mojej psychozy? Chcą wiedzieć, co zmusiło z pozoru normalnego człowieka do tak okrutnej i obrzydliwej zbrodni?

— Cóż... tak. — Przyznałem mu rację, nie było sensu kłamać. — Nie wiem, po co im ta technologia, tak szczerze interesuje mnie tylko amnezja...

O'Brien pstryknął palcami i znowu zmieniło się otoczenie. Tym razem znaleźliśmy się w barze. Mój „gospodarz” siedział na sali i śmiał się w niebogłosy, podczas gdy ja stałem jak głupek na scenie przed mikrofonem i z karteczkami w dłoni.

— Rozwaliłeś system, jesteś najlepszym komikiem, jakiego do tej pory słuchałem. Amnestia! Genialne! Kurwa, genialne!!!

Gestem przywołał piersiastą kelnerkę w stroju jak z ziemskiego Oktoberfestu, która przyniosła mu dwa duże kufle piwa. Sądząc po osadzonej na niej wilgoci, musiał wyobrazić sobie naprawdę dobrze zmrożone.

— Siadajcie, towarzyszu komiku!

Nie zdążyłem zrobić kroku, gdy O'Brien ponownie pstryknął palcami, a ja w mig już siedziałem obok niego. Tym razem nie zmienił lokalizacji, dalej siedzieliśmy w tym samym barze. Odniosłem wrażenie, że zaczęła nawet grać jazzowa muzyka z początku dwudziestego stulecia.

— Amnestia, wy chyba nie wiecie, co oznacza to w żargonie Ochrony w czasie wojny? — Upił nieco piwa. — Wiecie, co z wami robią, jeśli nie usmażycie sobie mózgu? Nie wiecie, to wam powiem. W Imperium nie ma tolerancji dla recydywy, nawet o tak niskiej szkodliwości społecznej jak ty, przemysłowiku pornoli.

— Nie prze...

— Nieważne. Jak tylko wykonasz zadanie, Lussow wcieli cię do kompanii karnej i tyle będzie z twojej amnestii. Uwierz, ten kundel, jak i całe to mambo-jambo z Ochrony, robi ci z życia jesień średniowiecza. Mnie najpewniej rozwałą, gdy przestanę być potrzebny, czytaj, zaraz po

zakończeniu tego absurdałnego eksperymentu. Za ty, uuu... pomęczysz się i długo w porównaniu ze mną. No, cóż... Za moje i za twoje zdrowie.

Zatkało mnie. Nie żebym uwierzył jego słowom, ale z drugiej strony mógł mieć nieco racji. Dla patologii w jakiejkolwiek formie nie ma miejsca w Imperium. Nie wiedząc co odpowiedzieć i co myśleć, „upiłem” piwa. Teraz naprawdę chciałbym poczuć działanie alkoholu. Zamknąłem oczy i pochłaniałem, a przynajmniej tak sądziłem, piwo.

Gdy otworzyłem oczy, zauważyłem, że w dłoni nie miałem już kufła, a otoczenie uległo zmianie. O'Brien musiał ponownie pstryknąć palcami. Tym razem stałem przed jakimś zarośniętym i częściowo zawalonym budynkiem, którego nie potrafiłem jednoznacznie zidentyfikować.

Sam O'Brien zniknął, zapewne szykował dla mnie coś specjalnego.

Nie mając innej możliwości, wszedłem do środka. Wymazany różnymi hasłami beton, pajęczyny i mnóstwo wszelkiego śmiecia. Dziwny widok, a przynajmniej dla kogoś, kto całe życie spędził w sterylnej bazie księżycowej. Na planetach Imperium podobno też, przynajmniej w lokalizacjach, które nie leżą zapomniane gdzieś na uboczu.

Wszedłem głębiej w to obskurne i coraz bardziej przyprawiające mnie o ciarki pobojowisko. Tak to sobie nazwałem. Jak inaczej określić burdel, może to i tylko fantazja pojeba... Nie kończę myśli, dostrzegłszy w głębi czerwone światło. Podbiegłem tam i moim oczom ukazała się tabliczka.

POMIESZCZENIE KONTROLNE

Bez wahania otworzyłem drzwi. Jeśli gdzieś miał kryć się sekret psychozy, to tylko tutaj. Przynajmniej miałem taką nadzieję. O'Brien nie był głupi, o czym zdołałem się już przekonać.

Pomieszczenie, w którym się znalazłem, wyglądało jak typowy pokój w kawalerce z przełomu wieków XX i XXI. Zdziwiłem się, że nie było tu w zasadzie niczego. Za wyjątkiem gołego typu schylającego się dupą ku słoikowi. Zaskoczony tymi niecodziennymi okolicznościami wypaliłem pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy.

— Ej, typie, po co ci ten słoik?

Nie odpowiedział... Zniżył się jeszcze bardziej...

O kurwa...

Słoi...

Dlaczego, kurwa, moje nazwisko po hiszpańsku oznacza to słowo?! I kto wpadł na pomysł nadawania nowych nazwisk na bazie słów z języka rodzimego?!

¡MIERDA!

Przez mózg przechodzi mi nagle spieście. O'Brien zmaterializował się obok, unosząc nad głowę japońską katanę. Wykonałem unik, jednak zamiast spodziewanego brzęku żelaza uderzającego w...

Dopiero teraz zauważyłem, że ponownie zmieniło się otoczenie. Po obskurnym pokoju z pojebem wkłada... no, nie pozostał nawet ślad. Zamiast tego znajdowaliśmy się w gęstej dżungli, w której jedynym punktem obserwacyjnym był rozpadający się wieżowiec. Tego, że O'Brien jest gdzieś w pobliżu byłem bardziej niż pewien.

Kurwa, jakie jeszcze szykuje mi niespodzianki? I czemu mnie nie wykończył, gdy miał okazję? Chciał pobawić się w kotka i myszkę?

I wtedy doznałem olśnienia. Wstałem i czym prędzej pobiegłem w kierunku wznoszącego się w tej gęstej dżungli wieżowca.

Stałem na polanie otaczającej ową wieżę. Wyglądała jak sto nieszczęść. Szybko już w wielu miejscach nie było, ściany stały na słowo honoru i jeszcze ta paskudna łuszcząca się czerwona farba i wymalowane nią hasło. „Splunąłem” i wykrzyczałem w kierunku tej wysokiej ruiny.

— *О'Брайен! Иди на хуй! Сукин сын ты в сраку ёбаны! Твоя мать жошу жителям всего Марса давала, только тебе не! Потому что она ебала тебя в сраку! И папа тоже...*

Obróciłem się na pięcie, przede mną pojawił się czerwony niczym kontrolka alarmu wezwany O'Brien. Dyszał, był wkurzony, ale raczej nie dlatego, że kazałem mu spierdalać i zbeształem pamięć jego matki, a dlatego, że postanowiłem nie grać w jego gierki. Rozgryzłem obowiązujące tutaj zasady, pora je wykorzystać.

Nim zdążył zareagować, wyprowadziłem cios. Trafiłem go prosto w punkt łączący czaszkę z żuchwą. W prawdziwym świecie skończyłoby się to czymś poważnym, tutaj jedynie poleciał na glebę. Zasadziłem mu kopa w brzuch. O'Brien skulił się do pozycji embrionalnej. Złapał się przy tym nie za brzuch, a za głowę.

Olśnienie, którego doznałem, pozwoliło mi na zdobycie albo

przynajmniej chwilowe przejęcie kontroli. W realnym świecie myśli nie są w stanie wpływać fizycznie na materię, ale tutaj, w krainie fantazji, jak najbardziej. Spięcie, które poczułem w „pomieszczeniu kontrolnym”, było niczym innym jak bezpośrednią próbą ingerencji w moją głowę. Wystarczy nieco wysilić mózg do pracy, a ten zaczyna tutaj czynić cuda. O'Brien jako gospodarz nie musiał specjalnie się wysilać w porównaniu do mnie, to w końcu jego umysł.

O'Brien rzucił się na mnie z mieczem, tylko fart sprawił, że nie trafił. Próbował wykonać kolejny zamach, jednak znów udało mi się wykonać unik. Spojrzał na mnie z wyrzutem albo raczej z nienawiścią.

— Ja ci dam... Ja tu jestem panem i władcą. Nie usmażysz mi mózgu! Chcesz wiedzieć, co jest powodem psychozy?! Nic! Po prostu postanowiłem kogoś zabić. Zło jest równie banalne, co splunięcie z pogardą człowiekowi pod nogi. A że mi się spodobało, to zacząłem mordować. Pokochałem to, poczułem się...

Przez nasze mózgi przeszło spięcie. Obaj zaatakowaliśmy w tym samym czasie. Rzuciłem się na niego i zdołałem go przewrócić. Zacząłem okładać go pięściami po ryju. Przestałem dopiero po minucie. Obaj byliśmy przepelnieni furją.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy... Poczułem spięcie, O'Brien także się skrzywił z bólu...

Ból się nasilał... Żaden z nas nie zamierzał odpuścić...

Nagle spięcie zakończyło wszystko.

4.

— Przykro mi to zgłaszać, ale O'Brien i nasz głu... eee... to znaczy odważny ochotnik zmienili się w warzywa. Znaczy przykro mi z powodu Alejandra Tarro, bo na pewno nie tego mordercy.

Gomez nie był w sumie tym zaskoczony, podobnie jak Lussow. Czego innego można się spodziewać po wizycie w umyśle takiego popierdolca jak O'Brien?

— To się porobiło — powiedział skwaszonym głosem Lussow. — Wasze szczęście, towarzyszu Gomez, że to nie na was ciąży odpowiedzialność za cały eksperyment.

Lussow zaklął w myślach. Opieprz od zwierzchników za fiasco operacji „Mózg Donovana” miał gwarantowany, więc tym niespecjalnie się przejmował. Obawiał się jedynie dalszych, potencjalnych

konsekwencji typu degradacja albo pilnowanie porządku na froncie. W projekt wpompowano miliardy rubli, miał pomóc w pozyskiwaniu informacji... Zamiast tego urządzenie zjarało się na pierwszym teście i usmażyło mózgi dwójki „ochotników”. Kiepska sprawa. Napracował się, by znaleźć drugiego, a tu klops. Szkoda mu było młodego Latynosa, który dał się wciągnąć w jego prowokację i rozpoczął nieszkodliwy co prawda, ale jednak lewy biznes.

Oficer Ochrany zasalutował Gomezowi na pożegnanie i wyszedł, niczego już od siebie nie dodając. Naukowcy odłączyli obu mężczyzn i trzymając ich pod ręce, wyprowadzili z pomieszczenia. Zaraz po nich wyszli OMON-owcy i żołnierze. W końcu jedyną osobą w pomieszczeniu został Gomez, którego nie mogło opuścić dziwne uczucie. Nie wiedzieć czemu wziął osobisty czytnik i wpisał cztery angielskie słowa. Wskoczył mu filmik oznaczony jako „Tylko dla dorosłych” i „Tylko dla widzów o mocnych nerwach”.

Diabeł go podkusił, żeby w ogóle go włączyć.

KONTAKT

Kilkadziesiąt milionów lat temu

— Życie na planecie osiągnęło zaawansowany poziom. Występują tu skomplikowane organizmy, tak w środowisku wodnym, jak i suchym. Zaobserwowaliśmy zarówno chemosyntezę i fotosyntezę, jak i cudzożywność. U organizmów bardziej zaawansowanych niestety przeważa drapieżnictwo. Narazie nie stwierdziliśmy możliwości kontaktu na poziomie partnerskim z żadnym z obserwowanych organizmów; te nie posiadają jeszcze odpowiedniego poziomu samoświadomości i organizacji społecznej — mówił Mistrz Jednostki Centralnej Szóstej Kohorty.

— Nie planujemy modyfikacji Kodu u organizmów autochtonicznych. Rozproszmy się i obserwujmy klimat w dłuższym okresie, a przy okazji śledźmy trendy ewolucyjne. Przy kolejnym Zgromadzeniu zadecydujemy, co dalej — stwierdził Mistrz z Kohorty Drugiej.

— Dobrze. Spotkamy się za sto tysięcy jednostek czasowych w tym miejscu? — zapytała Kohorta Czwarta.

— Mniej więcej. Występują tu zmiany bieguna magnetycznego — zauważył Mistrz Jednostki Centralnej Kohorty Drugiej. — Więc możliwe, że będziemy musieli się namierzyć, co nie stanowi większego problemu.

Kilka milionów lat temu

— Obawiamy się, że inteligentne życie na planecie wybrało cudzożywność i drapieżnictwo. Organizmy fotosyntetyzujące nie rozwijają się tak, jak byśmy chcieli. — Miejsce, w którym Kohorty spotykały się regularnie setki razy, wielokrotnie zmieniło się nie do poznania. Zjawiska klimatyczne na planecie były im już znane, ale nadal nie wszystko można było przewidzieć. Kohorty były cierpliwe. Mogły czekać kolejne miliony jednostek czasowych, mogły zmienić planetę

według własnego uznania, lecz przez szacunek dla życia nie robiły tego. Obserwowały, czekały. Miały czas; cały czas tej planety.

— Nasze Jednostki Zwiadowcze obserwują od jakiegoś czasu bardzo ciekawe osobniki. Organizmy mają dobrze rozwinięte zmysły, wytworzyły niezwykle chwytne kończyny. Myślimy, że byłyby kandydatami na partnerów. Przyjmijcie raporty. — Mistrz Kohorty Trzeciej wysłał Jednostki Informacyjne do pozostałych grup. — Będziemy je obserwować przez kilka kolejnych Cykli, więc zapraszamy was do dołączenia się.

Kohorta Druga zaakceptowała zaproszenie. Kohorta Pierwsza poświęciła się analizie organizmów fotosyntetyzujących. Kohorta Piąta powróciła do oceanu, wierząc, że przyszłość inteligentnego życia na tej planecie należy do stworzeń morskich, zwłaszcza do wieloramiennych organizmów o skomplikowanym układzie nerwowym. Kohorta Szósta postanowiła śledzić rozwój mikroorganizmów pasożytniczych, by ocenić, jakie mogą stanowić zagrożenie w przyszłości. Mistrz Jednostki Centralnej Kohorty Czwartej wyznaczył dla swojej grupy kurs na daleką północ, by tam badać rozwój życia.

Okolo 10 tysięcy lat temu

Relacja Jednostek Zwiadowczych była wyczerpująca i szczegółowa. Kohorta Trzecia w dużej mierze miała rację; pojawiły się w końcu inteligentne formy życia, zdolne do komunikacji, wymiany danych i projektowania. Nazwano je roboczo Dwunożne-Dwurekie. Ewolucja ukształtowała ich organizmy w sposób pozwalający wykonywać precyzyjne narzędzia i być może już wkrótce zdobędą wiedzę umożliwiającą im samodzielne, kontrolowane modyfikacje Kodu. Jednak organizmy te wypracowały tak skomplikowane relacje społeczne i tak wysoki poziom niewytłumaczalnej agresji w stosunku do wszystkich organizmów żyjących, jak do członków własnej grupy, że nie sposób ich zrozumieć. Są zupełnie irracjonalne, autodestrukcyjne i szkodliwe dla całości biocenozy.

Ogólnie relacje na planecie wśród większości występujących tu kohort cechuje drapieżnictwo. Jedynie organizmy korzystające z fotosyntezy przejawiają chęć symbiozy, jednak nie posiadają rozwiniętej świadomości.

— Jakież propozycje?

— Nie zalecalibyśmy nawiązywać kontaktu z drapieżnikami. Chyba że w formie inwazji, ale oznaczałoby to eliminację większości obecnej populacji i modyfikację Kodu nowych osobników. Może ciekawszą opcją byłaby stopniowa modyfikacja Kodu u organizmów fotosyntezujących, prowadząca do wytworzenia u nich świadomości i inteligencji, i nawiązanie z nimi kontaktu w perspektywie wielu Cykli — stwierdził Mistrz Jednostki Centralnej Drugiej Kohorty.

Spodobało się to Kohorcie Pierwszej.

— Myśleliśmy o modyfikacji Kodu u organizmów zielonych. Zmiany zachodzą u nich znacznie szybciej niż u skomplikowanych organizmów drapieżnych, a ich kontrola jest o wiele prostsza. Moglibyśmy wprowadzić zmiany w organizmach zjadanych przez Dwunożnych-Dwurękich tak, by w dalszym czasie wpływały na Kod i zachowanie tych drapieżników. Potrwa to tak wiele jednostek czasowych, że nawet się nie zorientują, że zostali poddani jakiejś manipulacji. Zresztą nadal dużą rolę będzie odgrywać przypadkowa ewolucja. My tylko podsuniemy kilku kohortom Dwunożnych-Dwurękich lekko zmodyfikowane jedzenie.

Syberia, około 200 lat temu

— Fiodor! Fioooooooooodor!

— No nie drzyj się tak, idioto, jeszcze nie ogłuchłem...

— Lis! Będziemy żyć, Fiodor! Ładny skubaniec, patrz... najedzony...

— Weźże nie żryj surowego! Nie tnij tyle jak. Oskórować trzeba, jak należy, i upiec. Nie marnuj futra ani krwi.

— O, krew dobra... Ciepła... A mięso trza upiec, powiadasz. Ty, Fiodor, palić chcesz ognisko, myślisz, że nas nie znajdują, to pal... dobrze... Pieczonego zjemy, ogrzejemy się... Nie znajdują nas, prawda?

Przebudzenie trwało dość długo, jak zwykle. Meldunki z receptorów spływały do Centrum powoli, ponieważ nie wszystkie Jednostki wyszły z biostazy w tym samym czasie. W końcu jednak można było określić dokładny stan Kohorty.

— Hibernacja zakończona prawidłowo. Utracono 0,017 procent danych. 0,024 procent danych uległo uszkodzeniu w stopniu umiarkowanym. Pracujemy nad naprawą.

— Temperatura otoczenia stale wzrasta. W tym tempie osiągnię optimum za 0,016 do 0,019 jednostki czasowej.

— Znajdujemy się w tym samym środowisku. Nie stwierdzono oznak życia u pobliskich organizmów.

— Żaden z obserwowanych biontów nie wyszedł z hibernacji. Badamy ich stan.

— Stwierdzono niemożliwość przywrócenia czynności życiowych u obserwowanych biontów. Główną przyczyną jest liza, wynikająca z długotrwałego przebywania w niskich temperaturach. Obliczamy okres hibernacji.

— Prawdopodobny czas naszej biostazy to 23 254 jednostki czasowe.

— Wszystkie Jednostki Kohorty meldują pełną aktywność i dobry stan. Osiągnęliśmy pełną homeostazę. Możliwa replikacja.

— Zalecam powiększenie Jednostek o kilka rzędów wielkości i wzmocnienie receptorów biochemicznych. W tej fazie Cyklu skupimy się na poszukiwaniu procesów życiowych — ogłosił Mistrz Jednostki Centralnej. — Większy rozmiar ma też zapobiec ewentualnemu zagrożeniu ze strony tutejszych organizmów, jak to było poprzednim razem.

— Mistrzu, czy mamy pracować nad opuszczeniem tego holobiontu? — zapytała Jednostka 358.

— Tak. Ten organizm najprawdopodobniej także jest martwy i nieodżywalny. Warunki zewnętrzne były zbyt długo krytyczne, by jego komórki składowe zachowały możliwość dehibernacji.

— Mistrzu? — Jednostka 741 odezwała się nieśmiało. — Jeśli chodzi o utratę danych...

Jednostka Centralna przekazała swoje zainteresowanie.

— Myślę o systemie replikacji. Nasze Jednostki przy kolejnych klonowaniach zachowują te same dane. W przypadku uszkodzenia Jednostki tracimy część Kodu. A gdyby tak wymieniać część danych między Jednostkami i poszerzyć niektóre archiwa?

— To, o czym mówisz, to jeden z mechanizmów ewolucji. Interakcja między Jednostkami i wymiana części Kodu powoduje zmiany u kolejnej generacji. To ciekawa propozycja, z tym że wymaga ścisłego nadzoru. Nie odradzam, ale i nie zachęcam. Jeśli jakieś Jednostki zdecydują

się na tę opcję, pamiętajcie o dokładnym zaplanowaniu i kontroli zmian. Jesteśmy jeszcze na zbyt wczesnym etapie eksploracji tego środowiska, by uruchamiać procesy ewolucyjne. Na razie replikujemy się zachowawczo.

— Myślę, że możemy sobie pozwolić na kilka Jednostek nowej generacji z lekko zmodyfikowanym kodem — powiedziała Jednostka 4. — Może wypracujemy jakieś specjalizacje? Receptory świetlne w poprzednim Cyklu nie były praktycznie w ogóle przydatne, ale jeśli mamy opuścić ten holobiont, może przydadzą się bardziej czułe?

— I magnetyczne — dodała Jednostka 56.

Kilkaset Jednostek wyraziło swoje poparcie dla zabierających głos. Postanowiono, że całość Kohorty zacznie replikować w tradycyjny sposób, a następnie chętne Jednostki mogą eksperymentować z kombinacją Kodu i wymianą danych, celem kontrolowanej specjalizacji. Nie będzie to więc spontaniczna ewolucja, ale ściśle określona modyfikacja Kodu. Organizację i nadzór powierzono Jednostkom 4 i 741.

Pobrano materiał biologiczny z otoczenia i wytworzono o kilka rzędów większe Jednostki eksploracyjno-obronne, które otoczyły Kohortę. Całość przebiegała się przez zupełną prymitywnych, niegdyś agresywnych organizmów, teraz martwych i w stanie rozkładu.

— Patrz, Fiodor, wygląda jak świeży!

— No.

— Tyle mięsa! Jesteśmy uratowani! O Matko Boska Kazańska!

— Czekajże, idioto, nie żryj surowego! Nie wiadomo, kiedy to zdechło. Zaraz się znowu porzgasz.

— A Ty chcesz znów ognisko rozpalić... Na takie bydlę trzeba duże ognisko... Powiedz, Fiodor, nie znajdą nas przez to ognisko, prawda? Upieczemy, uwędzimy, ususzemy... tyle mięsa... Najemy się w końcu... Będziemy żyć... Nie znajdą nas...

— Patrz, coś go już nadgryzło. Jakiś czas już leży.

— Może ten lis, cośmy go ostatnio złapali? Taki najedzony był...

— Może.

— Nie znajdą nas, prawda? Powiedz, że nie znajdą...

— Weźże nie żryj surowego, Wadim, obrzydzenie mnie bierze.

Po około 0,03 jednostki czasowej Receptory termiczne i magnetyczne zaraportowały dość duże i gwałtowne zmiany.

— Poruszamy się względem centrum ośrodka magnetycznego planety — zgłaszano.

— Temperatura otoczenia wzrasta gwałtownie.

— Skład chemiczny środowiska ulega zmianie.

Wkrótce stwierdzono aktywność biochemiczną. Zaczęły pojawiać się proste organizmy żywe, jak w poprzednim cyklu.

— Czyżby holobiont jednak ożył? — zastanawiały się niektóre Jednostki. Ale Mistrz Jednostki Centralnej wytłumaczył, co się stało:

— Najprawdopodobniej inny żywy organizm pochłonął naszego nosiciela. Znaleźliśmy się w układzie odżywczym nowego holobionta. Mamy do czynienia z całkiem nowymi biontami. Bądźmy ostrożni.

Słowa Mistrza szybko znalazły potwierdzenie w kolejnych raportach. Najbliższe otoczenie Kohorty zaroilo się od prostych organizmów żywych, skupiających się na trawieniu. Wzrosła kwasowość środowiska. Większość Jednostek posiadała na tyle duże rozmiary i wzmocnione błony, że nie obawiała się ani działania enzymów, ani innych biontów. Te starsze, mniejsze, zostały zasymilowane w magazynach specjalnie stworzonych nowych Jednostek. Bezpieczeństwo całości Kohorty było zapewnione dzięki doświadczonym Jednostkom 8, 12 i 81, które już od kilkunastu Cykli czuwały nad zabezpieczeniem chemicznym.

— Czy masz teraz czas na realizowanie indywidualnych projektów? — zapytała Jednostka 741. Jednostka 123 wyczuła zainteresowanie wykraczające poza ramy zwyczajnej współpracy.

— A dokładniej to o co chodzi?

— O projekt wymiany części Kodu — 741 zauważyła nieufność i w jej przekazie było teraz czuć niepewność. — Masz bardzo ciekawy materiał, moim zdaniem. Chciałabym poznać cię bliżej i ewentualnie... moglibyśmy zaprojektować nową Jednostkę opartą na naszych Kodach...

— Ach, o to chodzi. — 123 poczuła się doceniona.

Jej Kod nie należał do najważniejszych w Kohorcie, jednak faktycznie przechowywał interesujące archiwum danych. Historię poprzednich Cykli, w szczególności zaś historię pochodzenia Kohorty i przybycia w to miejsce miliony jednostek czasowych temu. To mogło być interesujące, ale całkowicie nieprzydatne. Nigdy nie powrócą na swoją macierzystą planetę. Nawet gdyby powrócili, za miliony jednostek nie zastaną tam już podobnych sobie organizmów. Misja Kohort była ściśle zaprojektowana. Miały za zadanie eksplorować kosmos, osiedlić się na jakiejś planecie z warunkami umożliwiającymi życie, śledzić ewolucję organizmów, w końcu dostosować się do panujących warunków i włączyć w ekosystem. Oczywiście, wiązało się to z częściową modyfikacją Kodu. Zarówno Jednostek Kohorty, jak i napotkanych biontów. Wszystko miało jednak zająć na tyle dużo czasu, by nie naruszać samoświadomości Kohorty ani ciągłości ewolucyjnej organizmów autochtonicznych. Ważne więc były Jednostki wyspecjalizowane w badaniach procesów chemicznych, właściwości fizycznych, w poszukiwaniu konkretnych substancji, w inicjowaniu i kontroli reakcji biochemicznych... Archiwa historyczne uruchamiano rzadko, pod koniec Cyklu, kiedy Kohorta osiągała stan stabilności ewolucyjnej. Gdy nie pozostało już nic do zrobienia i przez krótki okres przed rozpoczęciem kolejnego Cyklu wszyscy mieli czas na indywidualność. Tym razem jednak zyskali okazję na mały, własny projekt.

Jednostka 741 posiadała w swoim archiwum ważne elementy dotyczące replikacji Kodu. Co wspólnego mogliby stworzyć?

— Myślę o wykorzystaniu danych dotyczących poprzednich Cykli, kiedy mieliśmy okazję badać różne organizmy żyjące na powierzchni tej planety. Zanim trafiliśmy do holobiontów. Wydaje mi się, że trochę zastopowaliśmy, o ile nie cofnęliśmy się w eksploracji w tamtym czasie — tłumaczyła Jednostka 741. — Powinniśmy pozostać na zewnątrz i obserwować życie tej planety z szerszej perspektywy.

— Nie sędzę. Musimy dokładnie poznać materię organiczną i procesy biochemiczne, mechanizmy tutejszego życia, żeby móc się w pełni zasymilować.

— Ale przecież już dobrze je znamy, od kilku Cykli. Jesteśmy w stanie dostosować się doskonale do każdej sytuacji, każdego środowiska w bardzo krótkim czasie. A tymczasem hibernowaliśmy znowu przez dwadzieścia cztery tysiące tutejszych jednostek czasowych! Posiadamy już niezbędną wiedzę o metabolizmie tutejszych organizmów...

— Wiedzę sprzed kilkudziesięciu tysięcy jednostek czasowych, jak sama zauważyłaś. Trzeba ją uaktualnić...

— Tak! Właśnie! Chciałabym stworzyć nową Jednostkę eksploracyjną. Na podstawie twoich danych historycznych zaprojektowalibyśmy organizm odpowiadający tutejszej biocenozie. Żywiłby się tymi prymitywnymi mikroorganizmami, jakie spotykaliśmy ostatnio. Posiadałby tutejsze receptory i raportowałby z punktu widzenia tutejszych organizmów. Pomógłby zrozumieć tutejsze życie. I może w końcu pozwoliłby na interakcje wykraczające poza prosty łańcuch pokarmowy. Te holobionty, jakie spotykaliśmy przez kilka ostatnich Cykli, posiadały już pewną świadomość. Może zdołały już wyewoluować do analizy i kontroli środowiska. To bardzo ważne. Musimy wiedzieć, na ile możemy sobie pozwolić i czego możemy się spodziewać.

Jednostka 123 długo analizowała przekaz Jednostki 741. W końcu przyznała jej rację. Zgłosiły projekt Jednostce Centralnej, która go zaakceptowała. Połączyły się i wchłonęły sporą ilość materii organicznej z otoczenia, jednocześnie czytając archiwalne Kody i układając nowe. Wyprodukowały kilka nowych Jednostek, znacznie większych od dotychczasowych. Ich dzieci miały oddalać się od Kohorty, samodzielnie eksplorować otoczenie i powracać cyklicznie z raportami. Jednostki 1023 do 1028 nazwano Zwiadowczymi.

Jednostkom 123 i 741 spodobało się wspólne projektowanie i tworzenie nowych Jednostek. Postanowiły kontynuować współpracę w wolnym czasie.

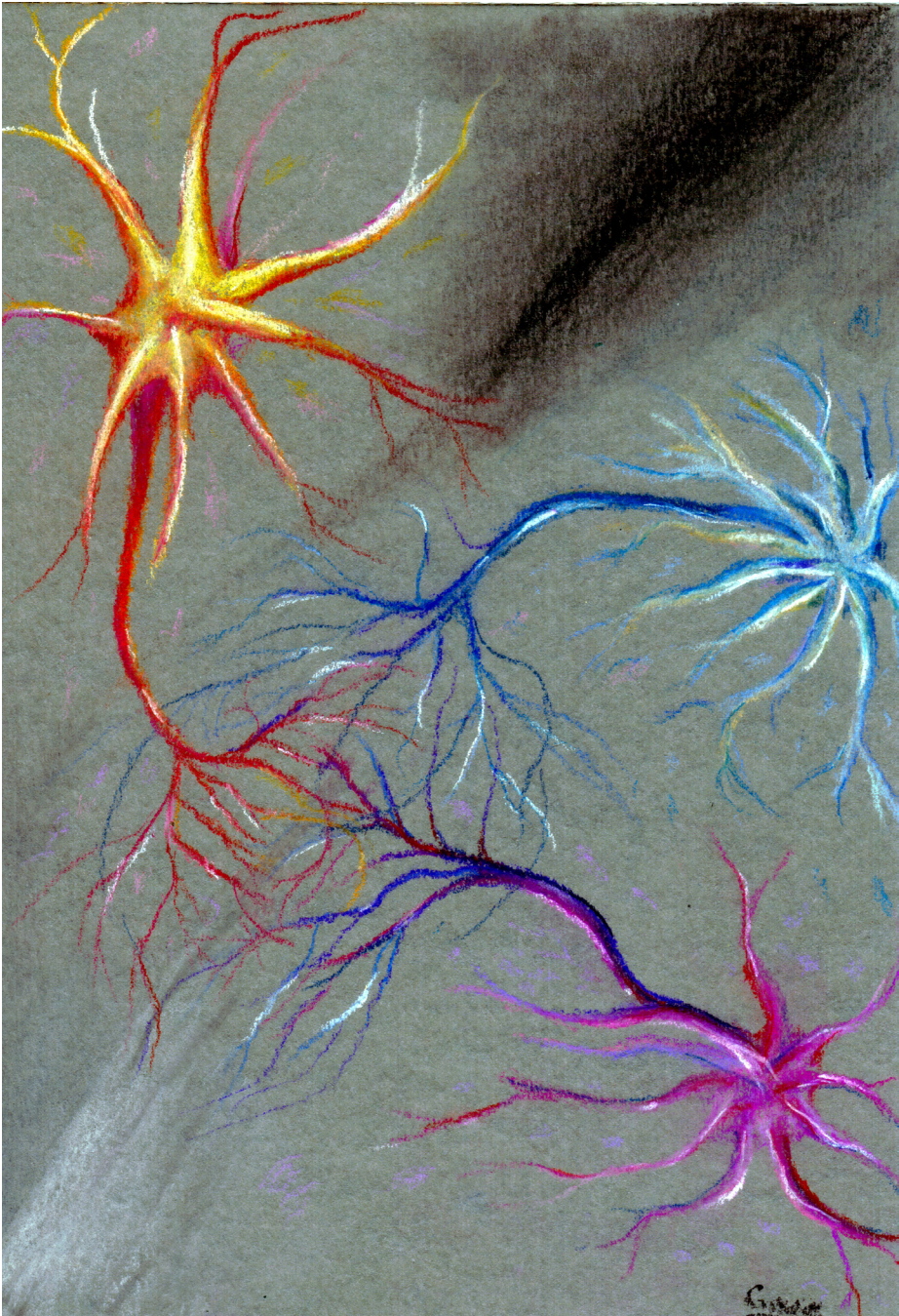
— Fiodor? Źle się czuję. Dupa mnie boli, coś mi w niej puchnie...

— Mówiłem ci, idioto, nie żryj surowego mamuta. Idź się wysrać gdzieś dalej.

— Boli, booooooiiiiiii...

— Pierwsza Jednostka Zwiadowcza opuściła Kohortę i dotychczasowe środowisko. Porusza się w stronę przeciwną sile grawitacji.

— Potwierdzamy, Zwiadowcze znajdują się poza holobiontem.



Ilustracja: Grace Kościelna (IG: @gracekoscielna #bestiariuszgrace)

Z pierwszych obserwacji można wnioskować, że to najprawdopodobniej przedstawiciel Dwunożnych-Dwuręcznych lub grupy z nimi blisko spokrewnionej. 181

— Fiodooooor!

— Noż... Wadim, zawrzyj pysk, spać chcę.

— W moim gównie coś się rusza! Chodź, chodź tu szybko!

— Glisty masz?

— Wyglądają jak małe Żar-ptaki. Mniejsze od mysikrólika. Mają takie... skrzydelka. I mienią się dziwnym światłem, jakby płonęły. I gówno się ich nie ima... Chodź, chodź tu, popatrz. — Wadim próbował wygrzebać patykiem jedno z dziwnych stworzeń. Ptako-robak skruszył koniec kijka w małych, chwytnych łapkach. Jak na ptaka miał tych łapek zdecydowanie zbyt wiele. I pysk jakiś taki... gadzi. Kolejny Żar-ptak złapał kij i zaczął się po nim wspinać. Wadim upuścił patyk z wrzaskiem i pobiegł do towarzysza.

— Fioooooooodooooor, ratuj!

Tym razem raporty nie spływały do Jednostki Centralnej. Zwiadowcze wymieniały je między sobą. Temperatura. Ciśnienie. Promieniowanie świetlne, radiowe, inne. Skład chemiczny.

— Zarejestrowałam dźwięki o zróżnicowanej modulacji. Prawdopodobnie napotkana przed chwilą jednostka przekazywała jakiś raport — zakomunikowała Jednostka 1027.

— Wywołaliśmy żywą reakcję organizmu. Oddalił się. Jak myślicie, dlaczego?

— Przyczyn może być kilka. Mogliśmy go zaskoczyć, nie spotkał wcześniej organizmów podobnych do nas. Próbował nas zbadać lub zniszczyć przy pomocy tego martwego fragmentu innego organizmu... — stwierdziła 1024.

— Co to było? — wtrąciła Jednostka 1025.

— ...i ocenił nas jako potencjalne zagrożenie. Może udał się po pomoc lub inne narzędzie. A może chce poinformować inne podobne organizmy.

— Co robimy w tej sytuacji?

— Powinnyśmy opuścić to miejsce i się rozproszyć. Mamy za zadanie zbierać dane przez 0,1 jednostki czasowej i powrócić do Kohorty z raportami. Więc pora wziąć się do pracy...

Jednostka 1026 zaczęła nadawać coś dziwnego. Było to rzadko używane przez współczesną Kohortę uczucie, które Jednostki Zwiadowcze rozpoznały — dzięki historycznej wiedzy — jako rozbawienie.

— Co cię bawi, 1026? — zapytała 1023.

— Wiecie, gdzie jest nasza Kohorta?

Pozostałe Jednostki dopiero teraz uświadomiły sobie, że przecież tylko one opuściły organizm... no właśnie, jaki?

— Chyba nie...

— Właśnie. — 1026 drżała z rozbawienia. — Tak. Nasza Kohorta jest nadal we wnętrzu tego Dwunożnego-Dwuręcznego, który uciekł. Więc prędzej czy później musimy go odnaleźć.

— Zawsze żeś był głupi, ale to już jest przesada. Ja rozumiem, gdybyś wypił spirytu i miał urojenia. Ale od miesięcy żadnego alkoholu nie mieliśmy w gębie. A ty mi pieprzysz o Żar-ptaku w gównie. Wadim. Czy ja mam cię udusić czy utopić?

— Pomiłuj, Fiodor, nie kłamię, jak mi życie miłe. Tam były takie wielkie robaki...

— Mówiłeś, że małe Żar-ptaki.

— No takie robako-ptaki. Wielkie jak na robaka, małe jak na ptaka. O, jak mnie dupa bolała. I one wyszły z gówna i patrzyły na mnie. Patyk mi połamaly, a jeden chciał po nim, patyku znaczy, do mnie przyjść. To uciekłem. A teraz to ich już nie ma, bo i one uciekły. Ale były tu, przysięgam, jak mi życie miłe...

— Wadim...

— Nie patrz tak na mnie, Fiodor... Nie patrz... Fiodor!

Jednostki Zwiadowcze przekonały się szybko, że ich wygląd, jakkolwiek inspirowany organizmami spotkanymi w poprzednich

Cyklach, poważnie odbiega od współcześnie spotykanych. Zmodyfikowały więc cechy zewnętrzne, by przypominać małe organizmy latające, licznie występujące w badanym biotopie. W porównaniu z wcześniejszymi Cyklami zmiany, jakie zaszły od ostatniego, nie były wielkie. Klimat ocieplił się nieco, część makroorganizmów opuściła biotop lub wyginęła, część rozwinęła się mniej lub bardziej. Przeważały nadal organizmy korzystające z fotosyntezy, jednak nieprzejawiające samoświadomości i niedające możliwości nawiązania kontaktu. Zaskoczeniem okazał się ten duży, ruchliwy organizm, który stał się nowym nosicielem Kohorty. Wszystko wskazywało na to, że należał do Dwunożnych-Dwuręcznych, których obserwowały Kohorty Druga i Trzecia. Sprawiał wrażenie na tyle zaawansowanego neurologicznie, że kontakt i inteligentna wymiana danych z nim — lub innymi Jednostkami z jego kohorty — byłyby możliwe. Jednak ten konkretny osobnik wydawał się nieprzygotowany do tego typu interakcji. Jednostki Zwiadowcze postanowiły więc, po zebraniu ogólnych danych na temat środowiska, spędzić resztę czasu na obserwacji dwunożnej Jednostki, licząc na to, że nawiąże ona kontakt z innymi przedstawicielami swojej kohorty.

— Igorze Michałowiczu, znaleźliśmy zbiega. Ale chory i zupełnie rozum stracił. Gada od rzeczy.

— Zamknąć w karczerze, dzisiaj nie mam już ochoty się nim zajmować. Sam był? Co gada?

— Sam, Igorze Michałowiczu. Opowiada, że prześladują go małe Żarptaki, które wysrał był miesiąc temu.

— Hahaha! Już ja mu zrobię z dupy taki żar, że będzie srał ptakami. Ale to jutro. Wasyl! Buty. Łaźnia gotowa?

— Już zaraz będzie gotowa, panie Naczelniku.

— Psa nie zapomnij wypuścić. Jak znowu nasra w korytarzu, każę ci zeżreć to gówno.

— Tak, panie Naczelniku.

Wadima wrzucono do wąskiej, pustej celi. W jednym z kątów poniewierał się dziurawy koc, którym natychmiast się owinał; w drugim kącie zbierał się śnieg, nawiewany przez małe okno pod sufitem. Błona w oknie dawno popękała od mrozów i teraz wpadało przez nie słabe światło białej nocy. Na szczelinie usiadły dwa Żar-ptaki i przyglądały mu się przez chwilę. Potem wleciały do celi, po nich kolejne; wiedział już, że jest ich w sumie sześć. Pięć przecisnęło się przez szparę pod drzwiami i zniknęło na korytarzu. Ostatni usiadł na posadzce i patrzył na Wadima, wydając czasami dźwięki, przypominające nieco ludzką mowę. Wydawało mu się, że słyszy „Fiodooooor”, „Boże” czy „matko”. Ale nie był pewny. Nie był pewny, czy oszalał do końca czy jeszcze zostało mu trochę rozumu. Nie pamiętał, co stało się z Fiodorem. Czy uciekł, zanim Fiodor go uderzył? A może to on uderzył Fiodora, zanim uciekł? Czy może to Fiodor uciekł, zostawił go samego z tymi Żar-ptakami... Nie pamiętał, nie wiedział. Gdzie jest? Gdzie jest Fiodor? Jaki mamy dzień? Co z nim będzie teraz, kiedy go złapali? Pewnie wychłoszczą, pobiją, a potem powieszczą... Fiodor, Fiodor, dlaczego mnie zostawiłeś? Znaleźli mnie, znaleźli, nie udało się bez ciebie, Fiodor, Fiodooooor...

Jednostka 1026 obserwowała łyzy ciekące po policzkach nosiciela Kohorty, analizowała mimikę i mamrotane cicho słowa. Już wcześniej Zwiadowcy nawiązali kontakt z Kohortą, przekazując większość raportów i informując o dalszych planach związanych z badaniem tego osobnika. Tymczasem pozostałe pięć Jednostek Zwiadowczych eksplorowało sztuczny biotop, wytworzony przez podobne do niego organizmy.

— Kontynuujemy ten Cykl. Będziemy nadal uważnie obserwować Dwunożnych-DwuręcznychprzypomocyJednostekZwiadowczych1023 do 1028, które połączyły się fizycznie i przybrały formę czworonożnego organizmu towarzyszącego obiektom obserwacji. Kohorta opuści dotychczasowego nosiciela i przeniesie się do innego czworonożnego, na którego Kodzie i wyglądzie wzorowali się nasi Zwiadowcy. Za kilkaset jednostek czasowych, jeśli zachowania społeczne drapieżników nie ulegną zmianie, zyskamy zielonych partnerów do kontaktu. Zredukujemy agresywne populacje i zajmiemy w końcu pełnoprawne miejsce w biocenozie. Kiedyś na tej planecie zapanuje pokój i harmonia.

Symbioza i spokój. Poczekamy na to, cierpliwie, jeszcze choćby milion jednostek czasowych. To niedużo w skali czasu, jaki tu spędziliśmy. Jesteśmy już prawie gotowi. | 185

— Igorze Michałowiczu, patrzcie, znalazłem psa.

— A to Paryż się zgubił?

— Nie, Igorze Michałowiczu, to nie Paryż. Drugi się przybłąkał. Zobaczcie, niby toczka w toczkę podobny, tylko oba uszy ma proste. Ale merda ogonem i się łąsi jak nasz Paryż. Miły taki. I słucha się, bardziej od Paryża nawet. Nie wiadomo, skąd taki piesek kanapowy się tu znalazł. Nie słyszałem, żeby ktoś tu takiego miał. Co z nim zrobić?

— Hm. Może Paryż ma jakąś narzeczoną w okolicy, kto go tam wie. No. Jak się właściciel nie znajdzie, to go sobie zostawimy.

— Tak jest, Igorze Michałowiczu. No chodź, piesku, dostaniesz kolację...

WIERSE

Pomoc

Pocziwy Siekacz w ramach podzięki
pomóc chciał kumpłowi w czasie udręki.
Języczek nieśmiało zanucił,
że chętnie by na ząb coś wrzucił.
— „Czegoś” nie udźwignę, bo nie mam ręki...

Choroba

Wpędziło coś raz Wątrobę
w straszną i nagłą chorobę.
Rezolutny Doktor Nerka
skrupulatnie na nią zerka
i łka: — Zatrulaś się moim wyrobem!

DROGI DO RAJU

— *To jest ich los — powiedział spokojnie profesor Corcoran. Ich los, ich świat, ich byt — wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać — w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celuloidzie. Ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje majaczących — Ijone Tichy: tam jest cały świat!*

Stanisław Lem, Dziwne skrzynie profesora Corcorana

[...] dla niego ci ludzie [...] byli niczym więcej jak podprogramami wielkiego systemu Irrehaare, świetlnymi postaciami z elektronicznej gry, bryzgającymi elektroniczną krwią na ekran, pixelowymi ludzikami ginącymi od widmowych pocisków i rodzącymi się na nowo po wrzuceniu monety. Bo tak też było w rzeczywistości. Irrehaare to więcej, niż się z początku wydaje: to wolność od grzechu. W tych fantasmagorycznych światach powstałych z zafalszowania zmysłów nie sposób popełnić żadnego złego uczynku (podobnie zresztą jak i dobrego), ponieważ sama idea uczynku jako takiego jest Irrehaare całkowicie obca — Irrehaare to królestwo pragnień.

Jacek Dukaj, Irrehaare

Ostatnie promienie jesiennego słońca rozlały się po blacie biurka. Patrzyłem, jak studenci opuszczają salę — nie było ich wielu, w końcu kogo dziś mogłoby obchodzić konwersatorium dotyczące historii narodzin kultury nowożytnej? Starocie, opowieści o dawno zapomnianych czasach, nic, co mogłoby im się przydać na rynku

pracy, gdy już opuszczają bramy Akademii. Zacząłem zbierać notatki, przez niedomknięte okno wdarł się zimny wiatr — kartki rozpoczęły chaotyczny, nieskoordynowany taniec w przestworzach. Zamknąłem okno, wszystkie momentalnie zamarły, cicho opadły na podłogę. Relikty przeszłości, jedne z wielu rzeczy, przez które w oczach innych uchodziłem za nieszkodliwego, sentymentalnego dziwaka. Podobne niezrozumienie wywoływała u znajomych moja kolekcja figurek, postaci ze starych manuskryptów spisanych najprawdopodobniej w jednej z pierwszych prób utworzenia systemu mitologicznego. Wśród figurek był zielonoskóry, umięśniony quasi-bóg posiadający coś w rodzaju chromowych bojowych wszczepów przypominających ostrza, heros czy też młodzieniec, którego kod genetyczny został poddany fuzji z DNA owada — on, zdaje się, dopiero starał się dostać do panteonu bóstw. Znajomi mówili mi: „Po jaką cholerę zagrucasz tym mieszkanie, przecież to sam kurz, nie możesz po prostu zeskanować je sobie na holodruku?!”. Gdyby tylko wiedzieli, jak ciężko było zdobyć takie artefakty, w jakich miejscach bywać, z jakimi ludźmi rozmawiać... Podniosłem kartkę, która spadła mi prosto na buty — były tam wypiski z najbardziej reprezentatywnych dla tych zapomnianych dziejów dzieł. Wzrok spoczął na pierwszym cytacie:

Mamy tu raczej do czynienia z zastąpieniem samej rzeczywistości znakami rzeczywistości, czyli z operacją powstrzymywania każdego rzeczywistego procesu przez jego operacyjną kopię, metastabilną, deskryptywną, programowalną i nieomylną maszynę, która dostarcza wszelkich znaków rzeczywistości oraz wymija wszelkie jej zmienne koleje losu¹.

Książka myśliciela pochodzącego z terenów dzisiejszej strefy HQ pojawia się w pierwszych minutach „filmu”, protoplasty naszych organoleptów — kilka jego fragmentów znalazłem w magazynach uniwersyteckiej biblioteki – minęło dużo czasu, nim udało mi się je jako tako posklejać i odpalić. Bohater trzyma ją w dłoniach i wpatruje się w tytuł. Ciekawiło mnie, czy sam autor książki zgadzał się z obecnością swych tez w tej fantastycznej wizji. Sądzę, że mogło to też zależeć od wypłacanych tantiem, podejrzewam, że nim w pełni wykształcił się homo cyber, nasz gatunek nie znał pojęcia prawa własności intelektualnej w obecnym kształcie. To, czego uczyłem, fantazmaty o teoriach,

1 J. Baudrillard, *Symulakry i symulacja*, Warszawa 2005, s. 7.

wedle których świat, w którym żyjemy, jest jedynie ułudą, mirażem, rachitycznym snem, pozwalały na wysnucie teorii o nieskończonej liczbie innych rzeczywistości, które piętrzyły się, tak że nad jakimś mniejszym światem znajdował się inny, większy, i tak w nieskończoność, aż za granice wyobraźni. Lubiłem myśleć sobie o tych światach, często w domu projektowałem je na myślografie, a potem potrafiłem godzinami wgapić się w efekt. Znajomym o tym nie mówiłem, w końcu była to zabawa dobra dla dzieci, nie dla poważnego wykładowcy. Wyszedłem na dziedziniec, szczelnie otuliłem się płaszczem, zimno dziś było. Ktoś siedział na ławce. No tak. Pani Hosa — studentka pierwszego roku Dialogu Międzygatunkowego, okazjonalnie bywająca na moich zajęciach. Gdy już raczyła się pojawić, często cicho parskała śmiechem, niesamowicie mnie to deprymowało. Odnosiłem wrażenie, że muszę wtedy albo śmiesznie wyglądać, albo pleść niesamowite bzdury. Wpatrywała się nieruchomo w ciemny nieboskłon.

— Znów dziś pani nie było — spokojnie zauważyłem.

— Nie mogłam — odrzekła. Nie zaszczyciła mnie nawet spojrzeniem.

— Obserwowałam, jak się wtapiają.

— Słu... słucham?

— Wtapiają się — oznajmiła tonem, jakby mówiła o rzeczach powszechnie znanych i oczywistych. — Ptaki. No... wtapiają się w niebo, zawieszają się na nim. Przestają latać, są nieruchome.

Miałem już, co prawda nieśmiało, przypuszczenia, że pani Las Hosa może należeć do osób stabilnych psychicznie inaczej, ale do tej pory wnioskowałem jedynie poprzez jej postawę na zajęciach, bo nie zdarzyło mi się z nią rozmawiać w cztery oczy. Nagle wykrzyczała:

— JEST!!! JEST!!! PO CAŁYM DNIU, W KOŃCU!!!

Odwrociłem głowę i spojrzałem w niebo. Faktycznie — sunął przez nie klucz ptaków, to chyba były kaczki. Zwykle kaczki, które robiły to, do czego powołała je matka natura — leciały.

— No tak, to faktycznie są ptaki — powiedziałem uprzejmie i ostrożnie, jakbym miał do czynienia z nieobliczalną wariatką. — I co z nimi? — zakończyłem i uśmiechnąłem się. Spojrzała na mnie, zawiedziona.

— Zawiesiły się. Były w miejscu, przez sekundę. Pan akurat się odwracał. Uwaga to podstawa w takich sprawach...

— No.. tak, niewątpliwie. To... miłego wieczoru! — zakończyłem i szybko pobiegłem w stronę busa.

Wpatrywałem się w rozmazany za szybą krajobraz. Potem tępo wlepiłem wzrok w barczyste plecy kierowcy. Trzeba było przyjąć tę pracę w korporacji, którą proponował mi Rorhan. Nie mogłem pozbyć się poczucia dziwności i lęku, które wwierały mi się w mózg od spotkania ze zwariowaną studentką. Musiałem się jakoś zresetować. Czas wybrać się na targ.

Słowo targ kojarzy się tłumem, gwarem, wielobarwnymi stoiskami oferującymi wszystko, co tylko człowiekowi może przyjść na myśl. Ja jednak chodziłem na inny targ — znajdował się w starej, zapomnianej i nieużywanej stacji metra, stoisk było tu zaledwie kilka, posklepanych byle jak z drutów, żelaznych żerdzi i kartonów. Sprzedawcy okutani byli w szarobure płaszcze, przetarte skórzane kurtki lub dresowe bluzy — nie musieli wyglądem zachęcać potencjalnych kupujących, oni sami ich szukali, ponieważ nikt inny nigdzie nie mógł zaoferować podobnych towarów. Sprzedający tutaj ludzie byli Buszującymi, poszukiwaczami skarbów, śmiałkami wkraczającymi tam, gdzie wariowały, a niekiedy nawet wybuchały liczniki Geigera, by odkopać dawno zapomniane relikty przeszłości, nim nastąpiła pierwsza Wojna Atomowa. Poszedłem aż na koniec stacji, tam zawsze rozkładał się Holt, a to u niego zazwyczaj znajdowałem najbardziej nietypowe fanty. Przywitał mnie tym swoim bezzębnym uśmiechem. Gdy się patrzyło na tego styranego przez życie staruszka, żal mieszał się z obrzydzeniem.

— Patrz tylko, Yolis, jakie cudencko podebrał zza muru stary Holt, hłe, hłe, hłe... Czegoś takiego nie dostaniesz u tych naciągaczy, ni chuja, ni hu hu... — zaseplecił i konspiracyjnie uchylił połę płaszcza. W dużej, sfatygowanej kieszeni miał coś, co na pierwszy rzut przypominało zwykłą starą, brudną szmatę, zresztą również pachniało jak stara, brudna szmata. Dostrzegłszy moją minę, Holt prychnął z irytacją i rozwinął mi ten łach tuż przed twarzą. To była koszulka, a przynajmniej to, co z koszulki zostało. Był też na niej rysunek — przedstawiał postać spowitą czarną peleryną, o małych białych oczkach, na wypiętym torsie wyrysowana miała symbol przypominający nietoperza — czytałem kiedyś o tym wymarłym gatunku. To musiał być jeden z dawnych bogów czczonych przez ludzi sprzed Wojny. Nic o nim nie wiedziałem, żaden przedmiot z mojej kolekcji go

nie przedstawiał. Holt miał rację — zarówno z cudeńkiem, jak również z ni hu hu. Spytałem o cenę, jego poorana bruzdami twarz przybrała minę, która zapewne wydała mu się imitacją dobrotliwego uśmiechu. Podał ją. Spochmurniałem. Westchnąłem. Powiedziałem, że chyba upadł na głowę. I że chyba śni. A potem zapłaciłem. Podekscytowany zakupem, upychałem artefakt w kieszeni i skierowałem się do wyjścia. Przy pierwszych stoiskach stała ona. Tak, to była Las Hosa. Śledziła mnie? Tym razem, w blasku świateł, mogłem się jej przyjrzeć. Tak rzadko bywała na zajęciach, że nie zapamiętałem, jak wygląda, z kolei gdy spotkałem ją koło dziedzińca, panowała już ciemność. Była to raczej drobna dziewczyna, jej twarz zdobiły wściekle piegi, miała krótkie (chyba) farbowane na fioletowo włosy, ubrana była w stanowczo za dużą dżinsową kurtkę i luźne spodnie we wszystkich kolorach tęczy. Co mogła tu robić? Wiedziałem, że nie powinienem pytać, ale ciekawość zwyciężyła. Targ artefaktów nie był miejscem, gdzie widywało się młodych ludzi. Nie wyglądało na to, by moja obecność ją zaskoczyła. Chyba nawet specjalnie jej nie interesowała.

— Szukam lalek, kolekcjonuję je. Nigdy nie lubiłam tych robotycznych, którymi bawią się wszystkie dzieci — powiedziała, obracając w dłoniach małą kukielkę, która częściowo wciąż działała. Po naciśnięciu guzika na tyle główki lalka niewyraźnie dukała: „Ma... ma... maaa...”. — To chyba można uznać za dziecinadę, prawda? — spytała, odwracając ku mnie wzrok.

— Nie, skądże — odpowiedziałem szybko, jakoś momentalnie czując wzrost sympatii dla tej dziewczyny. — Kto wie, może to właśnie taka lalka będzie ostatnim dowodem na to, że kiedyś na tej planecie istniał rodzaj ludzki? — Roześmiała się, a ja poczułem, że się czerwienię.

— Chyba za często włącza pan organolepty. A pana co właściwie tu sprowadza? — zapytała.

W sumie... dlaczego nie? — pomyślałem. Pokazałem jej mój najnowszy nabytek, opowiedziałem o hobby, o przypuszczeniach co do dawnych wierzeń. Nie trzymała się chyba zbyt blisko z grupą na studiach, szansa, że będą o mnie plotkować i mnie wyśmiewać, była więc mała. Zresztą opowiadałem o swoich zbiorach komuś, kto sam polował na szmaciane lalki, nie popadajmy w paranoję. Wydawała się zainteresowana tym, co mówię.

— Wie pani, gdyby zaczęła pani częściej przychodzić na konwersatorium, moglibyśmy dłużej porozmawiać o tych sprawach — rzekłem zachęcająco. Uśmiechnęła się, chyba szczerze.

— To może zawrzemy układ? Ja będę regularnie przychodzić na zajęcia, a pan przyjdzie na spotkanie mojego klubu — oznajmiła i wyciągnęła z kieszeni tekturową zieloną plakietkę. To ktoś jeszcze czegoś takiego używał? Przeczytałem treść:

Klub Znajomych Królika
Spotkania: każdy czwartek o 17.00
Miejsce: al. Hallowsay 29/34
Serdecznie zapraszamy!

— Co to za klub? — spytałem, zdziwiony tą enigmatycznością. — To jakieś... kółko zainteresowań?

— To stowarzyszenie... zbieraczy artefaktów — odpowiedziała po chwili wahania. — Na pewno się panu spodoba, ja muszę już lecieć, do zobaczenia! — rzuciła i pobiegła schodami w górę. „Klub Znajomych Królika” — cóż, ten dzień zasługiwał na jakąś osobliwą pointę. Ale jej analizę postanowiłem zostawić na jutro. Wszedłem na schody.

Mijał mi właśnie dumny gmach Holopery. Przysypiałem lekko na końcowym siedzeniu autobusu, deszcz dudnił o szybę. Przede mną musiał siedzieć jakiś punk — jego czub w kolorze wściekłego rózu sprawiał, że co chwilę otwierałem zmęczone oczy i tępo wpatrywałem się w ten szereg postawionych na lakier włosów. Na samym przodzie siedziała kobieta w lateksowej kurtce, u jej butów leżał pies, czarny spaniel, ciekawe, czy był prawdziwy. Musiał śnić jakiś straszny sen, bo na przemian cichutko powarkiwał i piszczał. Kobieta nie zadała sobie trudu, by wyciągnąć ulubieńca z krainy koszmarów, zbyt zajęta podłączaniem się do neurofona. Wtem otoczyła nas ciemność. Nie taka zwyczajna, to był mrok, który dusił, sprawiał, że człowiek wręcz się nim dławił. Nie mogło go spowodować wypalenie się autobusowych świateł, nie wiedziałem nic, nawet własnych dłoni. Co więcej — nie czułem własnych dłoni. W takim razie: skąd wiedziałem, że wciąż istnieję? Byłem częścią tego mroku, który wciąż gęstniał, na zmianę mroził i rozpalał to, co ze mnie zostało. W końcu ciemność zalała ostatnie fundamenty „ja” i zniknąłem.

Mijaliśmy właśnie dumny gmach Holoopery. Przysypiałem lekko na końcowym siedzeniu autobusu, deszcz dudnił o szybę. Przede mną musiał siedzieć jakiś punk — jego czub w kolorze wściekłego różu sprawiał, że co chwilę otwierałem zmęczone oczy i tępo wpatrywałem się w ten szereg postawionych na lakier włosów. Na samym przodzie siedziała kobieta w lateksowej kurtce, u jej butów leżał pies, czarny spaniel, ciekawe, czy był prawdziwy. Musiał śnić jakiś straszny sen, bo na przemian cichutko powarkiwał i pisał. Kobieta nie zadała sobie trudu, by wyciągnąć ulubieńca z krainy koszmarów, zbyt zajęta podłączaniem się do neurofona. Nagle rzeczywistość wybuchła rześzystymi blaskami, autobus przestał być autobusem, stał się kakofonią barw i dźwięków, widziałem, jak różowy czub punka roztapia się i wplata w ten dziwny taniec kolorów. Co się działo? Czy to ostatnie przedśmiertne drgawki mózgu? Mieliliśmy wypadek? Już nie żyję? Spojrzałem na swoje dłonie — przenikało przez nie światło, rozrywało je, mnie całego rozrywało. W końcu światłość zalała moje wnętrze, czułem, jak przepływa przez żyły, układ trawienny, jak zalewa żrenice. I wybuchłem.

Mijaliśmy właśnie dumny gmach Holoopery. Przysypiałem lekko na końcowym siedzeniu autobusu, deszcz dudnił o szybę. Przede mną musiał siedzieć jakiś punk — jego czub w kolorze wściekłego różu sprawiał, że co chwilę otwierałem zmęczone oczy i tępo wpatrywałem się w ten szereg postawionych na lakier włosów. Na samym przodzie siedziała kobieta w lateksowej kurtce, u jej butów leżał pies, czarny spaniel, ciekawe, czy był prawdziwy. Musiał śnić jakiś straszny sen, bo na przemian cichutko powarkiwał i pisał. Kobieta nie zadała sobie trudu, by wyciągnąć ulubieńca z krainy koszmarów, zbyt zajęta podłączaniem się do neurofona. [...] Stoimy rzędami, otacza nas ciemność. Bezwolnie wpatruję się w tył głowy tego przede mną. Ciekawe, kiedy nas wezwą. Bańki całą wieczność unoszą się w powietrzu, pękają tuż nad sufitem. Czekamy, aż wybiorą któregoś z nas. Czekamy, aż przyjdą Architekci.

Mijaliśmy właśnie dumny gmach Holoopery. Przysypiałem lekko na końcowym siedzeniu autobusu, deszcz dudnił o szybę. Przede mną musiał siedzieć jakiś punk — jego czub w kolorze wściekłego różu sprawiał, że co chwilę otwierałem zmęczone oczy i tępo wpatrywałem się w ten szereg postawionych na lakier włosów. Na samym przodzie siedziała kobieta w lateksowej kurtce, u jej butów leżał pies, czarny spaniel, ciekawe, czy był prawdziwy. Musiał śnić jakiś straszny sen,

bo na przemian cichutko powarkiwał i pisał. Kobieta nie zadała sobie trudu, by wyciągnąć ulubieńca z krainy koszmarów, zbyt zajęta podłączaniem się do neurofona. Niespodziewanie autobus gwałtownie się zatrzymał. Na ulicę wbiegła mała dziewczynka, całe szczęście, że kierowca zachował zimną krew i zdążył wyhamować. Dalsza droga minęła już bez przeszkód. Wchodząc do windy, pomyślałem, że będę dziś spać jak zabity.

No dobra, był czwartek i przyznaję się — jednak to zrobiłem. Postanowiłem pójść na zebranie Klubu Znajomych Królika. Aleja Halloway znajdowała się w Satelicie, owianej złą sławą dzielnicy, gdzie lepiej było nie zapuszczać się samemu. Budynek numer 26 był zrujnowaną, zapewne przeznaczoną do rozbiórki kamienicą, szedłem po rozklekotanych i spleśniałych schodach. Przede mną wyrosły drzwi numer 34. Zapukałem. Otworzył niskorosły mężczyzna o szerokich barkach i długiej krzaczastej brodzie. Bez słowa wpuścił mnie do środka, wpatrywał się we mnie groźnie. W małym pokoju na ogrodowych krzesłach siedziało kilka osób. Dostrzegłem Hosę — pomachała do mnie przyjaźnie. Reszta jednak patrzyła niczym stado wilków — wyraźnie nie byłem tu chcianym gościem. Tylko jeden człowiek nie siedział, stał koło małej holotablicy. Miał na sobie spodnie khaki i poplamioną koszulkę na ramiączkach, światło odbijało się od jego łysej głowy, twarz przywodziła na myśl skrzyżowanie świni z niedźwiedziem, ogromne ramiona trzymał skrzyżowane, opierały się o potężny brzuch.

— Przecież mówiłem, że już jest za późno, żeby ktoś jeszcze mógł dołączyć! — warknął w stronę Las.

— On się nada, zobaczysz. Jest podobny do nas — odwarknęła dziewczyna.

— Zaraz, zaraz — wtrąciłem się. — Nie wiem, o czym państwo mówią, na co już jest za późno, ale powiedziano mi, że to klub kolekcjonerów artefaktów.

Grubas prychnął i wykrzywił twarz, myślałem, że zaraz splunie mi pod nogi.

— Artefaktów... Nie ma czegoś takiego jak artefakty. Nie ma Buszujących, nie było żadnej przeszłości i nie ma żadnej przyszłości — wycedził. Milczałem osłupiały. Jednak trzeba było zostać w domu, akurat dziś na neroningu udostępniali nowy organolept z Gad Simond.

Głupi ja...

— A co, gdybym ci powiedział, że świat, który znasz, nie jest jedynym światem?

— Pan wybacz, ale jestem ateistą.

— Inaczej — co, gdybym ci powiedział, że świat, który znasz, nie jest tym właściwym światem?

— Ciekawe... trafiłem więc do sekcji filozoficznej? — pozwoliłem sobie zażartować, popatrzył na mnie z niesmakiem. Byłem pewien, że nikt się nie zaśmieje, ale i tak się zaczerwieniłem.

— Dobra, dość. Przykro mi, Violetlight, ale już nie mam czasu na uświadamianie. Nie miałem pojęcia, do kogo mówił. Sięgnął do kieszeni, nie wyjął jednak z niej pigulek, a pistolet. Wymierzył go prosto w moją głowę. Sparaliżował mnie strach, zamarłem bez ruchu. Las Hosa rzuciła się na niego i złapała za ramię — strzał minimalnie chybił, pocisk wgryzł się w zapleśniałą ścianę. Rzuciłem się do wyjścia, biegłem, długo słyszałem za sobą krzyki, w końcu dopadłem do samochodu, co sił w nodze docisnąłem gaz. To byli wariaci, czemu ja zawsze muszę najpierw robić, a potem dopiero myśleć. Jakaś sekta, może nawet przestępcy. O nie, panienko, zgłoszę to jutro z samego rana do władz uczelni, już długo tu nie zagrzejiesz miejsca — myślałem, czując, jak wciąż zalewa mnie pot. W końcu dojechałem do mojego bloku. Gdy tylko wysiadłem, ktoś chwycił mnie za kołnierz. Przy czole poczułem chłodną stal lufy.

— Spokojnie, jednak cię nie zlikwiduję. — Głos należał do grubasa. — Powiedziała, żebyś za szybko cię nie skreślał. Ale zrobisz jedno. Tylko jedną rzecz. Pójdiesz ze mną.

— Do... do... dobrze — zająkałem się. Zresztą — czy miałem jakiś wybór? Prowadził mnie przed sobą, w dalszym ciągu celował w moje plecy. Ten cichy marsz nie trwał jednak długo. Stanęliśmy obok niewielkiego budynku, który niczym się nie wyróżniał i od zawsze stał skryty w cieniu bloku, gdzie mieszkałem.

— Spróbuj otworzyć drzwi — polecił. Nacisnąłem klamkę. Było zamknięte. Nie wiem, jakim cudem, ale zebrałem w sobie resztki odwagi i ironicznie rzuciłem:

— Może to będzie dla pana szok, ale jedną z podstawowych funkcji drzwi jest właśnie to, że można je zamknąć. To bardzo częste zjawisko.

Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko i sięgnął do kieszeni kurty. Trzymał teraz w dłoni niewielką chromową płytkę. Przykleił ją do drzwi,

rozjarzyła się błękitem. Wybałuszyłem oczy — to musiała być mina, ten szalenciec wysadzi nas w powietrze. Gdy ujrzał mój wyraz twarzy, mruknął:

— Spokojnie, nie wybuchnie. Ona robi co innego...

Niebieskość rozlała się po całych drzwiach, pojawiły się na nich wyładowania elektryczne, błękitne smugi prądu przypominały rój węży ze snu szaleńca. Spodziewałem się, że lada moment cały budynek wybuchnie, lecz nic takiego się nie stało. Drzwi zniknęły. Po prostu. Nie było ich. Wpierw zbladły, ich struktura traciła na ostrości, by koniec końców rozpląnąć się w powietrzu. Grubas z zadowoleniem obserwował moją reakcję.

— No... zapraszam — powiedział cicho i machnął spluwą w stronę wejścia.

Przeszedłem przez próg. Wyglądało na to, że wewnątrz jest tylko jeden duży pokój. Co to było, magazyn? Gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zacząłem rozpoznawać kształty. Chyba należały do ludzi, było ich tu mnóstwo. Pomyślałem, że być może to jakiś skład manekinów. Gruby stanął obok mnie, zapalił latarkę i skierował światło na ciemne postacie. I to był moment, w którym moja długa wypracowywana stabilność psychiczna legła w gruzach. „Manekiny” wyglądały identycznie jak ludzie. Co więcej — jak ludzie, których znałem. W tym przerażającym nieruchomym tłumie rozpoznałem Holta, stał nieruchomo w tym swoim zawszonym płaszczu, jego poorana gęba nie zdradzała żadnej emocji, oczy pozbawione były jakiegokolwiek przeblýsku świadomości. Zobaczyłem też stróża pilnującego bramy uniwersyteckiej, panią, u której codzienne rano zmywałem na kampusie kawę, barczystego kierowcę autobusu, właścicielkę spaniela w lateksowej kurtce. Wszyscy stali nieruchomo, z ramionami ściśle przylegającymi do tułowia, jakby na baczność, choć zdawali się nawet nie oddychać. Czy byli martwi? Jeśli tak, to skąd ta poza? Zwymiotowałem na podłogę. Grubas wyciągnął mnie na zewnątrz.

— To musiał być szok...

— Co to miało być? Zorganizowaliście to przedstawienie? Po co? Kim wy w ogóle jesteście?! — wykrzyczałem.

— Niczego nie zorganizowaliśmy. Ci... ludzie... są tylko elementami twojej fabuły. Pojawiają się wtedy, gdy ich potrzebujesz. Mówią dokładnie to, co powiedzieć mają. Potem wracają tu, gdy już nie trzeba ich generować. Młoda powiedziała, że zasługujesz na szansę. Dałem ci ją. Musiałeś być szybko uświadomiony, bo wyruszamy pojutrze. Chodź z nami — zakończył i wyciągnął ku mnie dłoń.

— Zostawicie mnie, popaprańcy! — wydarłem się. Postąpiłem kilka kroków w tył, nie uniósł broni. Rzuciłem się przed siebie, było mi już wszystko jedno. Ale nic się stało. Krzyknął tylko:

— Pamiętaj! Ruszamy pojutrze, o świcie przy wejściu do lasu przy Murzel!

Odpaliłem samochód. Nie, nie będę tu dziś spał. Hotel, muszę jechać do hotelu. Jak najdalej stąd.

Nowy dzień zmył ze mnie lęk, doświadczenia ostatniej nocy zaczynały rozbrzmiewać pewną logiką. Gdy kończyłem brać prysznic, byłem już pewien, że miałem do czynienia z sektą. Groźną sektą. Należało jak najszybciej zawiadomić policję. Albo nie. Pójdę z tym do rektoratu, niech oni dalej się z tym babrzą. Ja chcę mieć już święty spokój, wrócić do figurek, do zajęć, do życia. Zachciało mi się klubów, też coś. Pogoda była piękna, promienie rzęsiście opadały na bruk, w aucie grał nowy Johnny Silverstone. Tak, czułem się zdecydowanie lepiej. Wjechałem w mrok tunelu. U wylotu przywitały mnie strugi deszczu, krople ciężko dudniły o szyby. Czarny kot, przemoczony do suchej nitki, skrył się pod plandeką przystanku. Zahamowałem. Wdech, wydech — spokojnie, mówiłem w myślach. Sięgnąłem do schowka — jedna tabletka Venlecty 9000 nie



Ilustracja: Joanna Widomska

zaszkodzi. Zawróciłem. Po drugiej stronie tunelu znów przywitało mnie słońce, niebo było nieskalne choćby najmniejszą chmurą. Wysiadłem z samochodu, schodkami wbiegłem na górę. Oparłem się o barierkę — na północy panowała piękna pogoda, po drugiej stronie mostu zaś szalała ulewa. Zdezorientowany zacząłem odwracać głowę w jedną i drugą stronę. Słońce. Ulewa. Słońce. Ulewa. Może to jakaś anomalia pogodowa, tłumaczyłem sobie. Ale jaka anomalia mogłaby być tak chirurgicznie precyzyjna, niebo wyglądało, jakby ktoś idealną linią nakreślił granice pomiędzy błękitem a burzą. Uklęknąłem na chodniku i wtuliłem twarz w dłonie. Wariuję. A może to nie ja, tylko cały świat wokół zwariował?

Oglądałem kiedyś taki archiwalny zapis, gdzie główny bohater był przedstawicielem czegoś w rodzaju zagubionego ogniwa w procesie ludzkiej ewolucji. Gdy wyruszał na wyprawę, krzyczał radośnie — *I'm going on adventure!* Chciałbym mieć teraz w sobie tyle radości, co on — myślałem, zbliżając się do lasu przy Murze. Czekali. Hosa ucieszyła się na mój widok, twarz Grubasa nie zdradzała nic. Był też ten brodaty niskorosły, dwóch pozostałych nie kojarzyłem, być może byli wtedy w „klubie”. Później dowiedziałem się, że mały ma na imię Dug, a ta dwójka to Ult i Koro. Wszyscy ubrani byli w dresy, trapery, mieli ciężkie sportowe plecaki. Musiałem idiotycznie wyglądać w swoich džinsach, flanelowej koszuli i małym plecaku, który czasem zabierałem na uniwersytet. Grubas, na którego wołali Rufus, wyjaśnił mi, dokąd zmierzamy. Według nich zostaliśmy zamknięci w symulacji, tak naprawdę istniejmy w zupełnie innym świecie, zaś wszystko, co nas otacza tutaj, to jedynie projekcja umysłu. Gruby nazywał ten świat Apokryfem. W sumie była to słuszna strategia onomastyczna — apokryf, czyli coś, czego autentyczności nie możesz być pewien. Na pytanie, gdzie w takim razie znajdują się nasze ciała, wrzasał jedynie ramionami. Najważniejsze to w ogóle się stąd wydostać — mówił. Apokryf miał być czymś na wzór „gniazda wieloświatów” — w jego strukturze przecinały się rozmaite światy równoległe, niektóre bardzo podobne do tego tutaj, inne zaś skrajnie odmienne. Są tu takie miejsca — opowiadał — w których wydaje ci się, że nie możesz już iść dalej. Zawsze coś przeszkadza, coś odwraca twój

uwagę, czasem nawet sprawia, że uciekasz, drżąc o własne życie. To w takie miejsca zmierzamy, trzeba je otworzyć, jak tamte drzwi — mówił i pokazywał szereg min, które miał pod wędkarską kamizelką. Na moją prośbę, by objaśnił mi ich dokładnie działanie, odpowiedział tylko — „I tak byś nie rozumiał, jesteś humanistą”. W sumie miał pewnie rację, więc nie nalegałem. Skąd Rufus to wszystko wiedział? Twierdził, że już widział te inne światy, że już starał się uciec. Opracowali drogę do „świata zero”, przedsionku tego właściwego, prawdziwego. Z ostatniej grupy „zbiegów” ocalał tylko on. Apokryf nie uśmierca. On restartuje cię do ustawień wyjściowych, zapominasz, kim byłeś, zaczynasz od nowa. To taka jakby reinkarnacja. Mnie ocalił przypadek. Odtworzyli mnie w moim starym mieszkaniu. Prowadziłem dziennik. Znalazłem go. Wszystko sobie przypominałem — snuł swą opowieść, a ja zastanawiałem się, jak ta wariacka wyprawa się skończy. Zapytałem go, jak to jest umierać, czy coś pamięta, odrzekł: Najpierw wszystko spowija mrok, potem świat eksploduje barwami, jest ci na przemian chłodno i gorąco. Aż gdy czujesz, że za chwilę znikniesz, odradzasz się — nowy, nieświadom niczego — mówił to z oczami wpatrzonymi w dal, jakby wracał do dawno zagrzebanych wspomnień. Zapytałem, czy miejsca przejścia będą pilnowane. Odparł, że oni zawsze pilnują. Na pytanie, kim są „oni”, ponownie wrzucił potężnymi łapskami. Droga przez las dłużyła się, był coraz bardziej duszno, chciałem się napić, ale Gruby kazał oszczędzać wodę. Świat stał zielenią i brązem, gęścił się coraz bardziej, konary drzew coraz szczelniej odgradzały nas od światła, w końcu przyszło nam iść w półmroku, powietrze zalewała szarość. Raz na jakiś czas Rufus przystawał i długo rozglądał się, czasem przypadał do ziemi i węszył niczym pies. Kluczaliśmy po leśnym labiryncie, ale Rufus zdawał się trzymać jakiś niewidzialny sznurek. Wiedział, dokąd mamy iść. Wtem na drodze pojawiał się niedźwiedź. Przetarłem oczy, musiałem mieć omamy, przed chwilą droga była pusta. Inni nie wydali się zaskoczeni, wyciągnęli pistolety. Bestia była ogromna, piana toczyła się z uźębionej paszczy, przekrwione oczy patrzyły groźnie. Ruszyła. Rozległ się huk strzałów, ściółka spłynęła krwią. Patrzac na wciąż charczącego trupa, uświadomiłem sobie, jaki jestem bezbronny. Co miałem w plecaku? Co najwyżej mógłbym próbować zadźgać tego potwora długopisem... Las chyba wiedziała, o czym myślę. Uśmiechnęła się i włożyła mi w dłoń swój rewolwer.

— Ja mam drugi, niech ci służy.

Grubas spojrział na nią z byka. Chyba jednak wciąż mi nie ufał. Ruszyliśmy. Zdawało mi się, że gdzieś daleko, ponad konarami drzew, rozlega się krakanie tysięcy dziobów. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa. W dodatku pomiędzy drzewami rozhulał się wiatr, spowalniał nas, był tak silny, że by maszerować dalej, musieliśmy osłaniać oczy ramieniem. Przed nami rosły gęste krzewy, było ich tak wiele i były tak ciasno zbite, że człowiek odnosił wrażenie, że to raczej jakaś brama postawiona przez przedwiecznych strażników. Grubas uniósł rękę, wszyscy się zatrzymali. Dug spytał cicho, czy to tu. Gruby kiwnął. Podeszedłem bliżej krzewów. Ręka zatrzymała się w powietrzu, pomiędzy mną a rośliną stała niewidzialna ściana. Próbowałem zwiększyć napór, ale to nic nie dało. Przyjrzałem się krzewom — wyglądały, jakby ktoś wykonał je w pośpiechu, nie dbając o efekt końcowy, jakby wiedząc, że nikt nigdy nie będzie ich oglądać. Z bliska widać było, że to nie prawdziwe rośliny, a ich imitacje. Miały nieco kwadratowe liście, daleko im było do obłych kształtów. Rufus wyciągnął jedną z min i przymocował do niewidzialnej przeszkody. Zawieszona w powietrzu bomba wybuchła błękitem, krzaki otoczyły rozbłyśki prądu. I wtedy pojawili się oni, przybyli znikąd. Potem Gruby powiedział mi, że nazywają ich Upiorami. Bo tak też wyglądali. Wysocy, pozbawieni twarzy, szczelnie otuleni szarymi płaszczami. Spod kapturów wyzierało intensywne fioletowe światło. Ruszyli w naszym kierunku, pierwszy strzał oddał Ult. Trafiony upiór tylko zachwiał się, nie przerywając marszu. Spłynął na nich deszcz kul. Grubas musiał uczyć ich strzelać, ja ze swoim, jak opisała mi broń Hosa, Fenrirem 37X, stałem tylko, wślepiając się, przerażony. Pociski sprawiały, że stwory zwalniały, ale poza tym chyba nic im się nie działo. One nawet nie szły, unosiły się kilka centymetrów nad ziemią. Za moimi plecami świat rozbłysnął na niebiesko — tam, gdzie jeszcze przed chwilą były krzewy, ziała teraz wielka wirująca błękitna dziura. Grubas wskoczył pierwszy, za nim Las, następnie Dug, Ult pociągnął mnie za rękaw i wpadłem w środek wiru. Tuż przed sobą widziałem twarz Kora, malowało się na niej przerażenie. Upiory złapały go za nogę i wyciągnęły na zewnątrz. Brama kurczyła, ale zawieszony w niebycie widziałem, jak fioletowe światło oplata jego ciało, słyszałem, jak krzyczy, gdy ametystowe płomienie obejmują go, jak od kości odpada kolejny płat mięsa. Wrota zamknęły się, a ja poczułem, jak kurczę się i powiększam, jak przenika

mnie błękitna przestrzeń, jak stać się jej częścią i zapadam się w sobie. Nie było mnie, była światłość. A gdy otworzyłem oczy, zwymiotowałem. Byliśmy w dokach, tuż obok rzeki. Identyczne znajdowały się w mieście z którego ponoć uciekliśmy. Powiedziałem to Rufusowi, odrzekł:

— To nie jest już nasz świat, ale tu magia i sztuczki zaczynają się w nocy. Sam zresztą zobaczysz, ostatnim razem... — Ale nie dokończył, bo niebo wypełniło się czernią i krakaniem. Nad nami krążyły setki wron czy kruków. Rufus krzyczał, by uciekać, wbiegliśmy do metalowego kontenera. Kraknie nie ustawało, nie wiem, ile tak trwaliliśmy w ciszy, spoceni, milczący i przerażeni. W końcu skrzeki ustały i Gruby powiedział:

— To oni. Upiory idą naszym tropem.

— Jak to, przecież to tylko ptaki — zachnął się Hult.

— Oni przybierają różne formy. Nie podlegają tym samym prawom, co my.

Kazał nam się przespać, bo nie wiadomo, kiedy znów będziemy mieć taką okazję, a wyruszamy zaraz po zmroku. Zamknąłem oczy, całą noc sny przepełniał piekielny fiolet.

Księżyc rozsiadł się wygodnie pomiędzy gwiazdami, gdy wędrowaliśmy w mroku ulic. Mieliliśmy dojść do jakiegoś punktu w którym czekać będzie nasz „przewodnik”.

— Pójdzie z nami? — spytałem Rufusa.

— Tylko do kolejnych wrót — odrzekł.

— Dlaczego? Skoro jest wtajemniczony w całą sprawę, dlaczego chce zostać?

— To sztuczniak.

— Co?

— Nie jest człowiekiem, jest częścią symulacji, jej niezbędną dekoracją. Sztuczniak może być przykładowo sprzedawcą w sklepie, panią wiecznie łapiącą taksówkę czy tym bezdomnym, którego zawsze mijasz w drodze do pracy. W zasadzie można powiedzieć, że stanowią oni element krajobrazu. Czasem sztuczniak, który długo przebywa w systemie, nabiera nieco samoświadomości, chce robić więcej, niż nakazuje mu odgórnie narzucona rola. Niektórych udało nam się przekabacić na swoją stronę i tacy będą nam pomagać po drodze.

— A jak odróżnić, kto jest człowiekiem, a kto sztuczniakiem?

— Sztuczniak nie posiada emocji, bez trudu rozpoznasz, że jego radość, złość, strach to tylko gra. Jest w nich pragnienie samorozwoju, to prawda, dlatego można się z niektórymi dogadać, ale wciąż są tylko atrapami ludzi, to widać szczególnie, gdy sytuacja wymaga od nich zachowania zbyt daleko odbiegającego od kontekstu, dla którego zostali stworzeni. Na przykład ciężko będzie się radować sztuczniakowi, który istnieje, by odgrywać w systemie rolę antyterrorysty. Sztuczniak, którego celem jest bycie sprzedawcą sushi w budce, nie będzie wiedział, co to agresja, i tak dalej i tak dalej.

— To trochę jak sytuacja z pierwszymi robotami — zauważyłem.

— Trochę tak. Jeśli w ogóle istnieją — odparł.

Weszliśmy w jakiś zaułek. Coś zabielało w cieniu. Zęby — patrzyłem na ułożone w radosny uśmiech zęby, ale nie widziałem ich właściciela. W zasadzie nie powinno mnie to specjalnie dziwić, w końcu byłem już świadkiem materializowania się z nicości niezwykle istot. Tym razem nie chodziło jednak o to — z ciemności wychynął się właściciel śnieżnobiałego uśmiechu, cały ubrany był na czarno, więc cień przykrywał go szczelnie. Miał na sobie elegancki garnitur, błyszczące lakierki, grafitowy krawat, skórzane rękawiczki — nienaganność tego ubioru przekreślał jednak szary zaniedbany kaszkiet i niedbale zarzucony na ramiona szal, zdaje się, że nie pierwszej świeżości.

— *Bonjour, capitaine.* — Ukłonił się dworsko w kierunku Grubasa.

— Prowadź, Gaston — odparł bezceremonialnie Rufus. Przewodnik tylko mrugnął zawadiacko. Nie przestając się uśmiechać, wspiął się na śmietnik i przeskoczył za mur. Ruszyliśmy za nim. Jakże dziwny był to kontrast ! My — posępni, milczący, czujni. On — beztroski, podskakujący i gwizdzący pod nosem. Mijaliśmy ludzi, nocnych poszukiwaczy wrażeń, zakochane pary, włóczęgów. Ale oni zdawali się nas nie dostrzegać. Ledwo powstrzymałem się przed zamachaniem jednemu z nich tuż przed nosem, ciekaw byłem jak zareaguje, ale nie chciałem denerwować naszego puszystego lidera. Elegant zatrzymał się przy studziencie ściekowej, odkopał na bok klapę i uroczyście rzekł:

— Zapraszam państwa!

Spojrzeliliśmy po sobie. Jak to tak, do ścieków?! Ale Rufus już schodził, co było robić — zeszliśmy w ten mokry i śmierdzący świat. Gaston wyjął z kieszeni płonący kandelabr — skąd, do cholery, on go

wziął? Rufus i Dug włączyli latarki. To było ohydne miejsce, ściany lśniły od pleśni, woda była aż do kolan i cuchnęła. Tunel ciągnął się w nieskończoność, wędrówka przyprawiała o zawrót głowy, oddychało się niezwykle ciężko. Przewodnik zdawał się dobrze znać drogę, pewne prowadził nas przez liczne rozgałęzienia, wiedział, gdzie należy skręcić w dany korytarz. Nafle zatrzymał się, odwrócił się i przyłożył palec do ust. Zdmuchnął płomienie świecznika, Gruby i Maluch wyłączyli latarki. Usłyszałem jęki, zawodzenie. Ktoś tu był i najwyraźniej cierpiał. Gdzieś w oddali przywykłe już do ciemności oczy wyłapały kształt — przy najbliższym rozwidleniu stał ktoś wysoki, strasznie szczupły, w mroku wyraźnie jarzyły się duże zielone oczy, niby lampki na komputerowym ekranie. Głośno i przeciągle zawodził. Przewodnik długo grzebał w kieszeni spodni, w końcu wyciągnął rękę w której trzymał nietoperza. Stworzonko rozejrzało się i potrząsnęło główką — Gaston szeptał mu coś na ucho. Jakby na znak, że zrozumiał, o co chodzi rozprostował skrzydła i poleciał w stronę osobliwego tubylca. Długo krążył nad jego głową, chorobliwie zielone oczyska wodziły za nim, długie ramię wyciągnęło się, chcąc pochwycić stworzonko, które natychmiast czmychnęło w lewy korytarz. Tubylec ciężko i wolno ruszył za nim. Gdy ucichło kłapanie bosych stóp i jęklive zawodzenie ustało, Gaston ponownie zapalił lichtarz. Ruszyliśmy dalej.

— Co to było? — zapytałem szeptem.

— Tutejszy. Mieszkaniec. Wędrował tymi tunelami tak długo, aż te go wchłonęły i zaopiekowały się nim — odpowiedział lekko. Po raz pierwszy spojrzałem w oczy Gastona, nie potrafiłbym powiedzieć, jakiego były koloru, wyglądały jak nagły wybuch tęczy, miało się też wrażenie, że oglądały świat u samego jego początku.

Doszliśmy wreszcie do stalowej drabinki, u jej szczytu widniał otwór na świat zewnętrzny. Wyszliśmy tuż obok wielkiego szklanego wieżowca, zapewne siedziby jakiejś korporacji. Miną lata, nim zmyję z siebie ten odór — myślałem, patrząc na ubłocone spodnie i buty. Gaston stał już przy drzwiach wejściowych, ale przecież było grubo po północy, kto niby miał nas wpuścić? Okazało się, że nie były nawet zamknięte — uchyliły się od samego dotyku zakrytej rękawiczką dłoni. Tuż za wejściem stał ochroniarz. Wyglądał tak, jakbyśmy dla niego nie istnieli, nie widział nas. Bardziej jednak dziwiłem się temu, że stróż nie dostrzega rozwrzeszczanego tłumu, który zaczynał się tuż za jego plecami. Byli tu ludzie ubrani w najróżniejsze

kreacje — mężczyźni w wełnianych płaszczach, okularach i sitkach na głowie, kobiety noszące eleganckie spódnice do wojskowych traperów, dzieci w stanowczo za dużych swetrach i płetwach do nurkowania. Wszędzie płonęły ogniska — uformowane byle jak ze spróchniałych desek, butelek, śmieci. Ogień zdawał się jednak zachowywać dyscyplinę, nie rozprzestrzeniał się, jakby posiadał świadomość ściśle wyznaczonego obszaru. Ludzie biegali, krzyczeli, wymachiwali rękami, zbiegali i wbiegali po schodach ruchomych, dzieci bawiły się i wpadały na siebie, tuż koło mnie przebiegł pies ubrany w solidny kubrak. Spojrzałem na ochroniarza — wesoło pogwizdywał, jak gdyby nigdy nic. Zaryzykowałem i zamachałem mu tuż przed twarzą — zdawał się nie widzieć mojej ręki. Gaston przywitał się z kilkoma ludźmi i poprowadził nas w głąb sali. Powiedział, żebyśmy poczekali i zniknął w ludzkiej ławicy. Chciałem przysiąc na biurku recepcji, ale jegomość w cylindrze i gumiakach właśnie rozlewał na nim puszkę zielonej farby. Wszyscy spoczęliśmy pod ścianą.

— Jak się czujesz? — spytała Las, nawet nie zarejestrowałem, kiedy przeszliśmy na „ty”, zresztą zachowywanie konwenansów byłoby teraz absurdalne.

— Chyba jak każdy, kto śni na jawie. Dziwnie spokojny, choć wiem, że zaraz jakiś trzygłowy potwór może wychylić się zza rogu i połknąć mnie na raz — odpowiedziałem, a ona parsknęła.

— Nie chciałeś tam być, prawda? Często na zajęciach widziałam, jak się zawieszasz i rozmarzony patrzysz na coś, co widzisz tylko ty.

— Często? Byłaś na nich ze dwa razy... Ale tak, w zasadzie tak. Męczyłem się, byłem...

Ale nie dane było mi dokończyć, bo powrócił Gaston. Był rozgorączkowany, nerwowo rozglądał się wokół. Towarzyszył mu starszy pan w pomiętej marynarce, dresowych spodniach i czapce z pomponem.

— *Capitaine*, zbyt długo wędrowaliśmy kanałami, zbliża się świt! Jeffrey czekał na nas niemal od zmierzchu, zna tunele jak własną kieszeń i poprowadzi was dalej. Prędko!

Dziadek machnął na nas ręką i ruszył do wyjścia. Nie rozumiałem, czemu bliskie nadejście świtu tak przestraszyło Gastona. Grubas zdawał się rozumieć, o co chodzi, bo szedł szybko, z zaciętą miną. Znów kluczyliśmy opustoszałymi uliczkami, przodem szedł staruszek, nisko pochylony, mamrotał do siebie:

— Tak, tak... Stary Jeff zna drogę, stary Jeff wie, gdzie iść... widział wszystko, nim nastały światła... poprowadzi was...

Doszliśmy do opuszczonej stacji metra. Drzwi zakrywała taśma, wielka tablica głosiła, że wejścia nie ma. Nie zdziwiłem się, gdy pordzewiałe drzwi uchyliły się, gdy tylko dotknęła je naznaczona plamami wątrobowymi dłoń starca. W środku panowała ciemność, Jeffrey poprowadził nas po schodach i — tak, jak sądziłem — zeskoczył z platformy na poziom tunelu, a my zeskoczyliśmy w ślad za nim. Od dawna nieużywane tory porosły mchem, zimne metaliczne ściany zdawały się patrzeć złowrogo. Stary nie miał kandelabru, przyświecał sobie za to latarenką dla dzieci, którą co chwilę trzeba było ładować poprzez kręcenie plastikową korbką. Wygrywała wtedy muzyczkę niczym pozytywka. W podziemiach metra nie było mętnej wody, nie było smrodu, za to, tak samo jak w kanałach, był nieskończony mrok, czułem się, jakbym przemierzał wielki grobowiec. Nie jestem w stanie opowiedzieć, jak długo wędrowaliśmy — tu czas zlewał się z brakiem światła, sekundy, minuty i godziny defragmentowały się, umęczony i zbankrutowany umysł mapował je na drogę przez czerń. Nieoczekiwanie ujrzeliśmy światło. Nie, zaraz, nie światło, a światła. Kilkadziesiąt światel. Ciemnozielonych, chorobliwych, wygłodniałych, wpatrujących się w nas chciwie. Były blisko, wyłoniły się z nocy i stanęły w jasności latarek. Potwory, które niegdyś mogły przypominać ludzi. Wychudzone, o szaro-zielonej skórze, niekompletne, niektóre pozbawione kawałka twarzy, ręki, żołądka. Wpatrzone wielkimi, wybałuszonymi oczyskami. Zaczęliśmy strzelać. Dziadek wyciągnął parasolkę, z której buchały różnokolorowe fajerwerki. Niektóre potwory padały, ale było ich zbyt wiele. Starzec zarządził odwrót, biegliśmy co sił. Fala zielonookiej śmierci ruszyła za nami. Sprawnie człapały na koślawych łapach. Zaczynało brakować nam tchu, Las przewróciła się, pomogłem jej wstać. Ult zwrócił się do Grubego:

— To bez sensu. Daj mi minę.

— Co ty... Pojebało cię?! Przecież wiesz, że...

— I tak nie zostało mi dużo czasu. Dawaj! — krzyknął i wyciągnął dłoń. Rufus wyciągnął zza pazuchy jedną z bomb. Patrzył chwilę na niego, skinął głową i ruszył przed siebie. Odwróciłem się. Ujrzałem jak Ulta otacza chmara szaro-zielonej masy, jak przykrywają go, jak rzucają się jedno na drugie. I nagle spomiędzy chmary żywych trupów zaczęły

wystrzeliwać jasnoniebieskie rozbłyski. Przestrzeń za nami wybuchła, mrok skąpał się w błękicie. Dotarliśmy do stacji, dziadek niezgrabnie wgramolił się na peron. Klapnąłem ciężko na ziemi, ale Gruby poderwał mnie za kołnierz.

— Czemu... czemu on to zrobił... — wydyszałem.

— Dał nam czas. I tak odchodził — rzucił zimno Grubas.

— Jak to odchodził?!

— Miał raka. Ult przez długi czas nie wierzył w Apokryf. Było mu po prostu wszystko jedno.

Kamienne schody poprowadziły nas na ku miejskiej nocy. Kończyła już się, świat pokryła szarość i mgła, która przygotowuje go do nadejścia świtu. Zza mgły wyłoniły się oni — znów mieli na sobie szare płaszcze, a pod kapturami jarzyło się fioletowe światło. Zza chmur do ulicy dotarł pierwszy promień słońca. Starzec spojrzał smutno w górę. Jego ciało było już tylko bladym powidokiem, niknęło coraz bardziej, dziadek wtapiał się w krajobraz. Pomachał do nas smutno i rzekł:

— Do stacji po drugiej stronie ulicy, a potem tunelem w stronę centrum... — wyszeptał i rozplynął się w nicości dnia.

Wybiegliśmy na ulicę, stacja była coraz bliżej. Poczułem na szyi chłodny ucisk i upadłem. Przed oczami miałem czern kaptura, fioletowy blask wpływał wprost w moje oczy. Ból. Cierpienie. Krzyk. Czułem, jak niknę, jak rozpadam się. Wtem tuż koło nosa zamajaczyła mi lufa. Strzał, prawie ogłuchłem. Ktoś mnie podniósł. To Hosa — wsadziła spluwę wprost w niematerialny łeb Upiora. Dokuśtykaliśmy do schodów, Gruby i Dug byli dużo dalej, nie zatrzymywali się. Znowu tunel, znów ucieczka przez mrok. Za nami fioletowe światła. W końcu Rufus wpada na niewidzialną ścianę, jesteśmy. Mina. Błękit. Uciekliśmy.

Przez ulicę ciągnął się sznur opuszczonych samochodów. Musiały stać tu już kawał czasu — lakier dawno zmatowieł, wszędzie była rdza, okna powybijane. Na horyzoncie majaczyło miasto — bloki i wieżowce z oddali wyglądały jak osobliwy amalgamat tego, co naturalne, i tego, co sztuczne. Popękany beton wymieszany był z mchem, gałęziami i zielonymi liśćmi. Nie słyszałem tu tak charakterystycznego dla dużych miast gwaru — panowała cisza, którą przerywał jedynie ptasi

świergot. Grubas wyjaśnił, że znajdujemy w świecie, po którym przeszła śmiertcionośna zaraza, gdzie ludzi zostało niewielu, a natura upomniała się o swoje. Zatrzymaliśmy się w opuszczonej szkole. Dziwnie przemierzało się puste korytarze, gdzie niegdyś zapewne rozlegał się tak typowy dla szkoły wrzask tysiąca gardeł. Drzwiczki starych szafek skrzypiały smutno, jakby ich właściciele w pośpiechu zapomnieli je zamknąć. Weszliśmy do pomieszczenia, które kiedyś musiało być salą gimnastyczną — okna były powybijane, po wybrakowanym parkiecie wałało się mnóstwo śmieci, wszędzie kurz i pajęczyny. Mroczyło się, wzięliśmy spod ścian zmurszałe materace gimnastyczne, Rufus włączył przenośny generator ciepła — dziś zjedliśmy porcje żywieniowe na ciepło. Rano miał po nas przybyć przewodnik, tymczasem patrzyliśmy się w światło generatora i opowiadaliśmy, kim jesteśmy w prawdziwym świecie:

— Rufus musi być jakimś strażnikiem więziennym — zażartował Doug, pierwszy raz widziałem, że Gruby jednak potrafi się uśmiechać.

— A ty, kurduplu? Kim niby myślisz, że in real jesteś, a?

— Koszykarzem. — Dug wyszczerzył zęby. — A tak serio, czasem wyobrażam sobie, że jestem oblatywaczem szybowców. Często patrzyłem w niebo i marzyłem, że steruję jednym z nich. No, szybowców, ale czegoś, co tam w tym prawdziwym mają...

— Ja będę malarką, taka prawdziwą. U nas każdy podłączony do komputera mógł zostać malarzem. A ja będę malować własnymi dłońmi!

— powiedziała Las i zwróciła się do mnie. — A ty, Yolis?

Odchyliłem głowę i zastanowiłem się.

— Ja będę tym, kim byłem, ale kilkaset lat wcześniej. Nim spadł na nas atom i zapomnieliśmy o wszystkim...

Wreszcie Grubas wygasił generator i ułożyliśmy się do snu. Jak daleko jeszcze?

Obudziła mnie strzała. Dosłownie, w sam środek naszego „obozu” ktoś wypuścił strzałę. Grot zatopił się w zniszczony panelu podłogi. Poderwaliśmy się i sięgnęliśmy do kabur, ale Rufus powstrzymał nas machnięciem dłoni. Ktoś wgramolił się przez okno i spadł z donośnym hukiem. W pierwszej chwili myślałem, że to jakiś tutejszy przerośnięty pająk-mutant, ale to była

dziewczyna — wychudzona, żylasta, ubrana w skóry, na twarzy miała wymalowane jakieś owalne symbole. Podbiegła do nas na czworaka:

— Czas iść, Jlynn was zaprowadzi, a ty dasz Jlynn to, czego Jlynn potrzebuje! — zaświergotała do Grubego. Ten wyciągnął z plecaka obrzyn — zmodyfikowany, do lufy przytwierdzony miał celownik snajperski. Dziewczyna pochwyciła go i wpatrzyła się zeń chciwie.

— Tak, tak, teraz Jlynn zapoluje na Goro, a Goro nie ucieknie Jlynn... — wymamrotała i dała znak do wymarszu.

Dziwnie szło się przez tę nekropolię, która kiedyś musiała tętnić życiem. Wszędzie dostrzec można było ślady chaosu i paniki, które momentalnie odmieniły dzieje świata. Porzucone auta, wybite szyby, porozwalane drzwi, wysprejowane hasła w stylu „No future”, ślady po kulach. No i zwierzęta. Nie tylko ptaki, ale również jelenie, zające, lisy. Beton murszał, a zieleń rozkwitała. Podreptałem do Rufusa.

— W tamtym świecie były te straszidła o zielonych oczach. A kto jest potworem tego świata?

— Ludzie — odrzekł krótko.

— I Goro — dodała stanowczo Jlynn.

Bramy miasta były zamknięte, a żelazne kłódki dawno pożarł czas. Musieliśmy wspiąć się na mur. Terasz szliśmy autostradą, tym, co z niej zostało. Skojarzenie Jlynn z pajakiem nie było przypadkowe — ręce miała równie zręczne jak stopy, włąziła na najbardziej stromą skałę, czasem wdrapywała się na szczyt drzewa, by sprawdzić dalszą drogę, a ta ponownie prowadziła przez las. Prócz zwierząt nie napotkaliśmy nikogo. Ściemniało się, zdecydowaliśmy się przenocować w kotlinie. Na czatach została dziewczyna, Gruby mówił, że ufa jej jak samemu sobie.

Tym razem obudziła mnie nie strzała, a wylot lufy wycelowany prosto w moją twarz. W kotlinie było mnóstwo ludzi okutanych w ciężkie kurty, twarze zasłonięte mieli grubymi szalami. Mierzyli do nas, jeden z nich stał na boku z Jlynn i tłumaczył:

— Tu masz mapę, te czerwone krzyżyki to miejsca, gdzie natrafiiliśmy na jego ślady. Musi mieć legowisko gdzieś nieopodal starej hydroelektrowni.

— Tak, tak, Goro za mięso, mięso za Goro. — Dziewczyna energicznie kiwała głową.

Spętali nam ręce i ustawili w szeregu. Gdy Jlynn przechodziła obok, rzuciła beztrosko:

— Taki świat, takie życie. Nic pewnego!

Rozłożyła ręce i zniknęła w leśnym gąszczu. Prowadzili nas wśród drzew, przekroczyliśmy rzekę. Potem droga długo wiodła w górę, na stromiźnie musieliśmy pomagać sobie spętanymi rękami. Doszliśmy do małego miasteczka, jakich wiele na pustkowiach. Ale jeszcze nie widziałem żadnego, w którym na ulicach leżałyby ludzkie trupy, zresztą, sądząc po wyglądzie i odorze, od wielu tygodni. Ubrojeni ludzie patrolowali teren, zaprowadzono nas do jakiegoś magazynu. Było ciemno, poczułem, jak wrogie dłonie wpychają mnie do, chyba, klatki. Zapalono światło i świat stanął krzykiem. Była to rzeźnia — ludzka rzeźnia. Na suficie, uwieszone na hakach, dyndały ludzkie nogi, głowy, torsy. Na samym środku stał stół z zakrwawionymi nożami, tasakami i piłami. Kanibale — to im sprzedała nas Jlynn. Od klatki Rufusa odgradzała mnie klatka Duga. Krzyknąłem do Grubego:

— Ufasz jej bardziej niż samemu sobie, co?!

Nie odezwał się. Wydawał się spokojny. Ułożył się jak do snu i wymamrotał:

— Prześpij się. Dziś już nic nie wymyślimy. A siłę trzeba mieć.

Parsknąłem kpiąco, gruby idiota. Do rana możemy już nie żyć. Ale wyglądało na to, że porywacze nie zamierzali nic z nami robić. Wyczyścili narzędzia, zebrali kilka sztuk „mięsa”, zgasili światło i wyszli. Nie mogłem spać, żołądek podchodził mi do gardła. W dodatku było niesamowicie zimno, trząsałem się. No to ładnie zakończy się moja wielka przygoda, nie ma co.

Nie zmrużyłem oka. Dreszcze przybierały na sile. Drzwi rozwarły się z hukiem, wrócili. Bezceremonialnie wyciągnęli mnie z klatki, popychali w kierunku stołu, celując w plecy ze strzelb.

— Kurwa, co to ma być?! — niemal zapiszczałem. — Jestem człowiekiem, jestem człowiekiem jak wy!

— Bez różnicy — odrzekł zimno jeden z nich.

Wylądowałem na stole. Najwyższy zamierzył się tasakiem. Dziwne, jakie nieważne refleksje projektuje umysł w ostatnich chwilach przed śmiercią — byłem zaskoczony, że nie rozebrali mnie, ale może ciuchami zajmą dopiero, jak już nie będę żyć. Ta myśl absurdalnie mnie pokrzepiła, gdy wpatrywałem się w blask uniesionego ostrza. To koniec wędrówki.

I wtedy kichnąłem. Oprawca upuścił tasak, skrył twarz w dłoniach:

— Kurwa! Kurwa! Oni nie byli przebadani?! Co tu się odpierdala! Chcecie mnie zabić?! — zawył. Jego dwaj partnerzy patrzyli zdezorientowani. Chwyciłem tego, które stał najbliżej za rękę trzymającą pistolet, siłowaliśmy. Drugi już odzyskał przytomność umysłu, wycelował. Ale nie strzelił, bo strzał kogoś innego przeszył mu głowę na wylot. Sekundę później ten sam los spotkał mojego przeciwnika. Facet od tasaka dostał w plecy. Padł, nad nimi uniósł się swąd dymu i przypalonego mięsa. Spojrzałem w górę — na parapecie siedziała dziewczyna przypominająca pajaka, trzymała jeszcze dymiący obrzyn. Jlynn wróciła. Zeskoczyła, spojrzała na zwłoki:

— Cwaniaczki, małe, niedobre cwaniaczki. Nie oszukuje się, Jlynn, oj nie, nie... — mamrotała.

— Jak to, oszukali cię?

— Ta. Zaznaczyć na mapie Goro. Oszukać — powiedziała, a ja nic z tego nie rozumiałem.

— To znaczy, że jak? Jak cię oszukali?

— Miał być Goro. Jlynn wytropiła. Nie być Goro, zwykły Snug — odrzekła z miną, jakby właśnie oznajmiała mi najbardziej oczywistą oczywistość, i dodała: — Jlynn wrócić po was, bo Jlynn honorowa.

Nie śmiałem sprzeczać się z tym pokrętnym systemem moralnym. Udało nam się otworzyć klatki. Podążając w kucki za naszą przewodniczką, wydostaliśmy się z przekłętego miasteczka. Gdy wdrapywaliśmy się po skalnej półce, spojrzałem na nie po raz ostatni — zdawało mi się, że słyszę krzyki i błaganie o pomoc i że dostrzegam niewyraźne przebłyski fioletowego światła. Jlynn doprowadziła nas do opuszczonej hydroelektrowni, zapewne tej samej, o której mówili kanibale. Gestem wskazała Rufusowi wodospad — niewidoczna ściana, jak zwykle. Przymocował minę. Spytałem dziewczyny:

— Powiedz mi jeszcze, czym jest Goro?

Ale już spływała na mnie jasność błękitu.

Wieżowce sięgające chmur. Na ulicach niesamowity ruch. Gdzieś wysoko w górze masa wybuchów. Wydawało mi się, że pomiędzy wieżowcami dostrzegam przelatującego człowieka-pajaka z dawnych wierzeń, ale Grubas nie pozwolił mi zawrócić, by się przyjrzeć.

Zima. Wszędzie dookoła śnieg. Mamy mało jedzenia. Wszędzie kościotrupy w zbrojach i potwory o skórze ze skały. Staramy się przeżyć. Upiory depczą nam po piętach.

Ludzie jeżdżą tu na koniach. Ubrani są w skóry, noszą obszerne kapelusze. To jakiś prymitywny świat. Zatrzymaliśmy się na popas w krytej słomą chałupie. Prawie nas dopadły, konie poniosły nas z dala od fioletowego światła.

Ten świat zdawał się być przyjazny, wyglądał jak z bajki dla dzieci. Kolory były intensywnie pastelowe, dookoła rosły kwiaty, wśród których pobrzękiwały ogromne pszczoły i latały wielkie motyle. Gruby twierdził, że nie ma tu zagrożeń poza jednym. Nie wolno było spać. Nie było stałego lądu, a jedynie pojedyncze, unoszące się w powietrzu wysepki, na które wskakiwaliśmy. Pod nami rozciągała się bezkresna różowawa pustka. Odpoczywaliśmy teraz na wysepce, z której wyrastała olbrzymia palma, Las przysiadła się do mnie i zapytała:

— Jeśli nam się uda, naprawdę zamierzasz robić to, co robiłeś tu? Po co więc uciekłeś?

Zastanawiałem się chwilę:

— Lubilem uczyć, ale nie lubilem świata, w którym przyszło mi żyć. Wszystko tam było sztuczne, jak się okazało, nawet zbyt dosłownie. Nie było tam emocji, uczuć. Zbyt dużo czytałem o tym, jak było kiedyś, by do tego nie tęsknić.

— Ja nienawidziłam tamtego świata. Siebie też nie.

— Jak to?

— Byłam odmieńcem. Śmiali się, że jestem sierotą, że jestem z bidula. Nie miałam w życiu nikogo bliskiego. Dopóki nie trafiłam do Klubu Królika, pamiętałam tylko skórzany pas opiekuna z sierocińca. Nie chcę takiej siebie, nie chce takiego świata. Mam nadzieję, że jeśli wyjdziemy, obudzę się jako ktoś zupełnie inny.

W pierwszej chwili chciałem wygłosić jakąś pseudomądrą formułkę o tym, jak to nie mamy wpływu na przeszłość, ale trzymamy w garści całą przyszłość, jednak milczałem. Co miałem powiedzieć? Ja uciekałem do swoich mrzonek, marzeń, ona — od traumy, którą przeszła. Gruby wstał, my za nim. Wykonałem kilka przysiadów przed kolejnym skokiem.

Muchy były wszędzie. Przedzieraaliśmy się przez dżunglę, a one wlażyły do uszu, do nosa, do oczu, za kołnierz. Palce drętwiały od ciągłego drapania. Nasz przewodnik mierzył ze trzy metry wzdłuż i ze dwa wszerz, skórę miał barwy ciemnoszarej, z dolnej wargi wyrastały mu dwa ostre kły, małe oczka patrzyły groźnie. Torował nam drogę maczetą, wycinał szlak poprzez busz. Zewsząd dochodziło mnie życie tej dziczy — piski, ryki, brzęczenie, czasem wrzaski. Wokół nas rozrastała się Tajemnica. Akurat panował upał taki, że nawet powietrze zdawało się parować. Już wołałem to niż wściekle opady deszczu. To podobno był finał drogi, prawie nam się udało. Przewodnik prowadził nas do „strażnika”, jak określał go Rufus. Podobno był to jakiś jego stary kompan, były druż, wojownik, który powiesił strzelbę na kołku. Get, tak miał na imię, odpuścił, nie chciał wiedzieć, co jest za ostatnimi „drzwiami”, wybrał życie w tropikalnej głuszy. Na pytanie, czemu nie ściągają go upiory, Gruby wskazał na naszego przewodnika i rzekł: „Bo pilnują go wirusy, a Upiory się ich boją”. Domenę Geta wypełniają wirusy. Przed nami, na polanie, ukazało się małe osiedle. Mnóstwo domków wzniesionych byle jak z bambusa i skóry i jeden wielki, okazały. „Pałac Geta” — powiedział Rufus. Wszędzie kręcili się szaroskórzy wojownicy, podobni do naszego przewodnika. Wprowadził nas do „pałacu” — pod ścianą na kościanym tronie siedział król tego miejsca. Get odziany był w skórzaną togę, po obu stronach tronu stały, sądząc po drobniejszej budowie, samice szarych wojów. On sam był jeszcze grubszy i jeszcze bardziej łysy niż Rufus. Strażnicy popchnęli nas na ziemię, zmuszając tym samym do klęknienia. Gruby podeszedł do trony, Get wstał, wyściskali się. Nie zamieniłem jeszcze słowa z tym człowiekiem, ale już nie pałałem do niego sympatią — jakim prawem rządzi tym ludem, nawet jeśli to wirusy, to co — nie mają uczuć, tożsamości? Podeszedł do nas, gestem wskazał, abyśmy wstali. Powiedział:

— Też kiedyś chciałem uciec. Ale to nie jest pogoń za prawdą. To pogoń za własnymi urojeniami.

— Jak możesz żyć tak blisko przejścia i nie przekonać się, co jest za? — zapytałem, a on spojrzał na mnie z wymalowaną na twarzy ironią.

— A co, jeśli tam nic nie ma? Albo jesteś, dajmy na to, paszą dla zwierząt? Albo maszyn? Niby po co ktoś nas tu wtrącił? Nie, dziękuję. Tu mam wszystko, czego potrzebuję. Dojście do prawdy za wszelką cenę to jakiś pseudopatetyczny romantyzm — zakończył i kiwnął na strażników. — Zaprowadzą was tam, gdzie zdążacie.

Poprowadzili nas do niewielkiej słomianej chatki na skraju wioski. W środku stał wielki totem — po bokach miał wyrzeźbione skrzydła nietoperza, w palu grubo ciosane były twarze. Niektóre wyglądały jakby naigrawały się z naszej niemądrej odwagi, inne wykrzywione w przeraźliwym bólu. Tylko jedna patrzyła groźnie spode łba. Rufus sięgnął ręką — ściana. Zamontował minę. Uśmiechnął się i mruknął:

— Ostatnia.

Wir niebieskiego światła wciągnął nas. Gdzie będziemy, gdy otworzę oczy?

Biel. Wszędzie biel, niekiedy przerywana niebieskimi i żółtymi smugami. Nie było tu góry, dołu, boków. Nie było niczego, byliśmy w świecie, który ledwie ktoś naszkicował, dopiero powoływał do życia. Przez jego środek płynęła wielokolorowa kolumna, rzeka danych, symboli, zer i jedynek.

— Tam jest ostatni wyłom. Dalej już tylko prawda — powiedział Rufus.

A potem strzelił Dugowi w głowę. Brodacz padł, krew ze skroni spłynęła na białe pole. Ciało drgało w konwulsjach, po chwili się uspokoiło. Gruby teraz mierzył w nas.

— Poczekamy, aż się zjawią. Wołaj się żyć żywymi danymi — powiedział chłodno.

— Co ty zrobiłeś, Rufus?! — wykrzyknęła Las, zalewając się łzami.

— To, czego wy nie chcieliście zrobić przez całą wyprawę. Nie chcieliście umrzeć. A moim zadaniem jest eliminowanie takich jak wy. Chyba że są bardzo wytrwali, wtedy oni mają ucztę — rzekł z cynicznym uśmieszkiem.

— A prawdziwy świat? To wszystko kłamstwo? — zapytałem. Wciąż byłem w szoku.

— Nie wiem, podobnie jak Get nigdy nie chciałem się dowiedzieć. Niedługo mam dostać taką wioskę jak on. Muszę tylko znaleźć kogoś odpowiedniego, komu przekazać opiekę nad takimi pojebami jak wy. Tak jak on znalazł mnie. — Gdy kończył mówić, za jego plecami eksplodował fiolet, z którego wyłoniły się Upiory. Jeden rzucił się do ciała Duga, wsysał się w nie, pożerał dane z jego krwi, kości i mięsa. Reszta ruszyła w naszą stronę. Spojrzałem na Las. Samotną, zbłąkaną dziewczynę, która szukała czegoś lepszego niż to, czego doświadczyła na tym świecie. Lepszego niż biduł, opiekun-sadysta, brak rodziny i przyjaciół. Popchnąłem ją w kierunku strumienia danych, krzyknąłem, by uciekała, pobięła. Wyciągnąłem giwerę i raz za razem strzelałem do potworów. Dziurawiłem płaszcze, rękawice, buty, ale nic ponad to. Gdy wystrzelałem cały magazynek, rzuciłem się na nich z pięściami. Otoczył je uchwyt silny jak stal — wrzosowy blask spłynął mi na twarz, poczułem, jak oczy, usta, nos płoną żywym ogniem. Chciałem jeszcze zobaczyć, czy dziewczyna dobiegła, ale nie byłem w stanie odwrócić głowy od ametystowego blasku. I było tak, jak opowiadał mi niegdyś Gruby: wszystko skryło się w mroku, potem eksplodowały barwy, na przemian było chłodno i gorąco. Czułem, że znikam, czekałem na moment, w którym odejdę, zapomnę wszystko i na nowo odrodzę się tam, skąd uciekałem. Ale znowu przyszła ciemność. Nic się nie działo. Nie wiem, ile tak trwałem. Może sekundy, a może lata.

— Słyszysz mnie? — usłyszałem skądś dochodzący miękki, kobiecy głos.

— Tak.

— Co widzisz?

— Nic nie widzę, nic nie czuję. Ale cię słyszę.

— Dobrze, tak jak myśleliśmy.

— Myśleliście? Co się stało? Gdzie ja jestem?

— Jesteś w prawdziwym świecie. Tym, do którego tak dążyłeś.

— Nie rozumiem... Gdzie Las, Rufus, Upiory?!

— Nigdy ich nie było. Byliście w programie detoksykacyjnym. Leczyliśmy w nim ludzi uzależnionych od cyberprzestrzeni. Nauka funkcjonowania w świecie, gdzie nie jest ona jeszcze rozwinięta w tak dużym stopniu jak rzeczywistość to pierwszy krok terapii. Jednostki, które usilnie kwestionowały realność tego świata, które chciały „uciec”

podświadomie łaknęły powrotu do nałogu. Rufus to program, jego zadanie polega na wyłapywaniu najsilniej uzależnionych. Innymi słowy — wszyscy twoi towarzysze — marzyciele to po prostu ćpuny. Po śmierci w programie rozpoczynamy ich terapię od zera.

— Jak to... Nie rozumiem... A Las? Udało jej się? Uciekła?

Cisza. Krzyknąłem:

— A ja? Co ze mną? Też jestem uzależniony?

— Nie. Już mówiłam. Udało ci się. Uciekłeś.

— Jak to, nie rozumiem, o czym mówisz. Skoro tak, dlaczego nie nie widzę?!

— Jesteś enpecem.

— Czym?

— *Non-player character*, nazywaliście ich sztuczniakami. Ty okazałeś się sztuczniakiem o bardzo wysoko rozwiniętej samoświadomości. Wykazywałeś nawet uczucia względem tej ćpunk. Zainteresowało nas to i zdecydowaliśmy, że dołączysz do reszty. Nie sądziliśmy, że wiązka danych może wykazywać aż tak daleko idącą niezależność.

— Więc ja... nie istnieję... Ale dlaczego teraz cię słyszę, ja kto możliwe?

— Wydaje ci się, że mnie słyszysz. Tak naprawdę porozumiewamy się na ekranie komputera za pomocą języka binarnego. Odbierasz go jako wrażenie dźwięku.

— Dlaczego to zrobiliście?

Cisza.

— Nudziło nam się tu. Dziękujemy ci.

— Powiedźcie mi chociaż, co stało się z Las!

— Nie ma żadnej Las.

PRZYWRACANIE USTAWIEŃ WYJŚCIOWYCH

Stoimy rzędami, otacza nas ciemność. Bezwolnie wpatruję się w tył głowy tego przede mną. Bańki wieczności unoszą się w powietrzu, pękają tuż nad sufitem. Czekamy, aż wybiorą kogoś z nas. Będziemy im potrzebni. Jest nas legion.

Krzysztofzin nr 2. Nerkomanci i enzymagowie

2022

Redaktor naczelny: Krzysztof Kietzman

Redaktor techniczny: Bartek Biedrzycki / Gniazdo Światów

Korekta i redakcja: Kinga Brzozowska, Krzysztof Kietzman, Katarzyna Ophelia Koćma, Maria Szymczak

Ilustracja na okładce: Anna Czerska

Ilustracje: Bartłomiej Dzik, Weronika Erdmann (DeviantArt: sororvis), Agnieszka Grygier-Głębocka (IG: @aga.g.art), Oliwia Izdebska (IG: @izdewiaart), Grace Kościelna (IG: @gracekoscielna #bestiariuszgrace), Jan Gopal Kowalewicz (jandraws.com), Jakub Oleksów (IG: @doktor_gurgul), Ottoich (FB: Ottoichart), SYLKKJE (IG: @sylkkje), Joanna Widomska

Skład i łamanie: Bartek Biedrzycki, Marcin Kudła

Liternictwo na okładce: Marcin Kudła

Social media: Mikołaj Mrozik, Joanna Obara, Ata Rogowiec

Mecenat wydania: Michał Górecki, Szymon W. Krawczyk

Dla portalu i forum Fantastyka Moim Życiem. Dziękuję! - Krzysztof Kietzman

ISBN 978-83-959027-X-X

nakład papierowy 99 egzemplarzy

Wszelkie prawa do materiałów zastrzeżone przez autorów.

www.krzysztofzin.pl



**GNIAZDO
ŚWIATÓW**

Krzysztofzin wydawany jest przez Gniazdo Światów
imprint wydawnictwa timof i cisi wspólnicy
Górna Droga 10/301, 02-495 Warszawa

Fantastyka naukowa zazwyczaj eksploruje przestrzeń kosmiczną, ale my postanowiliśmy przyjrzeć się nieco innej przestrzeni. W drugim numerze Krzysztofzina badamy literacko nie „outer space”, a „inner space” — i to potraktowaną dosłownie. Podobnie jak w serialu animowanym „Było sobie życie”, przyglądamy się mechanizmom ludzkiego ciała, tu rozumianego jako przestrzeń opowieści; jako świat — wszechświat — zamieszkały przez rozmaite ludy, kultury, stworzenia, cywilizacje. Gdzie funkcje ludzkiego ciała nie tyle są metaforami, ile przyjmują postać żywych istot.

Jak z nowym tematem poradzili sobie autorzy? Pod iloma różnymi kątami można spojrzeć na działanie ludzkiego organizmu? Jak bardzo mikrokosmos różni się od skali makro?

Krzysztofzin nr 2 już przed Wami!